

*Melissa Marr*

# PRZYBYSZE

*Opowieść zbyt fascynująca, by ją zignorować.*



Melissa Marr

**PRZYBYSZE**

Przekład  
Marcin Mortka



*Dedykuję tę powieść Tacie za całe lata oglądania westernów, filmów akcji  
i gadania o spluwach.*

*(PS Tej książki też nie musisz czytać, Tato. Wystarczy, że zapoznasz się z tymi dwoma zdaniemami: Jesteś dokładnie taki, jaki powinien być ojciec, i uwielbiam Cię za to. Kocham Cię).*

# Rozdział 1

Kitty widziała, jak pociski wgrzają się w ciało Mary. Patrzyła na czerwone plamy rozlewające się po kwiecistej sukience, którą niedawno pozszywała dla najlepszej przyjaciółki, a jej pierwszym spostrzeżeniem było to, że nie naprawi jej już za żadne skarby. Sukienka była zmarnowana. Dopiero po chwili nasza ją myśl: „Ktoś musi zabić tego drania, który zastrzelił Mary”.

Spotkanie miało przebiegać w pokojowej atmosferze. Zamierzali rozmówić się z przedstawicielami miejscowego klasztoru w sprawie płatności. Z całą pewnością nie liczyli się z tym, że któryś z mnichów będzie miał ochotę pociągnąć za spust. Rzeczywistość jednakże rozminęła się z oczekiwaniami jakieś kilkanaście minut i parę trupów temu, gdy mnisi wyciągnęli spluwy spod szarych szat. Co gorsza, gdy Kitty sięgnęła po własnego sześciostrzałowca, usłyszała szeptane przez nich atonalne modlitwy.

Wsunęła z powrotem broń do kabury. Wolałaby strzelać anizeli zajmować się czarami, ale kule i magia kłóciły się ze sobą. Jej partner Edgar rzucił Kitty nóż. Złapała go w locie i ruszyła przed siebie, rozglądając się uważnie. Miała gdzieś przed sobą dwóch modlących się mnichów, a dwoma innymi zajmował się teraz jej brat Jack. Był gdzieś jeszcze jeden, którego straciła z oczu podczas pierwszej wymiany ognia. Nie mogła strzelać do modlących się, a Jackiem nie musiała się przejmować. Jej zadaniem było odnalezienie owego brakującego mnicha, tego, który zabił Mary. To on musiał umrzeć. Trzeba było jakoś wywabić go z ukrycia. Strzelanie na oślep nie miało sensu. Kitty zatrzymała się więc i zaczęła wpatrywać się w miejsce ukrycia ofiary i czekając, aż mnich coś zrobi.

Edgar był spięty. Nie przepadał za sytuacjami, kiedy Kitty popisywała się odwagą. Ona na jego miejscu denerwowałaby się o wiele bardziej. Odwróciła więc spojrzenie i już miała wskoczyć do zacienionego wnętrza najbliższego budynku, gdy nadleciał pocisk i drasnął ją w ramię.

– Mam cię! – szepnęła, gdy drugi pocisk trafił w ziemię tuż obok niej.

Mnich zdradził już pozycję i dalsze ukrywanie się nie miało sensu. Wyszedł z budynku, a ona w tej samej chwili rzuciła się na niego. Ten zamknął oczy i dołączył do inkantacji swoich konfratrów, wzywających na pomoc demona. Mówił jednakże szybciej i powietrze wokół niego nagle

stało się naelektryzowane. Przybliżająca się błyskawicznie Kitty uświadomiła sobie, że mnich użył ciała demonowi.

Wbiła mu ostrze w gardło i obróciła je w ranie, a potem wepchnęła własną wolę w jego ciało i skupiła się na słowach. Krew mnicha, gorącym wrzaskiem, kapłała na jej twarz i przedramiona.

Mężczyzna otworzył oczy i Kitty dostrzegła zmiany w ich kolorze, które oznaczały, że demon wślizguje się w jego krwawiące ciało. Mnich nie był już w stanie dokończyć zaklęcia, ale jej nie udało się go w porę zatrzymać. Ostatnią rzeczą, którą chciała teraz ujrzeć, był demon w zakrwawionej szacie martwego mnicha.

– Magia – oznajmiła.

Mnich cofnął się o krok, próbując się od niej uwolnić. Jego usta nadal się poruszały, choć nie słyszała żadnych słów. Być może wyszeptane zaklęcie było nieskuteczne, ale nie miała zamiaru ryzykować.

– Przystajesz mówić!

Wyciągnęła nóż z jego gardła i wbiła mu ostrze w lewe oko, a potem w prawe.

– Przystajesz widzieć!

Gdy uwolniła broń, mnich zaczął osuwać się na piaszczystą ziemię. Wyswobodziła własną wolę z jego ciała, by życie wyciekło mu przez rany, a potem błyskawicznie padła na kolana przy nim i z całej siły wbiła nóż w jego klatkę piersiową.

– Przystajesz żyć!

Edgar stanął za nią. Jego cień padł na trupa i przez moment dziewczynę kusilo, by poprosić mężczyznę o pomoc. Nie zrobiła tego jednak, a on nie nachylił się, by pomóc jej wstać. Przypuszczalnie dlatego, że naskoczyła na niego, gdy zrobił to ostatnio.

Kitty podniosła się ostrożnie i zatoczyła się lekko, gdy uderzyła w nią fala magii krwi.

– Nic mi nie jest – skłamała, nim Edgar zdołał cokolwiek powiedzieć.

Nie dotknął jej, ale oboje wiedzieli, że stoi blisko i złapie ją, gdyby zaczęła osuwać się na ziemię. Nie była drobną kobietą, ale Edgar miał żelazne mięśnie i uniósłby ją niczym piórko. Nie oznaczało to bynajmniej, że Kitty miała na to ochotę. Utrzymanie się na nogach po użyciu magii było dla niej sprawą honoru.

Odwróciła się ku niemu powoli.

– Masz krew na spodniach.

– Zgadza się. – Edgar wpatrywał się w nią i odczytywał znaczenie

każdego ruchu i każdej chwili ciszy z wprawą, która przychodziła po latach wspólnego życia. Znali się bardzo, bardzo długo. – Nie jesteś w stanie sama chodzić.

Kitty zacisnęła usta. Była jedyną spośród Przybyszów, która potrafiła używać magii tak jak mieszkańcy Bezdroży, ale za każdym razem, gdy się nią posłużyła, czuła się, jakby ktoś ją rozszarpał na kawałki. Siła, która wyrwała ich z rodzimych czasów oraz miejsc, a potem wrzuciła do tego świata, zmieniła ją całkowicie. Kitty przypominała mieszkańców Bezdroży o wiele bardziej, niż jej się to podobało, ale nie na tyle, by móc rzucać czary bez konsekwencji.

Po chwili oparła się lekko o Edgara.

– Nienawidzę czarów.

– Idzie ci łatwiej czy po prostu nabrałaś wprawę w maskowaniu bólu?

– Jakiego bólu? – zażartowała, ale wtedy ustąpiło odrętwienie wywołanie adrenaliną oraz magią.

Poparzenia na twarzy i ramionach bolały jak diabli, ale o wiele gorszy był piekący ból, wywołany przez zignorowaną wcześniej ranę postrzałową. Po policzkach Kitty spływała krew, ale tylko ostatni idiota otarłby oczy dłońmi zbroczonymi krwią mnicha. Pozostawało więc tylko pochylić głowę. Kilka niesfornych kosmyków opadło w dół, pomagając ukryć łzy. Usiłując opanować drżenie rąk, Kitty sięgnęła po nóż i z przesadną troską otarła go o szarą tunikę mnicha.

Nie zdołała jednakże ukryć bólu. Może ta sztuka udałaby się przy innych, ale Edgar był znakomitym obserwatorem i mało co umykało jego uwadze. Gdy wstała, trzymał już jedną ze swoich batystowych chusteczek.

– Chwila wytchnienia nie przynosi nikomu wstydu – rzekł i odsunął jej loki, by otrzeć łzy i krew z jej policzków.

– Nie muszę odpoczywać – powiedziała, ale mimo to oparła dłoń o jego pierś.

Wiedziała, że ból kiedyś się skończy, a rany się zagoją. Musiała jedynie przeczekać najgorsze chwile.

Edgar nie skomentował tego, że się trzęsła.

– Jack zajął się pozostałymi dwoma – rzekł. – Zaczekajmy tu, aż sam dojdę do siebie.

Kitty pokręciła głową. O Edgarze można było powiedzieć wiele, ale nie to, że bójka z kilkoma mnichami wywarła na nim jakiegokolwiek wrażenie. Gdyby nie skutki czaru, i ona bez trudu odzyskałaby siły.

– Jack na pewno się na to nie zgodzi – odparła Kitty. Jej ciało nadal

drżało, walcząc z efektami zaklęcia. – Bez wątpienia są jeszcze inni mnisi. Będzie nalegał, byśmy wyruszyli w drogę.

Edgar otoczył ją ramieniem i przytrzymał mocno, gdy jej drgawki stały się silniejsze.

– Niech szlag trafi Jacka.

Kitty oparła głowę o jego pierś.

– Nic mi nie jest. Odpocznę wieczorem w zajeździe i rano, gdy ruszymy do obozu, będę jak nowa.

Edgar nie powiedział ani słowa, ale jego pochmurne spojrzenie zdradziło jej, co myślał na ten temat. Gdyby naprawdę nie nadawała się do podróży, powiedziałaaby im o tym, ale przecież była w stanie dotrzeć do Szubienicy. Nie chciała doprowadzić do kłótni między dwoma mężczyznami, którzy opiekowali się ich grupą. Przez moment opierała się o Edgara, a potem odsunęła się od niego.

Gdy się odwróciła, ujrzała, że Jack i Francis przyglądają się jej. Francis stał nieruchomo i starannie maskował wszelkie uczucia, przez co z wyglądu przypominał ostrożnego, nieco sponiewieranego stracha na wróble. Jego długi, postrzępiony kucyk był przypalony na końcu, a przez skroń mężczyzny biegła smuga krwi.

Kitty uśmiechnęła się do niego pogodnie, a potem przeniosła spojrzenie na swego brata. Bez względu na to, jakie rozmiary osiągał konflikt i ilu spośród nich zginęło bądź odniosło rany, Jack zawsze był nieprzejednany. Przewodził ich grupie i stale utrzymywał, że należy się skupiać na chwili bieżącej. Od wielu lat wyglądał tak samo – przypominał skrzyżowanie kaznodziei z banitą. Miał szczupłe, zahartowane w walkach ciało i błękitne, wręcz anielskie oczy, dzięki którym dobrze by wyglądał podczas wygłaszania kazań. W tej chwili przyglądał się jej uważnie.

Tulił teraz Mary w ramionach i Kitty, by nie patrzeć w oczy martwej przyjaciółki, wołała nawiązać kontakt wzrokowy z bratem, co nie przyszło jej łatwo. Nie przyniosło jej to wielkiej pociechy, ale wciąż żywiła dziecięcą nadzieję, że jej brat zdoła to wszystko jakoś naprawić. Niestety, nie mógł, a już na pewno nie tego dnia.

Znała prawdę i nikt nie musiał jej tego oznajmiać, ale Jack mimo to rzekł:

– Ona nie żyje, Katherine.

– Domyśliłam się.

Nawet wypowiedzenie tych słów bardzo ją zabolalo, ale nie mogła dłużej udawać. Mary nie żyła. Pozostało im teraz tylko czekać i zaplanować



zemstę. Kitty podeszła do Jacka i musnęła dłonią włosy zabitej.

Ruszyli w stronę miasta. Edgar i Francis przyglądali się oknom spalonego klasztoru i wszelkim kryjóvkom, w których mogliby się czaić ich przeciwnicy. Mnisi co prawda powiedzieli, że są jedynymi mieszkańcami w okolicy, ale rzekli również, że chcą w pokoju przełamać się chlebem.

Cienie stawały się coraz dłuższe i Kitty zastanawiała się, czy klasztor nie będzie bezpieczniejszym miejscem od mroku, w którym mogły się czaić najróżniejsze zagrożenia. Nie była w stanie uzmysłwić sobie liczby niebezpieczeństw kryjących się w tym świecie, a ich grupa zdawała się popadać w coraz większe kłopoty.

– Możemy poczekać tu na nadejście nocy – zasugerowała. – Wszyscy jesteśmy zmęczeni, a potwory mają w mroku zbyt wielką przewagę nad nami.

– Nie – rzekł Jack. – Nie wolno się nam zatrzymywać.

Kitty udała, że nie widzi nieprzyjaznego spojrzenia, którym Edgar obrzucił Jacka. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jest słabsza, niż dawała po sobie poznać, ale Jack musiał myśleć o wszystkim. Postanowiła, że zrobi to, co postanowi jej brat.

Francis nie protestował jak zwykle, lecz jedynie przyjrzał się jej, by ocenić rany. Wiedziała, że rankiem przyniesie jej jakąś nalewkę, maść lub paskudnie smakującą herbatę. Bezustannie wypróbował wszelkie remedia sprzedawane przez obwoźnych handlarzy lub mieszał własne eksperymentalne lekarstwa. Wiele ze stworzonych przez niego wywarów okazywało się w miarę pomocnych, choć niejeden smakował tak paskudnie, że pacjent wolałby dłużej cierpieć, zamiast wypić całą porcję.

– Hej, Francis! Przyda mi się jedna z tych twoich maści na obite mięśnie, gdy wrócimy do Szubienicy – powiedziała i położyła na moment rękę na jego przedramieniu.

Zatrzymał się, a wtedy uniosła dłoń, by zetrzeć krew z jego skroni, a potem poklepać go z czułością po policzku.

– Nie możemy dziś zatrzymać się w zajeździe, Katherine. Zrobiło się niebezpiecznie. Udamy się prosto do obozu – rzekł Jack, który również przystanął.

Jej brat nie miał zamiaru przyznać, że widzi, jak bardzo jest zmęczona, ale z pewnością zamierzał iść na tyle wolno, by nie musiała się uskarżać.

Uśmiechnęła się do niego. Była w stanie dotrzeć do Szubienicy, ale przejście dodatkowych mil stanowiło zbyt wielkie wyzwanie.

– Nie – sprzeciwiła się. – Zatrzymajmy się w Szubienicy.

– Zajazd nie jest już bezpiecznym miejscem! – Jack nigdy nie robił niczego, co naraziłoby grupę na niebezpieczeństwo, nawet dla niej. – Dotrzemy na miejsce, spakujemy się i przed zapadnięciem zmroku wyruszymy w drogę.

– Jutro – powiedziała.

– Bractwo ma tam zapewne swoich ludzi. Damy radę dotrzeć dziś do obozu. Zajazd nie jest...

– Będę miał oko na Kit – przerwał mu Edgar. – Ty i Francis możecie zabrać Mary do obozu.

– Ale... – zaczęli równocześnie Kitty i Jack.

– Kit musi odpocząć – odparł Edgar spokojnym głosem.

– Nie powinniśmy się rozdzielać – upierał się Jack.

Edgar wbił w niego groźne spojrzenie.

– Już prawie jesteśmy w Szubienicy, Jack! Albo zostaniemy tam wszyscy, albo się rozdzielimy. Kit nie ma zamiaru się do tego przyznać, ale z pewnością potrzebuje odpoczynku.

Przez moment Jack przyglądał się Kitty osobliwym, przenikliwym spojrzeniem, na widok którego miała ochotę zacząć kłamać. Nieczęsto jej się to udawało, ale czuła się teraz jak ostatnia ofiara. Nie chciała, by przez nią znalazł się w takiej sytuacji. Jack po prostu nie rozumiał, ile kosztowało ją używanie magii śmierci.

Zaprzagnęła skłamać i rzec, że w ogóle nie jest wyczerpana i obolała, że wcale nie ma ochoty porzucić Mary i że jest gotowa do podróży przez noc. Ubiegł ją Edgar, który oznajmił absurdalnie poważnym tonem:

– Mary nie żyje, Kit, a ty nikomu się w tym stanie nie przydasz. Mary zaś nie obudzi się przez sześć dni!

– O ile w ogóle do tego dojdzie – dodał Jack.

Dziewczyna była pewna, że postanowił odpowiedzieć nieco inaczej po tym, jak się jej przyjrzał.

– W rzeczy samej – zgodził się Edgar.

Jack pokiwał głową i wszyscy zamilkli, idąc dalej przed siebie. Nie było zresztą wiele do powiedzenia. Mary miała się przebudzić albo nie. Nikt nie wiedział, dlaczego Przybysze czasami budzili się po śmierci. Większość z nich czyniła to kilkakrotnie, ale próżno było dopatrywać się w tym jakichkolwiek prawidłowości czy reguł. Truto ich, szpikowano kulami, wypruwano im flaki, topiono, zabijano na dziesiątki sposobów, ale mimo to szóstego dnia zrywali się niczym po drzemce, zdrowi na ciele i duchu. Chyba że los chciał inaczej.

Gdy dotarli do skrzyżowania, na którym mieli się rozstać, Jack powrócił do tematu:

– Może Francis powinien iść z wa...

– Nie – przerwała mu Kitty. – Nie dość, że niesiesz Mary, to jeszcze masz dłuższą drogę do przebycia. Jeśli wpadniesz w tarapaty, będziesz go potrzebował.

– Ale uważajcie na siebie, dobrze?

– Sądzisz, że Edgar pozwoli mi zrobić cokolwiek głupiego, gdy znajduję się w takim stanie?

Kitty spróbowała się uśmiechnąć, by dodać mu otuchy.

– A rano wrócicie prosto do obozu? – naciskał Jack.

Kitty miała ochotę ofuknąć go za namolność, ale wiedziała, że zasługuje na jego podejrzliwość, a ponadto była zbyt zmęczona na kłótnie.

– Obiecuję – powiedziała i skinęła głową.

Francis i Edgar nie odezwali się, ale dziewczyna była pewna, że zawsze posłuchają rozkazu Jacka. Choć za nic w świecie nie powiedziałyby tego na głos, wiedziała, że powinni być mu posłuszni. Po tylu latach na Bezdrożach nie wierzyła już w nic z wyjątkiem tego, że Jacka warto było słuchać. To przekonanie było dla niej święte niczym religia. Poszłaby za nim do samego piekła bez chwili wahania. Przez pierwszych kilka lat po przybyciu na Bezdroża była zresztą przekonana, że tak właśnie się stało. Żyła tu bowiem i oddychała niezliczona ilość niewiarygodnych istot. Tymczasem jedynym, co łączyło wszystkich mieszkańców Bezdroży, było przeświadczenie, że Przybysze byli najbardziej nienaturalnymi istotami na świecie. Czasami Kitty skłonna była się z nimi zgodzić.

Tej nocy jednakże stanowili po prostu grupę zabłąkanych, znużonych ludzi. Kitty patrzyła, jak Jack, nadal dźwigając Mary, oddala się, a Francis rozgląda się w poszukiwaniu zagrożeń. Miała nadzieję, że rano wszyscy nadal będą żyli, a za sześć dni powróci do nich Mary.

## Rozdział 2

Gdy Edgar i Katherine przybyli następnego dnia do obozu, Jack odbył już dodatkowy patrol i zaczął zastanawiać się nad powrotem. Bynajmniej nie chodziło o to, że unikał żałoby – po prostu nie wiedział, czy już powinien ją rozpocząć. Należało odczekać sześć dni. Dopiero wtedy miało się okazać, czy Mary przebudzi się, czy nie. Gdyby los okazał się złośliwy, w życiu Jacka pojawiłaby się wielka pustka. Nie darzył Mary miłością, ale przez ostatnie miesiące coraz rzadziej spali w osobnych pokojach.

Tylko w ten sposób Jack mógł uzasadnić ułożenie Mary w swoim namiocie, a nie w jej własnym. Oddał jej łóżko, które dzielili, a potem opuścił obozowisko, by przeprowadzić zwiad. Kiedy wrócił, ułożył się na kocu w namiocie i zapadł w kilkugodzinny sen, a gdy nastał poranek, wyruszył na kolejny zwiad. Mary zginęła już kilkakrotnie, ale zdarzyło się to po raz pierwszy, odkąd byli... Cóż, tym, czym byli.

Jack zdjął jej podartą, zakrwawioną sukienkę i ubrał ją w nocną koszulę, a potem przykrył kocem, dzięki czemu wyglądała, jakby po prostu spała. Niestety, trzymana przez niego o tak wczesnej godzinie szklanka whiskey zdradzała, że było to jedynie wygodne kłamstwo. Mary nie żyła.

Nikt nie był w stanie przewidzieć, kto z zabitych Przybyszów więcej się nie przebudzi. Jack spędził wiele tygodni przy łóżkach towarzyszy, którzy nigdy już nie wstali, ale znacznie częściej zdarzało się, że po upływie sześciu dni pozornie martwy człowiek budził się i żył dalej, a jedyną pamiątką po niefortunnym wydarzeniu było kilka siniaków. Jack spędził w nowym świecie dwadzieścia sześć lat i wciąż nie miał pojęcia, od czego to zależy. Nie rozumieli tego fenomenu. Rdzenni mieszkańcy Bezdroży nie budzili się po śmierci. Był to przywilej Przybyszów, którzy co do jednego urodzili się w innym świecie.

Jack właśnie nalał sobie drugą szklankę, gdy usłyszał głosy na zewnątrz obozu. Wiedział, że jego siostra nie będzie zadowolona. Katherine spodziewałaby się bowiem zastać ciało w namiocie, który dzieliła z Mary. Mężczyzna nie był więc w ogóle zdziwiony na widok gniewnego grymasu na twarzy młodszej siostry, gdy ta uniosła klapę namiotu.

– Czujesz się lepiej? – spytał.

– Co ci odbiło?

Kitty wpadła do środka i zatrzymała się przed niewielkim stolikiem, przy którym siedział Jack.

Jack wskazał jej puste krzesło, ale Katherine stała przed nim z rękami wspartymi na biodrach. Usta zaciskała tak mocno, że utworzyły cienką kreskę. Nie drgnęła przez dłuższą chwilę i Jack uznał za stosowne dodać:

– Mary ostatnio spała tu prawie co noc. Wydaje mi się, że właśnie tutaj powinna czekać.

Wyznanie sprawiło, że gniew Katherine zauważalnie zelżał. Opadła na krzesło.

– Jasna cholera, Jack. Czy ty kiedykolwiek pozwolisz, by ktoś ci pomógł? Jack nalał jej whiskey i przysunął szklanekę.

– Byś lepiej się poczuła? – spytał.

Katherine wypuściła głośno powietrze.

– Nie, ale...

– W tej sytuacji odpuść sobie, Katherine.

Jack skupił się na szklance. Upił łyk i smakował whiskey przez moment. Nie była aż tak zła jak trucizna na robaki serwowana w saloonach w Kalifornii, ale nie zasługiwała na miano wykwintnego trunku. Nie pamiętał, kiedy ostatni raz pił naprawdę dobry alkohol. Nie przypominał sobie również, kiedy było go na niego stać. Przybysze pracowali najczęściej dla gubernatora bądź bogatych obywateli, którzy nie należeli do szczególnie hojnych ludzi. Jack czerpał więc dumę z tego, że działali dla dobra Bezdroży. Przyjmowane przez nich zlecenia niezbyt się opłacały, ale czyniły świat lepszym miejscem i irytowały Ajaniego, żadnego władzy despotę, który systematycznie niszczył tę krainę.

– Niczym nie uraziliśmy braci, nim ci otworzyli ogień – rzekła Katherine, odciągając uwagę Jacka od whiskey, finansów i polityki.

– To samo przyszło mi do głowy – przyznał.

Na Bezdrożach było łatwiej o śmierć niż w Kalifornii, ale przynajmniej niektóre zasady funkcjonujące w obu tych miejscach zdawały się identyczne i niezmiennie, jak choćby to, że na spotkaniach nikt nie łapie za broń bez powodu. Tym powodem zaś często bywała zdrada.

– No i?

Katherine niecierpliwie wybijała rytm palcami na blacie stołu.

– Spotkam się z gubernatorem Soanesem – rzekł Jack. – Przez kilka dni będzie jeszcze w Traktacie. Zlecenie na lindwurmy<sup>1</sup> może poczekać, aż... – Zerknął na Mary. – Tak, pojedę zobaczyć się z gubernatorem Soanesem, wrócę przed upływem szóstego dnia, a potem weźmiemy się do pracy.

– Wiesz, że nie pozwolę ci samemu jechać do Traktatu? – Katherine wpatrywała się w niego twardym wzrokiem i popijała whiskey jak gdyby nigdy nic.

Pamiętała jednak, że to Jack uczył ją gry w pokera. To on pokazywał jej, w jaki sposób należy kontrolować atmosferę przy stole karcianym, i z całą pewnością wiedział, że dziewczyna z trudem nad sobą panuje.

– Edgar nie będzie zadowolony z tego, że wyjedziesz bez niego następnego dnia po bolesnym kontakcie z magią – odparł. – Poza tym chcę, by tu pozostał.

– To każ mu zostać. – Katherine wzruszyła ramionami.

– Zakłęcia sprawiają, że nie dajesz sobie rady w walce – rzekł spokojnie Jack.

– A ty nie dajesz sobie rady z czarami. Potrzebujesz mnie, Jackson. Broń palna to nie wszystko.

Jack przez moment siedział ze szklanką whiskey oraz martwą kochanką i desperacko próbował wymyślić lepsze rozwiązanie, ale wiedział, że Kitty miała rację. Miał do dyspozycji wielu rewolwerowców. Wszyscy Przybysze kiedyś byli na bakier z etyką. Katherine parała się niegdyś hazardem i była kobietą do towarzystwa, a Jack słynął zarówno jako pokerzysta, jak i rewolwerowiec. Pierwszych ludzi, którzy dawno temu przybyli na Bezdroża w ślad za Jackiem oraz Kitty, ulepiono z tej samej gliny co ich. Chętnie pociągali za spust, ale powodem był głównie ich styl życia bądź chęć przetrwania. Większość z nich już nie żyła lub przyłączyła się do Ajaniego. Ci, którzy przybywali później, różnili się od pionierów. Niektórzy byli twardymi, szorstkimi ludźmi tylko dlatego, że musieli walczyć o przeżycie, ale przeważali ci, którzy mieli nieco zaburzone standardy moralne. Ich jedyną cechą wspólną było to, że od chwili przybycia Katherine żaden z nowych Przybyszów nie potrafił posługiwać się magią.

Jack wychylił resztę zawartości szklanki.

– Szykuj się. Pogadam z Edgarem.

Katherine skinęła w milczeniu głową, podeszła do łóżka, pochyliła się nad Mary, by ją pocałować, i wyszła. Jack westchnął, gdy został wreszcie sam. Oczywiście, że potrzebował pomocy i oboje doskonale o tym wiedzieli. Tymczasem to ona sama musiała podjąć decyzję. Od czasu, kiedy ją wychował i znaleźli się w tym świecie, upłynęło wiele lat, ale jej decyzje nadal go zaskakiwały. Spodziewał się, że żadne z nich nie zniesie uwięzienia w obozie do chwili przebudzenia Mary, ale reakcje i opinie Katherine zawsze były dla niego zagadką.

Wkrótce Jack i Kitty byli gotowi do wyruszenia w drogę przez Pustynię Szubieniczną. Gdyby wszystko poszło dobrze, droga do Traktatu zabrałaby im dwa dni, więc spakowali wodę, zapas amunicji oraz prowiant. Zabrali tylko jeden koc – miał go dźwigać Jack – gdyż zamierzali pełnić wartę na zmianę.

Gdy dotarli do bramy obozu, Edgar spojrzał prosto na Jacka i oznajmił:

– Jeśli ona zginie, będę musiał cię zastrzelić.

– Wiem.

Jack skinął głową i wyszedł poza obręb obozu.

Katherine jednak zachnęła się i smagneła Edgara gniewnym spojrzeniem.

– Idioci – mruknęła, mijając ich obu.

Edgar był najlepszym kandydatem do objęcia tymczasowego przywództwa w ich grupie. Jack nie znał nikogo na tyle kompetentnego, by przejąć ten obowiązek pod jego nieobecność.

Jack i Kitty minęli niewielkie miasteczko zwane Szubienicą i wjechali na pustynię. Przez cały czas nie mówili ani słowa. W przeciwieństwie do wielu ludzi – głównie kobiet – Katherine nie przepadała za pustą gadaniną i Jack bardzo się z tego cieszył. Przez cały dzień i poranek następnego dnia rodzeństwo zamieniło zaledwie kilka niezbędnych słów. Po drodze mijali zawałone kopalnie, głodujących mieszkańców Bezdroży i wielkie wyrwy będące skutkiem nieostrożnego obchodzenia się z materiałami wybuchowymi. Jack widział już wiele śladów pozostawionych na tym świecie przez Ajaniego, ale zniszczenia wywołane jego chciwością potęgowały głęboko zakorzenioną nienawiść, jaką Jack darzył tego człowieka. Wykorzystywanie materiałów wybuchowych w górnictwie było niebezpieczne – zdrowi, silni ludzie często odnosili rany, poszukując bogactw, których sami nie pożąдали.

Z tego, co Jack wiedział, przed nadejściem Ajaniego górnictwem zajmowali się tylko ci, którzy byli do tego stworzeni. Miejscowi górnicy wykorzystywali jedynie naturalne metody wydobywcze, zupełnie jakby prowokowali ziemię, by ta podzieliła się z nimi skarbami. Nigdy nie brali więcej, niż było potrzebne do produkcji broni czy narzędzi. Nie odzierali ojczystej krainy ze wszystkiego tylko po to, by ktoś mógł się wzbogacić.

Potem nadszedł Ajani, który wykupił lub po prostu zajął większość kopalni. W tej chwili kopaniem podziemnych tuneli w niebezpiecznym terenie zajmowali się ludzie, którzy zupełnie się do tego nie nadawali. Na skutek ich działalności powierzchnia ziemi stawała się krucha i niestabilna, a liczba osób, które ginęły w tąpnięciach tuneli, rosła zatrważająco.

Niemalże z dnia na dzień powstawały miasteczka takie jak Traktat, które szybko stawały się siedliskami chaosu i agresji. Po wyczerpaniu złoza miasteczka obumierały.

Nic więc dziwnego, że Garuda, najważniejszy bloedzuiger<sup>2</sup> Bezdroży, nienawidził Ajaniego z pasją i równie mocno jak Jack. Nie miał nic przeciwko postępowi, ewolucji społeczeństw i rozwojowi technologii, ale gdy postępowi kierowała zawiść i chciwość, naturalny porządek był niszczone, a ludność Bezdroży ulegała zagładzie.

Gdy następnego dnia oboje dotarli do Traktatu, Jack wcale nie był pewien, czy ma się cieszyć z tego, że podróż upłynęła bez przeszkód. Żył skrytą nadzieją, iż być może przytrafi się jakaś walka, która przyniesie mu ulgę. Wiedział też, że jego siostra nie będzie miała nic przeciwko temu. Tak czy owak, wysiłek związany z pokonaniem takiego dystansu był o wiele lepszy niż beczynne siedzenie przy ciele Mary.

– Nie ma żadnych mnichów w zasięgu wzroku – rzekł Jack, kierując się w stronę kwatery gubernatora.

– Nikt nie wiedział o tym spotkaniu, Jack. Jeśli sięgnięcie po broń nie było pomysłem samych braci, wniosek nasuwa się sam. To gubernator... – Katherine urwała.

– Wiem, ale to nie ma najmniejszego sensu! – Jack podzielił się myślą, która dręczyła go przez całą podróż przez pustynię.

Usiłował zanalizować całą sytuację i znaleźć powód, dla którego gubernator Soanes miałby zastawić na nich pułapkę. Pracowali dla niego od chwili przybycia na Bezdroża. Ścigali tych, którzy łamali lub chociaż naginali prawo. Bywało, że przynosili złoczyńcom ostrzeżenie. W innych sytuacjach wykonywali wyroki.

– Może to kwestia osobista. Bracia nigdy zbyt nie szanowali prawa – dumiał Jack.

– Niewykluczone, ale dlaczego mieliby do nas strzelać? Przecież nie przedstawiliśmy im żadnych zarzutów! – Katherine najwyraźniej zastanawiała się nad tym samym co Jack. – Jeśli Soanes dowiedział się o niebezpieczeństwie, powinien był nas ostrzec. Jeśli o niczym nie wiedział, bracia stąpali po cienkim lodzie.

– Miejmy oczy i uszy szeroko otwarte – mruknął Jack, gdy podchodzili do dwóch strażników pilnujących wejścia do wielkiego, podupadłego budynku będącego siedzibą Soanesa.

Strażnicy nie spodziewali się ich przybycia, ale znali Jacka nie od dziś i powitali go skinieniem głowy. Jeden z nich obrzucił Katherine nazbyt



poufałym spojrzeniem. Dziewczyna miała zazwyczaj ciętą ripostę na takie okazje, bywało również, że własnymi pięściami pokazywała, jak bardzo nie lubi lubieżnych zaczepek, ale tym razem jedynie się uśmiechnęła.

Jack otworzył drzwi. Weszli do środka, a wtedy zapytał ją cicho:

– Po co się tak do niego wdzięczysz?

– Może kiedyś przyda nam się dodatkowa para oczu – odpowiedziała szeptem.

Myśl o tym, że w biurze gubernatora będą potrzebowali szpiegów, nie przypadła Jackowi do gustu, ale niestety, sam nabrał już podejrzeń i bynajmniej się nie sprzeciwił. W środku inny strażnik wysłał partnera, by ten poinformował gubernatora o ich przybyciu.

Wkrótce weszli do gabinetu Soanesa. Jack uważnie przyjrzał się człowiekowi, który od lat był kimś na kształt jego szefa. Spędzał za dużo czasu za biurkiem, przez co stawał się coraz grubszy i wolniejszy. W przeciwieństwie do większości mieszkańców Bezdroży Soanes starzał się w mniej więcej tym samym tempie co rodacy Jacka w jego starym świecie. Gdy spotkali się po raz pierwszy, niedługo po przybyciu Jacka, obaj mieli mniej więcej po dwadzieścia kilka lat, ale teraz gubernator mógłby uchodzić za jego ojca. Przybysze przyjmowali od niego większość swoich zleceń i Jack wierzył, że jemu oraz gubernatorowi przyświecał ten sam cel – chcieli utrzymać równowagę i łagodzić kryzysy, choć Ajani nadal robił wszystko, by zwiększyć bogactwo oraz wpływy. Przyszła więc pora, by zadać sobie pytanie, czy gubernator nie zmienił stanowiska.

– Jack, Kitty! – powitał ich Soanes. – Nie spodziewałem się was.

Jednakże gubernator wcale nie wydawał się zaskoczony ich obecnością. Jego mina przeczyła słowom i Jack nie miał pojęcia, co stanowiło tego przyczynę. Może gubernator dobrze ukrywał zaskoczenie. A może po prostu kłamał?

## Rozdział 3

Gdy Kitty weszła do pokoju, w pierwszej kolejności musiała poskromić przemożną chęć wywołania awantury, by przetestować jego odwagę. Soanes nie potrafił walczyć, co denerwowało ją nawet w chwilach, gdy była wobec niego życzliwie usposobiona. Nie przepadała za Ajanim, który odpowiadał za większość ich problemów, ani za bloedzuigerem Garudą, którego jej brat nazywał przyjacielem, ale ci dwaj przynajmniej potrafili się obronić. Soanes jednak przypominał rozdętą ropuchę. Miał brzuch jak kobieta w ostatnich tygodniach ciąży, a twarz, głównie ze względu na obwisłe policzki, przywodziła na myśl psa, którego Kitty dostała, gdy była małą dziewczynką. Gubernator przypominał również psa w tym, że był leniwy i wydawał się zupełnie niegroźny. Sama myśl o tym, iż mógłby poszczuć Przybyszów braćmi, wydawała się zupełnie do niego nie pasować.

– Zostaliśmy zaatakowani przez braci – powiedziała Kitty, opadając na jedno z pustych krzeseł stojących przed ogromnym biurkiem gubernatora.

Przerzuciła jedną nogę przez poręcz. Wiedziała, że jej pokryte kurzem i piaskiem buty pozostawią bałagan, ale idealnie pasowało to do nonszalanckiej, złośliwej pozy, którą przybierała w towarzystwie gubernatora Soanesa. Od chwili przybycia w ślad za Jackiem do tego świata, co miało miejsce ponad dwie dekady temu, opanowała wiele ról. Gdy przebywała w towarzystwie brata bądź Edgara, nierzadko sądziła, że powinna zarzucić je wszystkie, ale w interesach role były potrzebne. Podczas spotkania z Soanesem Jack zawsze zachowywał się uprzejmie, a Kitty bezczelnie.

Gubernator wskazał puste krzesło obok Katherine, ale Jack wskazał olstro i rzekł:

– Skoro nie zostałem rozbrojony, wolę stać.

Soanes pokiwał głową, ale na jego czole pojawiła się lekka zmarszczka. Po chwili skupił uwagę na Kitty.

– Czy... czy udało wam się wyeliminować owych mnichów?

– Wyeliminować? Przecież mieliśmy przeprowadzić z nimi pokojowe rozmowy. Tak brzmiały rozkazy, czyż nie? – powiedziała Kate i obdarzyła gubernatora fałszywie przyjaznym uśmiechem.

W tej samej chwili jak na zawołanie Jack położył jej dłoń na ramieniu

i powiedział ostrzegawczo:

– Katherine...

– Nie, nie. Kitty ma rację. – Gubernator próbował rozładować sytuację. – W istocie chodziło o przeprowadzenie pokojowych negocjacji. – Pochylił się na krzesło, które zaskrzypiało, ale utrzymało jego ciężar. – By sprawa była jasna: uznałem, że skoro widzę was całych i zdrowych, mnisi nie stanowią już problemu. Źle dobrałem słowa.

– Zabili członka naszej grupy – oznajmił Jack obojętnym tonem, ale każdy, kto go znał, usłyszałaby w jego głosie emocje.

– Naprawdę zabili czy ten ktoś jest tymczasowo nieżywy?

Kitty chciała odpowiedzieć, ale Jack zacisnął dłoń na jej ramieniu jeszcze mocniej i rzekł:

– Dowiemy się za kilka dni.

Znów zacisnął dłoń, ale tym razem uszczypnął ją, dając znak, że teraz ona ma mówić.

– Atak braci nie był niczym sprowokowany – rzekła. – Takie rzeczy nigdy nie dzieją się bez powodu.

– Moja siostra próbuje powiedzieć, że zastanawiamy się, gdzie zdobył pan informacje, które później mi przekazał. – Jack nadal przemawiał spokojnym głosem, choć dłoń na ramieniu Kitty zaciskała się niczym stal.

– Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć, Jack – rzekł Soanes.

– Nie, nie o to mi chodziło – rzekła Kitty. – Miałam na myśli to, że pokojowe spotkanie nie powinno skłaniać do chwycenia za broń bądź sięgnięcia po magię. To bardzo podejrzane.

Zerwała się z krzesła i stanęła tuż obok brata. Nie chciała znajdować się przed nim, gdyby doszło do walki. Nie sądziła, by gubernator potrafił posługiwać się jakąkolwiek bronią, którą mógł ukryć w zasięgu ręki, ale nie był przez to wcale mniej niebezpieczny. Uzbrojony idiota mógł okazać się większym zagrożeniem od doświadczonego strzelca.

– Jeśli dysponuje pan jakimiś informacjami, które wyjaśniłyby sprawę, byłbym wdzięczny, gdyby zdecydował się pan nimi podzielić. – Jack wpatrywał się w Soanesa. – Przez pół życia walczę o dobro Bezdroży.

– My zaś jesteśmy wam za to głęboko wdzięczni. Nie oznacza to jednak, że mogę pogwałcić etykę zawodową i podzielić się poufnymi informacjami. – Gubernator przechylił lekko głowę i wpatrywał się w nich zza ogromnego biurka. – Wydawało mi się, że długie lata wspólnej pracy są wystarczającym powodem, byście mi zaufali. Jeśli jest inaczej, doprawdy nie wiem, jak temu zaradzić.

Przez długą chwilę nikt nic nie powiedział. Kitty czekała, aż Jack przejmie inicjatywę. Działali wedle tej właśnie zasady – Jack decydował, a reszta Przybyszów, z nią włącznie, wypełniała jego wolę. Ktoś musiał przewodzić. W ich niewielkiej grupce tą osobą zawsze był jej brat. Sama nigdy by nie chciała tego stanowiska dla siebie i z całą pewnością nigdy nie słuchałaby rozkazów kogoś innego.

– Wynagrodzi pan nas – oznajmił Jack. Była to nie tyle prośba, ile właściwie żądanie.

– Oczywiście – rozpromienił się Soanes. – Powiadomcie mnie, czy ten wasz człowiek umarł prawdziwą śmiercią. Zajmiecie się mnichami, jak sądzę?

– Jeszcze się nie zdarzyło, byśmy nie dokończyli zlecenia – rzekł Jack.

– Nigdy nie nauczę się tolerować wzywania demonów – oznajmił Soanes.

Na jego obliczu malowało się nieskrywane obrzydzenie i po raz pierwszy od początku wizyty Kitty uznała, że był wobec nich całkowicie szczery. Skrywał przed nimi sekrety, których prawdopodobnie było o wiele więcej, niż przypuszczała, ale uczucia, jakie żywił do braci, nie pozostawiały cienia wątpliwości.

Kilka chwil później Kitty i Jack stali przed biurem gubernatora.

– Nie jestem gotowa na podróż – przyznała dziewczyna. Była przerażona na samą myśl o wędrowce do obozu. – Coś zimnego do picia i długa drzemka zdecydowanie poprawią moje nastawienie do drogi powrotnej.

– Jeśli zostaniemy tu na noc, wciąż będziemy mieli jeden dzień zapasu przed przebudzeniem Mary – zgodził się Jack.

Udali się razem do knajpy. Mieli ochotę omówić to, co usłyszeli od gubernatora, ale otaczało ich zbyt wielu ludzi, z których wszyscy bez wątpienia rozpoznawali ich jako dwójkę najdłuższych stażem Przybyszów. Zresztą i tak żadne z nich nie miało wiele do powiedzenia. Gubernator wiedział, że targały nimi wątpliwości, a odpowiedział w sposób typowy dla jego świata – skrył się za tradycją, jakby nie istniały inne rozwiązania. Wszędzie politycy zachowywali się tak samo. Nie było szans na to, by Soanes wyjawiał im całą prawdę, chyba że nie miałby wyboru. Ktoś inny zapewne zebrałby jakieś dowody, a dopiero potem podzielił się wątpliwościami z gubernatorem, ale Jack do nich nie należał. Jego bezpośredniość mogła się równać ze zwodniczością polityków.

Byli już niedaleko tawerny, do której najczęściej zaglądali w Traktacie, gdy Jack niespodziewanie napiął mięśnie.

– Nie mieszaj się w to – powiedział cicho, by usłyszała go jedynie Kitty.

Spojrzała tam, gdzie patrzył Jack, i ujrzała wysokiego mężczyznę, który wyglądał jak lepiej ubrana wersja jej brata. Miał też nieco dłuższe włosy. Przybysz przywiązywał konia przed jedną z gorszych spelun w Traktacie. Co ciekawe, była to również jedna z ulubionych knajp Kitty.

– Daniel! – Dziewczyna powitała go tonem najprzyjaźniejszym z możliwych. – Odzyskałeś już zdrowy rozsądek czy nadal jesteś idiotą?

– Odzyskałem rozsądek wiele lat temu, Kitty. – Daniel odsunął się od konia. – Ajani obdarzył mnie takim życiem, na jakie zasługuję. Tobie również dałby wszystko.

– Z wyjątkiem rzeczy, które mają największe znaczenie – poprawiła go Kitty.

Daniel wzruszył ramionami.

– Sam jesteś? – spytała, rozglądając się po pustoszejącej szybko ulicy.

W zasięgu wzroku nie było ani jednego ze sługusów Ajaniego, co jednak nic nie oznaczało. Kilku z nich – a może nawet sam Ajani – mogło przecież kryć się w pobliżu.

– Szefa nie ma, ale jeśli chcesz z nim pogadać, mogę posłać...

– Nie – przerwała mu, jednak w tej samej chwili Daniel rzucił się na Jacka.

Rozpoczęła się zacięta walka na pięści.

Kitty westchnęła. Daniel był jednym z nich, człowiekiem, któremu ufała i którego lubiła, ale opuścił ich, gdy Kitty przerwała ich źle przemyślany związek. Z jej punktu widzenia byli tylko przyjaciółmi, którzy czasem ze sobą sypiali. Okazało się jednak, że Daniel darzył ją uczuciem o wiele intensywniejszym, a potem wyszło na jaw, że ich szpiegował.

W rezultacie Jack stał się wobec niej nadopiekuńczy, a jego tolerancja wobec kłamstw i oszustw spadła do zera. Za każdym razem, gdy spotykał Daniela, dochodziło do bójki. Wkrótce po jego wyjeździe pozabijali się parokrotnie, ale ostatnio Daniel przestał sięgać po broń. Dlatego właśnie Jack nie mógł się zdobyć na to, by go zastrzelić. Jego honor czasami graniczył z głupotą. Kitty nie miała tego typu zahamowań.

– Masz dziesięć minut, Jack. Jeśli nadal będzie stał, zastrzelę go, i tyle.

Trzeba było przyznać, że Daniel znał się na walce na pięści. Swego czasu z przyjemnością przyglądała się mu w akcji, ale od kiedy awansował do rangi jednego z najważniejszych ludzi Ajaniego, wyrobił w sobie zamiłowanie do twórczej przemocy, co niezbyt się jej podobało. Teraz walczył uczciwie, a do tego całkiem nieźle.

Kitty wyciągnęła lewy rewolwer i otworzyła magazynek. Usunęła dwie

kule i zastąpiła je wykonanymi przez Francisa nabojami z trucizną.

– Miałem wrażenie, że powiedziałaś „dziesięć minut”, Kitty! – Daniel wyszczerzył zęby. – Jeśli Edgar próbuje cię przekonać, że tyle czasu to dziesięć minut, może powinienem ci przypomnieć, że...

– Skup się na walce, Danny! – Dziewczyna odciągnęła kurek i uśmiechnęła się do swego eks.

– Edgar przynajmniej jest wart mojej siostry! – warknął Jack i zaatakował Daniela z jeszcze większą werwą.

Daniel zatoczył się, trafiony w szczękę. Spojrzał Kitty w oczy, ocierając krew z ust.

– Nie wystrzelisz.

Jack pokręcił głową i mruknął coś, ale jego słowa zagłuszył huk broni.

Kula trafiła Daniela w udo. Gdyby Kitty strzelała do zwykłego mieszkańca Bezdroy, celowałaby lepiej, ale podobnie jak pozostali członkowie grupy Ajaniego Daniel był praktycznie nieśmiertelny. Nawet gdyby umarł od postrzału, szybko powróciłby do życia. W przeciwieństwie do Przybyszów, którzy podążali za Jackiem, ludzie Ajaniego nie czekali sześciu dni na przebudzenie.

Odciągnęła kurek, zastanawiając się, czy strzelić ponownie, gdy przerwał jej Jack:

– Katherine! Dość tego!

Dziewczyna przewróciła oczami.

– To, że ty nie chcesz już go zastrzelić, wcale nie oznacza, że mi nie wolno!

– I z tego właśnie powodu podobasz się Ajaniemu. Jesteś żądna krwi – rzekł Daniel, drąc koszulę, by obwiązać ranę. Nadal był przystojnym mężczyzną i zdawał sobie z tego sprawę. – Potrzebujesz może pomocy? – spytał.

Znajoma ciepła nuta w jego głosie sprawiła, że Kitty poskromiła uśmiech.

– Idź do diabła.

– Mam wrażenie, że gościmy u niego od jakiegoś czasu – rzekł cicho Daniel.

Żadne z nich nie odpowiedziało. Daniel skupił się więc na opatrywaniu krwawiącej rany koszulą. Gdy zawiązał rękawy w węzeł, uniósł głowę. Na jego twarzy malowała się doskonale jej znana, przyjazna mina, ale on powiedział jedynie:

– Pali jak cholera. Robota Francisa?

Jack pokręcił głową, delikatnie dotknął wargi i przyjrzał się krwi na

palcach.

– Chodź, Katherine. Nie ma sensu zaprzętać sobie głowy tym sprzedajnym pochlebcą.

Kitty dobrze знаła spojrzenie Daniela. Wiele lat temu patrzył na nią w ten sposób, gdy chciał porozmawiać na osobności. Zerknęła więc na brata i rzekła:

– Zaraz do ciebie dołączę.

Jack zmierzył ją surowym wzrokiem.

– Nie zabijaj go! Nie zrób niczego głupiego.

Daniel wybuchnął śmiechem i machnął lekceważąco dłonią w stronę Jacka.

– Pozdrów resztę!

Jack wszedł do knajpy. Gdy znikł, Kitty ukucnęła przy Danielu i westchnęła.

– Mój brat pozwoliłby ci wrócić do domu. Przecież to nie musi tak wyglądać.

– Dalej jesteś z Edgarem?

Spojrzenie Daniela było tak intensywne, że Kitty z trudem opanowała odruch odsunięcia się od niego. Utrzymywanie obojętnej miny również nie przychodziło jej łatwo.

– On nie ma nic wspólnego z tym, co zaszło między nami. Byliśmy tylko przyjaciółmi.

– Czy mogę więc nadal się z tobą przyjaźnić tak jak kiedyś? – spytał śmiało. – Słyszałem, że nadal nie wpuszczasz go do łóżka. Daj nam jeszcze raz szansę i nazywaj to sobie, jak chcesz.

– Nie mogę.

– A więc pozostanę u Ajaniego – westchnął Daniel. – Nie mam zamiaru żyć tak jak ty i Jack nie wiadomo jak długo, Kit. Lubię wygodę, lubię pieniądze. Jedyne, czego mi brakuje na służbie Ajaniego, to twoja „przyjaźń”. – Urwał, ale Kitty nie była w stanie powiedzieć mu nic z tego, co pragnęłyby usłyszeć. – Ajani chce cię widzieć u siebie ze względu na to, czym jesteś. Nie ma natomiast pojęcia, kim jesteś. Całkiem szczerze ci przyznam, że chyba umrę, gdy ujrzę was razem. Prędzej pogodziłbym się z tym, że jesteś z Cordovą.

– Edgar nie jest moim kochankiem – odparła Kitty. – Jesteśmy przyjaciółmi, ale...

– Wasz związek istnieje tylko po to, byś mogła mnie odtrącać. – Daniel uśmiechnął się ponuro. – Nikt z ludzi zebranych przez Ajaniego nie potrafi

radzić sobie z magią. Jesteś jedyna, a on ostatnio zwariował na tym punkcie. Marudzi jak dziecko, któremu nikt nie chce dać wymarzonej zabawki. Uważaj.

Przez ostatnie lata Kitty perfekcyjnie opanowała sztukę maskowania swych uczuć, ale tym razem nie zdołała ukryć ani zaskoczenia, ani wątpliwości.

– To teraz szpiegujesz dla mnie, tak?

Daniel wzruszył ramionami.

– Skoro nie mogę dla ciebie zrobić nic innego... Nie pracuję dla Przybyszów, ale zrobiłbym wszystko, by móc cię ochronić. Mam wrażenie, że szef ostatnio nie panuje w pełni nad sobą. Na coś się zanosi. Przyszło mi do głowy, że powinnaś o tym wiedzieć.

Wyciągnął rękę.

– Pomożesz mi wstać?

– To przeze mnie siedzisz! – zaprotestowała dziewczyna, ale mimo to złapała go za rękę i wstała. Rozstawiła szeroko stopy i pociągnęła go mocno.

Daniel odepchnął się od ziemi drugim ramieniem i stanął na zdrowej nodze. Wtedy przyciągnął ją do siebie, ale nim zdołał ją pocałować, Kitty wbiła mu lufę rewolweru w brzuch.

– Bo znów cię zastrzele.

Jego śmiech był tak znajomy, że uśmiechnęła się wbrew własnej woli.

– Mógłbym tu dziś zostać na noc – rzekł. – Edgar nie musiałby o niczym wiedzieć. Cholera, nikt nie musi o niczym wiedzieć. Przecież nie bierzemy ślubu.

Zastanowiła się przez moment. Nie dzieliła łóżka z Edgarem i nie była winna nikomu żadnych wyjaśnień. Przecież na Bezdrożach nie mogła złapać choroby ani zajść w ciążę, ale żadne logiczne wyjaśnienia nie przesłoniłyby faktu, że Daniel pracował dla Ajaniego.

– Właśnie cię postrzeliłam – powiedziała słabo.

– Prawda – przyznał Daniel. – Byłyby więc pozycje, których nie udałoby nam się...

– Nie – przerwała mu Kitty. Odsunęła się od niego i spojrzała na knajpę, chcąc odnaleźć wzrokiem Jacka i nie patrzeć dłużej na Daniela. – Edgar wybaczyłby mi jakiś nieistotny numerek, ale ty nie jesteś nieistotny.

– Och, dziękuję! – Daniel ścisnął jej dłoń. – Uważaj na siebie i... Dobra, zaboli mnie pewnie to, co powiem, ale trzymaj się blisko Edgara i Jacka. Nie wiem, czy mój szef będzie grał wedle zasad, gdy trafi mu się okazja, by



cię przejąć.

Puścił jej dłoń i odszedł, kuśtykając. Kitty stała i patrzyła, jak się oddala. Kiedyś byli czymś więcej niż tylko przyjaciółmi, co nie oznaczało, że go rozumiała lub naprawdę mu ufała. W swoim poprzednim życiu przed przebudzeniem się na Bezdrożach Daniel był handlarzem narkotyków. Kłamstwa przychodziły mu równie łatwo jak oddychanie.

W tej sytuacji jednak mu uwierzyła. Po raz pierwszy od wielu, wielu lat mówił do niej tak jak ów mężczyzna, na którym jej kiedyś zależało. Miał swoje wady, ale podjął dla niej ryzyko, a potem przyjął kulę, by móc ją ostrzec. Katherine mogła więc mieć tylko nadzieję, że Ajani o niczym się nie dowie.

## Rozdział 4

Jack próbował nie zwracać uwagi na to, że ich podróż powrotna przez pustynię przebiegała w o wiele wolniejszym tempie niż droga do Traktatu. Być może przyczyną było to, że nie chcieli siedzieć w obozie i czekać. Dopiero za dwa dni mieli się dowiedzieć, czy Mary powróci do nich, czy nie, i skoncentrowanie się na czymkolwiek innym do tego czasu mogło się okazać bardzo trudne. Pospieszny powrót do obozowiska rozmijał się więc z celem.

Niestety, życie toczyło się dalej, mnisi nadal gdzieś działali, a zlecenie nie zostało zakończone. Jack miał niejasne przeczucie, że rozmowa z gubernatorem Soanesem i spotkanie z Danielem wcale nie poprawiło sytuacji.

– Skąd Daniel wiedział, że będziemy w Traktacie? – zastanawiał się na głos.

– Mam to gdzieś.

Katherine zgrywała obojętną, ale Jack wiedział, że coś ukrywa. Gdyby podróżował z kimś innym, natychmiast nabrałby podejrzeń i doszedł do wniosku, że przekazuje informacje Danielowi. Jego siostra ponosiła winę za wiele rzeczy, ale na pewno nie było wśród nich zdrady. Czekał więc.

W połowie drogi do obozu Kitty powiedziała:

– Myślę, że przyjechał do Traktatu, by ze mną porozmawiać, ale nie mam pojęcia, skąd wiedział, że tam będziemy.

Jack pokiwał głową.

– Powiedział, że Ajaniemu ostatnio odbija – dodała po kilku minutach. – Chciał nas ostrzec.

– Nie nas, tylko ciebie – poprawił ją brat. – Czy powinienem pytać o to, co się stało po waszej rozmowie? Wyjechał czy nie?

– Nie wiem, po co w ogóle zadajesz takie pytania! – parsknęła dziewczyna, ale po chwili westchnęła. – A może ty masz pomysł, skąd Danny wiedział, gdzie nas szukać?

– Nie mam pojęcia.

Jack ufał pozostałym Przybyszom. No, przynajmniej większości. Melody spędziła trochę czasu u Ajaniego w zeszłym roku i Jack przypuszczał, że utrzymuje jeszcze jakiś kontakt z jego ludźmi. Była najbardziej

prawdopodobnym źródłem przecieku informacji, choć z drugiej strony każdy mógł dojść do wniosku, że po śmierci Mary Jack będzie chciał się zobaczyć z gubernatorem. Każdy mieszkaniec Szubienicy mógł ich zauważyć i przekazać wiadomość Ajaniemu. Ba, przecież i Daniel mógł przebywać w Szubienicy i samemu się o wszystkim dowiedzieć.

– Czy gubernator spodziewał się naszej wizyty? – zastanawiał się Jack.

Katherine westchnęła ponownie.

– Wszystko na to wskazywało, ale pewności nie mamy. Gdybym знаła jakieś odpowiedzi, z pewnością bym się nimi podzieliła. Wiem tylko tyle, że mnisi wszczęli walkę, zamiast dbać o pokój, Soanes pragnie ich śmierci, Daniel uważa, że Ajaniemu odbiło, a jeśli Mary się nie przebudzi, będziemy musieli jeszcze niańczyć kolejnego Przybysza. Zupełnie jakbyśmy nie mieli wystarczająco dużo spraw na głowie.

– Czy kobiety kiedyś naprawdę były łagodniejszą płcią? – zrzędził żartobliwie Jack. Na twarzy Kitty widział porażkę, a nie znosił takich chwil.

– Nie powinnaś aby próbować mnie pocieszyć?

Katherine przewróciła oczami, ale uśmiechnęła się lekko. Nie było to wiele, lecz wystarczyło, by się nieco odprężył. Kitty potrafiła wytrzymać większość okropności Bezdroży, a do tego jako jedyna spośród Przybyszów władała magią, ale emocjonalne rozterki sprawiały, że wpadała w ponury nastrój. Jack nie był idiotą. Wiedział, że jego siostra wciąż darzy Daniela uczuciem. Postrzeliła go wielokrotnie, czym chciała dać do zrozumienia, że wcale tak nie jest, ale takie pokazy nie były szczególnie przekonujące.

– Rozgryzę to wszystko, Katherine – rzekł Jack cichym głosem. – Nie wiem, czy Mary się przebudzi, ale z tym też damy sobie radę. Obiecuję.

Znów pożałował decyzji sprzed lat. Powinien był ją wysłać do szkoły gdzieś na wschodzie, a nie pozwalać, by została wraz z nim w Kalifornii. Gdyby umieścił ją w jakimś bezpiecznym miejscu, nie zostałaby ściągnięta na Bezdroża. Gdyby pomyślał o jej bezpieczeństwie, a nie uległ aroganckiej wierze, iż potrafi o nią zadbać, wiodłaby teraz godne życie w lepszym świecie. Tymczasem utknęła na Bezdrożach, gdzie musiała uciekać przed śmiercią, zмагаć się z potworami i walczyć w pyle i krwi, wiedząc, że ich gehenna nie ma końca. Spojrzał na nią i rzekł:

– Rozgryzę to wszystko.

Niestety, po dotarciu do obozu Jack nadal nie miał pomysłu, jak się do tego zabrać. Następnego dnia mieli się dowiedzieć, czy śmierć Mary jest permanentna, czy też nie. Jack nadal trzymał się gasnącej nadziei, że śmierć oznacza przebudzenie się w lepszym świecie. Nie obchodziło go

szczególnie, że będzie to ten, w którym kiedyś żyli, lub jakaś inna rzeczywistość, w której Przybysze odnajdowali pokój. Wmówił sobie, że niebo to dziecięce marzenie, ale tyle niemożliwych rzeczy stało się dla nich realnymi, że wiara w niebo i w przebaczącego Boga wydawała się mieć większy sens.

Jego wiara zmarniała przez lata, ale tego dnia, gdy siedział przy Mary, szeptem odmówił modlitwę. Potem postanowił, że zrobi coś, czego nie zrobił nigdy w życiu. Wiedząc, że Katherine śpi we własnym namiocie, udał się do jedyne go znanego mu człowieka, który był w stanie się jej przeciwstawić.

Edgar uniósł głowę, gdy Jack wszedł do namiotu. Jak zwykle siedział przy stole i czyścił broń. Przed przybyciem na Bezdroża Edgar był płatnym zabójcą działającym dla dobrze prosperującego syndykatu zbrodni, nic więc dziwnego, że zajmował się bronią z tą samą pieczołowitością co Jack. Edgar nie był już tym samym eleganckim zabójcą co wcześniej, ale wciąż uchodził za niezwykle go człowieka. Zawsze dotrzymywał słowa i nigdy nie zabijał bez potrzeby. Zabijanie było dla niego tylko pracą. Chęć chwycenia za broń była też temperowana lojalnością, którą Edgar Cordova umiejscawiał bardzo precyzyjnie – Katherine Reed była jego ukochaną, a Jack Reed jego szefem. W sytuacjach kiedy musiał wybierać między nimi, postępował zawsze zgodnie ze zdrowym rozsądkiem.

– Potrzebuję twojej pomocy – rzekł Jack.

Edgar powrócił do czyszczenia pistoletu.

– W czym? – spytał.

– Nie mam najmniejszej ochoty poprosić cię, byś stanął między Katherine i mną.

– Ale zrobisz to.

Jack wszedł do wnętrza namiotu urządzonego w bardzo praktyczny sposób, czego zresztą można się było spodziewać po mieszkającym w nim człowieku. Było w nim jednak kilka zupełnie nieoczekiwanych dodatków. W każdej ze swoich kwater Edgar miał specjalny wieszak do spodni, dzięki któremu nogawki nigdy nie były wygniecione, oraz stojak na koszule i marynarki. Poza tym wystrój był raczej ubogi. Ścianka z ciemnego drewna oddzielała toaletę. Z boku namiotu stała skrzynia z bronią, a na środku łóżko. Jack zatrzymał się przy niewielkim stoliku zajmowanym przez Edgara.

– Ciężko znosi śmierć Mary – powiedział.

– Zawsze tak z nią jest, gdy ktoś z nas umiera. – Edgar obtarł lufę pistoletu i odłożył go. – Z tobą nie jest lepiej.

– Prawda – rzekł Jack, ale nie chciał o tym rozmawiać. Ze wszystkich ludzi na tym czy na poprzednim świecie Edgar był jednym z nielicznych, których Jack nie trzymał na dystans. – Chcę być sam z Mary – przyznał. – Chciałem cię prosić, byś trzymał moją siostrę jak najdalej od mego namiotu.

Edgar pokręcił głową.

– Nie będzie szczęśliwa.

– Powiem jej, że taki wydałem rozkaz.

Na widok spojrzenia Edgara wielu ludzi zmoczyłoby sobie spodnie, ale Jack znał go za dobrze. Gdyby Edgar naprawdę był rozgniewany, nie marnowałby czasu na gniewne spojrzenia.

Udali się do namiotu Jacka. Edgar wziął jedno z jego krzesel i ustawił je na zewnątrz. Jack znikł wewnątrz namiotu, a Edgar rzekł:

– Jeśli Mary się nie przebudzi, w końcu wpuszczę Kit do środka. Masz czas do południa.

Jack kiwnął głową i znów rozpoczął czuwanie przy łóżku zmarłej. Teraz, gdy wejścia pilnował Edgar, wreszcie mógł nacieszyć się chwilą na osobności. Mary nie miała bliskich przyjaciół wśród Przybyszów i nie musiał podejmować innych środków ostrożności. Edgarowi zależało jedynie na Katherine. Francis również darzył braterskim uczuciem jego siostrę, a Melody była zbyt wielką egocentryczką, by zbliżyć się do kogokolwiek. Pozostawał jedynie Hector, ale nikt jak dotąd nie stwierdził u niego żadnych uczuć. Jack potrzebował chwili dla siebie po części po to, by móc opłakać ewentualną śmierć Mary, ale chciał również w spokoju przemyśleć przyszłość ich grupy. W miarę upływu czasu ich liczebność zmieniała się nieco, ale nigdy dotąd nie było ich tak niewielu. Rozpacz Katherine i Jacka nie byłaby jedynym następstwem śmierci Mary. A jeśli nowy Przybysz zdecydowałby się dołączyć do Ajaniego?

Jack siedział przy Mary i zastanawiał się, co się wydarzy w przyszłości, ale nie widział żadnych odpowiedzi. Co gorsza, nie było też żadnych oznak, by zmarła wracała do życia. Zdarzało się, że Przybysze budzili się kilka godzin przed południem lub nawet o świcie, ale były to rzadkie przypadki. Jack wiedział o tym, ale mimo to żywił nadzieję. Godzina za godziną mijały w ciszy i mężczyzna coraz częściej szeptał modlitwy. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że tyle ich zapamiętał.

Gdy nadszedł poranek, ciszę przerwały przekleństwa Katherine i ciche słowa Edgara. Jackowi zrobiło się przykro, że postanowił trzymać siostrę z dala od siebie. Przecież pragnęła mu towarzyszyć, by dodać otuchy. Co więcej, wiedział, że były z Mary bliskimi przyjaciółkami, ale po prostu nie

chciał, by Katherine przyglądała mu się w takiej chwili. Nie kochał Mary i nigdy nie poznał, czym jest uczucie kwitnące między siostrą i Edgarem. Wydawało mu się, że nie stać go na nic takiego, ale wiedział, że Mary go kochała, i w tej chwili chciał zasłużyć na tę miłość.

– Jeśli wrócisz, spróbuję cię pokochać – obiecał.

Mary nie drgnęła.

Przez kilka następnych godzin Jack modlił się bądź składał martwej kobiecie w swoim łóżku kolejne obietnice, ale nastąpiło południe, a ona nadal nie wstawała.

– Przykro mi – powiedział do niej i wyszedł z namiotu.

Katherine i Edgar, którzy siedzieli na zewnątrz, spojrzeli na niego. Oboje otworzyli usta, by się odezwać, ale Jack pokręcił głową i powiedział:

– Idę na zwiad.

Siostra podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję.

– Przykro mi – rzekł, choć te słowa były równie puste i pozbawione znaczenia jak te, które wypowiedział przed chwilą w namiocie.

Zginął kolejny z Przybyszów, a za kilka dni na Bezdrożach miał się pojawić ktoś, by go zastąpić. Jack po raz kolejny spróbuje nie zawieść całej grupy i nakłonić nowo przybyłego, by nie przyłączał się do Ajaniego, choć był to jedyny znany mu sposób, by uchronić nowicjusza przed ostateczną śmiercią. Na tym polegała paskudna prawda. Ci, którzy pracowali dla Ajaniego, naprawdę nie musieli bać się śmierci. Niestety, stawali się wówczas dłużnikami jedynej osoby na całych Bezdrożach, którą Jack chętnie by zniszczył nawet za cenę własnego życia.

## Rozdział 5

Chloe otworzyła oczy i uświadomiła sobie, że leży na plecach i wpatruje się w osobliwie wyglądające niebo. Nie miała pojęcia, gdzie się znalazła, lecz była pewna, że nie jest to Washington D.C. Mieszkała tam od kilku miesięcy i choć nie poznała przez ten czas całego miasta, była przekonana, że w sercu stolicy kraju nie było piaszczystych wydm ani pól z roślinami przypominającymi bawełnę.

Czuła mrowienie w całym ciele i mogła poruszyć tylko głową. Próbowwała przesunąć nogę, ale skończyło się jedynie na serii dzikich drgawek, zupełnie jakby ciało, mimo usilnych prób, nie było w stanie dokończyć ruchu. Po jej skórze spływały kropelki potu przypominające obłazące ją insekty, ale nie potrafiła ich zetrzeć.

Rozejrzała się dookoła, by stłumić panikę. Po prawej widziała jałową pustynię otoczoną mocnym, lecz dziwnie wyglądającym metalowym płotem. Między pustynią a polem ciągnęła się gruntowa droga z głębokimi koleinami. Rośliny porośnięte były białymi kłaczkami, ale nie były tak kolczaste jak prawdziwe krzaki bawełny.

Niebo zaś wydawało się... inne. Niewłaściwe. Było na ogół niebieskie jak należy, ale zaniepokoiło ją to, że choć słońce znajdowało się wysoko nad nią niczym w południe, tu i ówdzie dostrzegła smugi czerwieni i fioletu. Zmarszczyła brwi i spojrzała w lewo, a tam dostrzegła dwa księżyce.

Im dłużej się przyglądała, tym bardziej nabierała przekonania, że ulega halucynacji, choć upłynęło wiele czasu, odkąd zapaliła choćby jointa, nie mówiąc o czymś mocniejszym, co mogłoby wywołać kolorowe zwidy. Zeszłej nocy zerwała ze ślubem trzeźwości, ale wątpiła, by mogło to pociągnąć za sobą tak poważne konsekwencje. Przecież nie piła bimbru z toksyczną domieszką. W barze, do którego trafiła, serwowano tylko wykwintny alkohol.

Paraliż powoli mijał. Chloe poruszyła palcami i rozciągnęła ramiona, z ulgą witając mrowienie na całym ciele. Namacała wisiorek na szyi podarowany jej przez ciotkę w dniu ukończenia pięciu lat trzeźwości, z czym zerwała zeszłej nocy.

Ostatnią zapamiętaną przez nią rzeczą był zdecydowanie za drogi drink w barze pełnym ludzi w garniturach. Nie gustowała w takich lokalach, ale

było to pierwsze miejsce, które ujrzała po tym, jak zastała swego narzeczonego Andrew pieprzącego się z jej szefową. Bez słowa wyszła z mieszkania, do którego to on wprowadził się zaledwie miesiąc temu. Nawet nie trzasnęła drzwiami. Pozostawiła ich pieprzących się w jej własnym domu i włączyła się przez parę godzin, aż jej uwagę przyciągnęło ciepłe światło neonów nad barem. Od dawna nawet nie myślała o powrocie do nałogu, ale miała do wyboru knajpę albo powrót do łóżka, w którym nie mogłaby już spać. Myśl o wejściu do środka, zamówieniu kilku drinków i ignorowaniu telefonów od Andrew była sensowniejsza. Potem nie pamiętała już nic.

– Mówiłem ci, że będzie gdzieś tutaj – odezwał się jakiś męski głos.

Chloe odwróciła głowę i ujrzała mężczyznę, który wyglądał, jakby się właśnie urwał z telewizyjnego westernu. Miał na sobie połatane brązowe spodnie i zwykłą zapinaną koszulę.

– Nie wymądrzaj się, Jack.

Kobieta stojąca obok niego miała na sobie dziwną sukienkę, wyciętą z przodu do kolan, ale z tyłu opadającą do kostek. Wycięcie odsłaniało parę sięgających do kolan sfatygowanych butów z czerwonej skóry. Dziwaczną suknię uzupełniała obcisła bluzka wycięta tak głęboko, że odsłaniała o wiele więcej niż najśmielsze stroje kąpielowe Chloe.

Kobieta wyciągnęła do niej rękę.

– Mam na imię Kitty.

– Realistyczna halucynacja – powiedziała Chloe.

– A to Jack. Skrót od *jackass*<sup>3</sup> – ciągnęła Kitty, zupełnie jakby Chloe w ogóle się nie odezwała. Nadal trzymała wyciągniętą dłoń. – Wstawaj. Nie będzie to należało do przyjemności, więc lepiej miej to już za sobą.

Chloe nie odpowiedziała, więc nieznajoma nachyliła się, złapała ją za rękę i postawiła mocnym szarpnięciem. Jej nogi były jak z waty. Dziewczyna zatoczyła się i zacisnęła powieki, gdy zalała ją fala nudności. Zwymiotowała obficie, przytrzymywana przez Kitty.

– Spokojnie – szepnęła Kitty. – Zaraz będzie po wszystkim.

Chloe nadal trzymała oczy zamknięte, zbierając w sobie siłę, by stanąć prosto. Po chwili ostrożnie otworzyła jedno oko i ujrzała dwoje przypatrujących się jej nieznajomych. Mężczyzna podał jej starannie zwinięty ręcznik.

– Jest czysty – potwierdziła Kitty.

Chloe wzięła go i otarła usta, a Jack pochylił lekko głowę.

– Mam na imię Jackson, ale wszyscy nazywają mnie Jack.



Podtrzymująca ją kobieta przerwała:

– Choć bywa, że wszyscy nazywają cię...

– A oto moja siostra Katherine – ciągnął Jack. – Udaje wulgarną, ale wcale taka nie jest.

– Kitty, a nie Katherine – poprawiła go kobieta i uśmiechnęła się serdecznie do Chloe. – Chodźmy. Szybko odzyskasz panowanie nad sobą albo oszalejesz do końca, ale na pewno poczujesz się lepiej, gdy minie choroba lokomocyjna i nieco odpoczniesz.

– Choroba lokomocyjna – powtórzyła Chloe. – Mam kaca albo ulegam halucynacjom. A może zapadłam w śpiączkę i mam wizje? – Spojrzała na odległe pastwisko, gdzie ujrzała stworzenie przypominające iguanę o rozmiarach słonia. – Tak, to wizje wywołane przez śpiączkę.

– Oczywiście, kochanie. – Kitty objęła ją mocniej. – Wiesz co? Wróćmy może do obozu, dobrze? Powinnaś się przespać, a potem wszystko sobie omówimy.

Po chwili namysłu Chloe uznała, że nie ma właściwie wielu opcji do wyboru. Mogła tylko udać się w ślad za ludźmi wytworzonymi przez jej halucynacje albo stać i wpatrywać się w gigantyczną jaszczurkę w oczekiwaniu, aż rzeczywistość wróci do normy.

– Ja nadal żyję, prawda? – spytała.

Jack uśmiechnął się szeroko, a potem rzekł:

– Cóż, nikt jak dotąd nie pomylił Katherine z aniołem.

– A ten osioł wcale nie jest takim diabłem, za jakiego chce uchodzić – dodała Kitty cichym, pokrzepiającym głosem. – Wszystko będzie dobrze. Udamy się do obozu i odpocznimy, a potem poczujesz się jak nowo narodzona.

## Rozdział 6

Jakaś milę przed obozem Jack zauważył nieznane ślady i uznał, że dla dobra ich wszystkich oszołomioną nowo przybyłą należy ponieść. Była bardziej gadatliwa od większości Przybyszów i głądziła o wstrząsie mózgu oraz guzach, które wpływają na jej percepcję. Tłumaczyła bezustannie, że zapewne trafiła do szpitala pełnego narkotyków i wszystko to jest jedynie niezwykle skomplikowaną halucynacją. Umilkła dopiero, gdy Jack wziął ją na ręce i przyspieszył kroku.

Katherine bez słowa podążyła za nim.

Jack dołożył wszelkich starań, by bezpiecznie dotarli do obozu. Nie myślał już o poprzedniej kobiecie, którą przyniósł tam na rękach. Mary ostatecznie umarła i rozmyślenia na jej temat nie mogły niczego zmienić. Ta nowa – przypomniał sobie, że miała na imię Chloe – była lżejsza od Mary. Z roku na rok trudniej mu było przyzwyczać się do tego, że miał do czynienia z żywymi ludźmi, a nie po prostu z zastępcami zabitych Przybyszów.

Domyślił się, że nowa – Chloe – pochodzi z późniejszego okresu niż większość z nich, niewykluczone, że z czasów, w których żyła Mary. Różniła się od nich choćby ubiorem. Miała na sobie najbardziej obcisłe džinsy, jakie widział w życiu, a także bluzkę uszytą z delikatnego materiału i kurtkę z miękkiej skóry, wąską w talii niczym suknia. Tak skąpy ubiór nie umknąłby uwadze żadnego mężczyzny. Jack nie był świętym ani kaznodzieją i dostrzegł jej wdzięki. Natychmiast obudziło się w nim poczucie winy.

Gdy dotarli na skraj obozu, Jack ujrzał Edgara opartego o beczkę służącą za taboret przy bramie. Skrupulatnie otaksował ich wzrokiem.

– Cześć, Kit – powiedział obojętnym głosem, a potem spojrzał na półprzytomną dziewczynę w ramionach Jacka. – Cześć, Jack. A to kto?

– Mam na imię Chloe. – Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała na Edgara. – Nie jestem dziś pewna niczego, ale to akurat pamiętam.

Jack postawił ją na ziemię, ale nie puszczał. Dziewczyna zatoczyła się, ale pomimo wyczerpania, szoku oraz choroby lokomocyjnej trzymała się prosto. Dawała sobie świetnie radę.

– Idź z Katherine, Chloe. Jesteś tu bezpieczna.

Kitty bez słowa podeszła do nowo przybyłej i również otoczyła ją ramieniem.

– Oprzyj się na mnie – zaproponowała.

Gdy Chloe przeniosła ciężar ciała na Katherine, Jack uwolnił ramię i pozostawił ją pod opieką siostry.

Edgar zapalił cygaro. Przyglądał się Kate niezwykle badawczo, jak zawsze, gdy wracała do obozu po zwiadzie. Ta udawała, że niczego nie dostrzega, ale nie potrafiła przekonać do tego nikogo, łącznie z sobą. Jack nie miał pojęcia, jak należało zająć się siostrą, gdyby cokolwiek stało się Edgarowi. Miał ochotę zamknąć ich oboje w pokoju i kazać im unormować jakoś stosunki, ale kilkakrotnie podejmował już taką próbę, bez większych rezultatów.

Obie kobiety ruszyły wolnym krokiem w kierunku namiotu Katherine. Gdy zniknęły w środku, a Kitty spuściła klapę, Jack odwrócił się w stronę Edgara.

– To nowa Przybyszka.

– Domyśliłem się. Rzadko jednak się zdarza, byś je przynosił – rzekł Edgar i podał mu drugie starannie zwinięte cygaro.

Jack pokręcił głową.

– Nie mogę. Chciałem raz jeszcze udać się na zwiad, a smród tych twoich wyrobów zabija moje zmysły.

Edgar schował cygaro bez słowa.

– Będziesz pilnował bramy? – spytał Jack.

Edgar zaciągnął się i wypuścił chmurę dymu, a potem rzekł:

– Nie unikam obowiązków, Jack. Pogadam z nią po mojej zmianie.

Mówił spokojnym tonem, ale bez wątpienia zdenerwował się, gdy Katherine uparła się, że pójdzie z Jackiem. Zazwyczaj to Edgar przeprowadzał zwiad z Kitty i stał na straży obozu, gdy w nim przebywała. Teraz dziewczyna przechodziła trudne chwile. Śmierć któregoś z Przybyszów zawsze sprawiała jej mnóstwo bólu, zwłaszcza gdy był to ktoś taki jak Mary, kogo zwała przyjaciółką.

Jack pokiwał głową. Na więcej nie mógł liczyć.

– Jaka jest ta nowa? – spytał Edgar.

– Przybyszka? Ciężko powiedzieć. – Jack oderwał wzrok od namiotu. – Twierdzi, że jesteśmy halucynacjami.

– Kolejny Francis – parsknął Edgar. – A może powiedziała ci, że tak naprawdę ma na imię Dewdrop czy Star<sup>4</sup>?

– Nie. – Uśmiechnął się Jack. – Z tego, co wiem, to chyba nie pochodzi

z tych samych czasów co on. Wydaje mi się, że nikt dotąd nie przybył z tak późnego okresu.

Nie zawsze bywało tak, że następny Przybysz pochodził z późniejszej epoki, ale wszyscy urodzili się mniej więcej w tym samym przedziale czasowym. Jack i Katherine żyli pod koniec dziewiętnastego wieku, a Mary urodziła się prawie sto lat później. Nikt nie przyszedł na świat wcześniej niż Jack i wszyscy wywodzili się z dwudziestego wieku. Przybywali również z różnych miejsc. Edgar był z Chicago, zapytana o pochodzenie Melody za każdym razem podawała inne miejsce, a Francis utrzymywał, że w chwili przeniesienia na Bezdroża znajdował się w mieście zwanym Seattle. Jack przez długie lata usiłował odnaleźć w tym jakąś prawidłowość, ale bez powodzenia.

Wraz z siostrą byli pierwszymi Przybyszami i Jack nieraz się zastanawiał, czy nie trafili na Bezdroża ze względu na coś, co zrobili wiele lat temu. Nie miał pojęcia, co mogło być przyczyną, choć przez ostatnie dwadzieścia sześć lat często do tego tematu powracał. Nie odkrył również żadnych prawidłowości związanych z czasem i miejscem pochodzenia Przybyszów. Wiedział tylko tyle, że nowo przybyli potrzebowali kogoś, kto im pomoże w adaptacji, i od dawna uznawał to za swą misję życiową. Przeniesienie na ten świat było dramatyczną chwilą. Gdyby mógł, oszczędziłby jej wszystkim.

Przez chwilę jedynym odgłosem było skwierczenie cygara Edgara. Żaden z nich nie powiedział na głos, że spodziewali się Chloe albo kogoś takiego jak ona. Nie musieli się również dzielić innym zmartwieniem – obaj doskonale wiedzieli, że nowo przybyła wkrótce przyciągnie uwagę Ajaniego.

W przypadku Jacka pojawienie się nowego człowieka zawsze zwiastowało osobliwe, podskórne wrażenie. Wielokrotnie zadawał sobie pytanie, czy Ajani czuje to samo, ale wszystko wskazywało na to, że to tylko mieszkaniec Bezdroży, który chętnie zatrudniał Przybyszów. Owo wrażenie zawsze wiodło Jacka w jakimś szczególnym kierunku, zazwyczaj blisko miejsca, w którym zginął poprzedni członek grupy, choć i bez tego wiedziałby, kiedy należy się spodziewać nowego Przybysza. Mary zginęła jakiś tydzień temu, a zastępstwo pojawiało się niemal zawsze w ciągu miesiąca. Zasada była niezmienna – gdy któryś z nich ginął, w jego miejsce zjawiał się ktoś inny. Jedyne odstępstwo polegało na tym, że Chloe przybyła o wiele wcześniej od poprzedników.

– Mam coś dla ciebie zrobić? – pytanie Edgara przerwało zadumę.

Jego ton głosu zdradzał to, czego nie mówiły słowa. Nie miał na myśli niczego konkretnego, ale był gotów spełnić każde życzenie Jacka. Na tym polegał jeden z plusów współpracy z Edgarem – łatwo było go rozgryźć.

Jack zastanowił się nad propozycją. Bywało, że lepiej od innych wiedział, jak należy postąpić z nowo przybyłymi. Po zjawieniu się Edgara niemal natychmiast odgadł, że trzeba trzymać go z daleka od broni, póki nie uzna, że Przybysze nie są dla niego zagrożeniem. W przypadku wielu innych – co do jednego już nieżyjących – trzeba było chować broń, by nie zrobili sobie krzywdy. Chloe nie pasowała do żadnej z tych kategorii.

– Na razie nie – rzekł Jack. – Może zabierz gdzieś jutro Katherine, bym mógł pogadać z Chloe bez jej wtrąniania się.

Edgar pokiwał głową.

– Nie wiem, czy ci o tym mówiła, ale Daniel jest w Traktacie – powiedział Jack nieco ciszej.

– Jak dotąd nawet się nie zająknęła. – Edgara na moment opuścił typowy dla niego spokój. Rozszerzył nieco nozdrza i zacisnął mocno usta, ale błyskawicznie się opanował i powiedział zwodniczo spokojnym głosem: – Wydarzyło się coś ciekawego?

– Katherine go postrzeliła – zaczął Jack, a potem pośpiesznie streścił wszystko, co wiedział o ich spotkaniu. Urwał na moment, a potem dodał: – Ostrzegł ją, że Ajaniemu odbija bardziej niż zwykle. Ufam mojej siostrze, ale wobec Daniela jest o wiele za pobłażliwa.

– Ja nie mam tego problemu.

– Ja też.

Jack z przyzwyczajenia otworzył magazynki obu rewolwerów. Srebrne kule w jednym i żelazne w drugim nie przydawały się na wiele podczas starcia z demonami, ale w mroku czaiło się wiele innych bestii.

Edgar podał mu bez słowa jeden z obrzynów, który trzymali przy bramie dla patroli bądź na okoliczność prób wdarcia się do środka. Jack ujął go, złapał w połowie i sprawdził, czy jest nabity, ignorując przy tym ciche parsknięcie Edgara. Obaj wiedzieli, że broń jest naładowana, ale żaden z nich nie wyszedłby w mrok bez upewnienia się. Zaufanie nie wykluczało starych, dobrych przyzwyczajień.

– Wróć za dwie godziny – rzekł Jack i wyszedł poza obręb obozu.

Gdy tylko mógł, patrolował okolicę samotnie. Reszta ich grupy zazwyczaj działała we dwoje, ale Jack potrzebował samotności, tym bardziej teraz, po śmierci jednego z nich. Każdy z członków ich grupy radził sobie z porażkami na swój własny sposób. Niektórzy z nich byli całkiem na nie obojętni, ale

Jack przypuszczał, że on i Kitty przeżywali śmierć o wiele mocniej dlatego, że byli tu najdłużej. Tylu ludzi przybyło na Bezdroża, stało się członkami ich rodziny, a później zginęło.

Jack nie miał pojęcia, co się dzieje po śmierci i czy ich czyny miały na to jakiś wpływ. Wszyscy Przybysze mieli nadzieję, że usłyszą od niego jakieś odpowiedzi na dręczące ich rozterki, ale Jack wiedział jedynie tyle, że zarówno na Bezdrożach, jak i w świecie, z którego pochodził, zaczynał wierzyć w istnienie jakichkolwiek bóstw tylko wtedy, gdy przebywał sam na łonie natury. Patrolował więc Szubieniczną Pustynię, polował na demony oraz mnichów i wędrował pod gwiazdami, które zupełnie nie przypominały tych znanych mu z Kalifornii.

## Rozdział 7

Ajani odpoczywał w ciemnym pokoju, wolny od dusznych upałów i wdzierającego się wszędzie piasku. Nie był to najwygodniejszy z jego domów, ale urządzono go na tyle luksusowo, by Ajani mógł odpocząć po ostatnim przedsięwzięciu.

Skądś dobiegał cichy, kojący plusk wodospadu. Mężczyzna zamknął oczy i spróbował skupić się na odprężających dźwiękach oraz rytmicznym oddychaniu, by tylko przestać myśleć o potwornym bólu głowy, przez który zaczął marzyć o śmierci.

Ból osłabł nieco po pojawieniu się kolejnego Przybysza na Bezdrożach. Ajani przestał mieć wrażenie, że jego wnętrzności ustawicznie się przemieszczają, minęły mu również nudności. Póki się nie ruszał, nie wracało również krwawienie z nosa, ale ta poprawa nie oznaczała całkowitego powrotu do zdrowia. Otwarcie bramy do innego świata było czynem mieszczącym się między magią a nauką. Wydawało mu się, że jego ciało zostaje wówczas wywrócone na lewą stronę i wepchnięte do pojemnika nieprzystosowanego kształtem do przetrzymywania ludzi. Miał wrażenie, że to magia, ale bez względu na to, czy była to może nauka, czy coś jeszcze innego, bolało jak cholera.

Czasami sądził, że jego bóle głowy stają się coraz mocniejsze. Kiedy indziej uważał, że po prostu traci odporność na ból. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ wielcy ludzie zawsze musieli cierpieć dla sprawy. Był gotów ponieść ofiarę, bo wiedział, że kiedyś tubylcy będą mu wdzięczni za poświęcenie, a jego rodacy uznają go za prawdziwego wizjonera. Co prawda nie odnalazł drogi do innego świata w ten sam sposób co inni badacze, ale podobnie jak wszyscy dobrzy ludzie, którzy powiększyli imperium królowej, nie miał nic przeciwko ofiarom. Przecież nie podbijał dla niej wyspy czy kontynentu, ale cały świat! Wielkie tłumy tubylców wydobywały dla niej cenne metale i diamenty w jego licznych kopalniach.

Nie było tu ciekawych artefaktów jak w Egipcie i nie zależało mu również na stworzeniu wielkiej kolekcji egzotycznych gatunków zwierząt. Miał ich kilka w prywatnym zwierzyńcu, ale diamenty i metale okazywały się o wiele użyteczniejsze od lindwurmów czy cynantropów. Nie wiedział ponadto, jak transportować owe gatunki. Przenoszenie żywych istot między

światami nie należało do łatwych zadań. I tak osiągnął bardzo wiele.

Z perspektywy powierzchni globu odległość między światami wydawała się niezmiernie duża. Ogromna, usiana gwiazdami pustka kosmiczna sprawiała wrażenie nieskończonej do chwili, gdy człowiek uświadomił sobie, że przestrzeń niewiele różniła się od płótna. Przy użyciu odpowiednich narzędzi materiał można było składać i marszczyć, a potem przebijać, wykonując niewielką dziurkę stanowiącą bramę do innego świata. Pokonanie wielkiego dystansu stawało się wówczas kwestią chwili.

Niestety należało się również liczyć z konsekwencjami, takimi jak wyczerpanie fizyczne czy złe samopoczucie. Ajani nauczył się sztuki otwierania przejść przez przypadek, gdy mieszkał w Anglii, w miejscu, które nie miało absolutnie nic wspólnego z Bezdziejami. W modzie było wówczas zainteresowanie Egiptem. Królowa rozbudowywała swoje imperium i wielu ludzi próbowało zgromadzić jak najwięcej pogańskich artefaktów. Ajani wcale nie należał do wyjątków.

Przyszedł na świat jako trzeci syn i cieszył się z tego, że nie był spadkobiercą swego ojca. Nie chciał też spędzić całego życia jako urzędnik i w związku z tym nie wiedział, co ze sobą począć. Wszystko się zmieniło, gdy nabył z mumifikowane ciało, a po nim urny kanopskie, *uszebti* oraz zaklęcia z sarkofagów. Ów tekst został nagryzmołony na marginesie kartki wyrwanej z książki, która została wsunięta pod słój. Trzymając urnę w ręku, odczytał zapisaną treść:

„Jestem władcą wieczności, który kroczy wśród nieba.

Nie ma w moim ciele strachu.

Otworzę drogę do krainy światła. Wejdę tam i zamieszkać w niej.

Zróbcie dla mnie miejsce. Jestem tym, którego strażnicy nie zatrzymują.

Jestem tym, który otwiera jego portale!

Gdy wymawiam te słowa, jestem niczym Re na wschodnim niebie i jak Ozyrys w świecie umarłych. Przejdę przez kręgi ciemności, nie musząc oddychać po wsze czasy!”.

Wtedy otworzyło się przejście. Wszechświat złożył się, a słowa zaklęcia uformowały tunel wiodący z jego dość wygodnego salonu do miejsca, którego nie mógł dostrzec.

Gdyby Ajani wiedział, co go czeka, być może by się zawahał, ale był wówczas nieźle wstawiony. Miał długą praktykę w sztuce upijania się, ale tego dnia wbrew sobie odsunął na bok logiczne myślenie. Na szczęście chwilę później wkroczył nie do świata umarłych, ale do Bezdziej, zapomnianego przez Boga uniwersum pełnego pogan, potworów, szaleńców



i demonów, ale za to pozbawionego całkowicie arystokracji.

Tak oto Ajani zajął się tym, co powinien robić każdy wierny sługa królowej. Zajął się eliminowaniem wad i niedociągnięć Bezdroży, rządzeniem tubylcami zamieszkującymi ów prymitywny świat i przedstawianiem im korzyści, jakie płyną z mieszkania w części prześwietnego Imperium Brytyjskiego.

Pamięć o tym, że wszystko, co czyni, służy polepszeniu warunków bytowania na tym świecie, była dlań jakąś pociechą. Wczoraj sprowadził na Bezdroża kolejnego pożytecznego żołnierza. Wiele go to kosztowało i dlatego dziś będzie leżał i czekał, aż jego ciało wróci do normy.

## Rozdział 8

Tej nocy Kitty zajmowała się Chloe, która miała wysoką temperaturę, typową dla wszystkich przybywających na Bezdroża. Nieoczekiwaną korzyścią było to, że mogła unikać Edgara. Zatrzymał się przed jej namiotem po zakończeniu swej zmiany, ale nie odważył się wejść do środka bez zaproszenia, tym bardziej że Kitty zajmowała się nową Przybyszką.

Kitty robiła to tak często, że inni zaczęli uznawać to niemalże za rutynę. Niestety przyzwyczajenie do danej czynności wcale nie sprawiało, że stawała się ona mniej nużąca. Siedziała przy tym samym łóżku, na którym kiedyś miotła się targana dreszczami Mary, moczyła ręcznik w tej samej białej misce i czuwała nad kolejną kobietą, która wkrótce miała się obudzić w nieznanym sobie świecie.

Pierwszych kilka dni zawsze dawało się we znaki ludzkiemu ciału. Do południa następnego dnia gorączka Chloe zelżała, ale dziewczyna nadal musiała odpoczywać. Budziła się jedynie na chwilę, co również było typowe. Przejście na Bezdroża zawsze było wyczerpującym doświadczeniem, ale najgorsze było już za nimi i Kitty mogła zostać zastąpiona przez Melody na kilka godzin. Potem dyżur miał przejąć Francis. Zazwyczaj Kitty wykorzystywała okazję, by odespać poprzedni dzień i nabrać sił przed kolejną bezsenłą nocą. Pod koniec trzeciego dnia z reguły znów trafiała do namiotu z nowym Przybyszem. Nie była to nienaruszalna zasada, ale wolała, by nowo przybyli budzili się w obecności jej bądź Jacka. Pozostali zgadzali się z jej życzeniem, nawet jeśli nie wszystko rozumieli. Nigdy przecież nie obudzili się w samotności, całkiem zagubieni i niepewni niczego. Nic dziwnego, że nie pojmowali szoku, jaki może wywołać przejście. Jack rozumiał go doskonale.

Gdy przybyli na Bezdroża, nie wiedzieli zupełnie nic o świecie oraz żyjących w nich ludziach i stworzeniach. Jeszcze mniej byli świadomi tego, dlaczego się tu w ogóle pojawili. Po dwudziestu sześciu latach nabyli już wiedzę o tutejszych realiach, ludziach i istotach, więc mogli podzielić się nią z nowo przybyłymi oraz pomóc w dopasowaniu się. Robili to, co zrobić należało.

Dziś Kitty jednakże wolałaby znaleźć się gdzieś indziej. Nie chciała odpoczywać, nie chciała zajmować się śmiercią Mary czy przybyciem Chloe.

Ich grupa mieszkała w tym obozie od ponad tygodnia, od czasu kłopotów, które mieli z bractwem. Kitty potrzebna była przerwa, kilka chwil wytchnienia od czujnych spojrzeń i pełnego napięcia oczekiwania, które następowało po każdej śmierci.

Przebrała się w coś elegantszego, upewniła się, czy nigdzie nie ma Edgara, i udała pod bramę, gdzie zastała Francisa siedzącego w jednej ze swoich niewygodnych pozycji, które wydawały się niemożliwe. Właśnie wypróbowywał kolejny roślinny krem, na skutek czego jego twarz była błękitnawa. W przeciwieństwie do pozostałych skóra Francisa nadal błyskawicznie czerwieniała po wystawieniu na promienie słoneczne, nawet pomimo tego, że smarował się tym samym kremem ochronnym co reszta. Krem był jego dziełem i choć wszyscy członkowie grupy stosowali go z powodzeniem, Francis czerwieniał jeszcze szybciej. Kitty uśmiechnęła się do niego.

– Muszę się udać do Szubienicy – powiedziała.

– Sama? – spytał.

Zerknął na nią przy tym przelotnie, a potem powrócił do posłusznego przyglądania się bezkresnej pustyni.

Kitty przejrzała broń trzymaną przy bramie, by zyskać trochę czasu i ustalić, ile mogła mu powiedzieć. Na pewno nie przekonałaby go, że w takim stroju nie wybiera się do tawerny. Miała na sobie suknię z lekkiego materiału związaną z przodu dziesiątkami tasiemek, dzięki czemu zyskała swobodę ruchu i mogła pochwalić się nogami. Z tyłu nie było żadnych wiązań i suknia sięgała niemalże ziemi. Zdobienia i wykończenia nie pozostawiały cienia wątpliwości, że nie jest to suknia do chodzenia po pustyni. W jej rąbkach zbierałby się kurz, a przy odrobinie nieuwagi ciernie podarłyby ją na strzępy.

Katherine wsunęła kilka noży do rzucania do torby i dodała:

– Jack już wyruszył. Zapewne się spotkamy, zanim dotrę do miasta.

Nie było to całkowite kłamstwo. Przypuszczała, że brat tak czy owak ją dogoni, choć nie wiedziała, czy nastąpi to jeszcze przed jej dotarciem do Szubienicy. Wszystko zależało od tego, kiedy się dowie o jej wyjściu.

– Jeśli Edgar zapyta cię o coś, wiesz, co masz mu powiedzieć.

Francis nie spojrział na nią przy tych słowach.

– Jeśli Jack wróci bez ciebie...

– Zabrzmiało to, jakbyś we mnie wątpił.

– Nim tu trafiłem, wypaliłem mnóstwo trawy, ale nie oznacza to, że jestem głupi.

Francis nadal przyglądał się pustyni.

Kitty westchnęła.

– Nie powiedziałem jednak, że ci nie pomogę – dodał cicho Francis. – Nikomu z nas śmierć w grupie nie przysparza tyle bólu co tobie. Idź i zabaw się. Nie daj się zabić, bo Jack i Edgar... Rany, nie mam pojęcia, co by zrobili. Nie podoba im się, gdy wychodzisz sama.

– A im wolno?

Kitty usiłowała zamaskować swój gniew. Przecież jej brat w tej właśnie chwili patrolował samotnie pustynię. Edgar bez wątpienia zrobił to wcześniej. Obaj zachowywali się tak, jakby nie była w stanie zatroszczyć się o siebie, a tymczasem jako jedyna potrafiła posługiwać się tutejszą magią. Przebywała na Bezdrożach równie długo jak Jack i dłużej od Edgara. Wraz z bratem zabijali obce im potwory na długo, nim zaczęli do nich dołączać inni.

– Nie ma powodu, abym nie mogła wypuścić się samotnie.

Niespodziewanie przypomniało jej się ostrzeżenie Daniela, ale przecież on potrafił być gorszy od Jacka czy Edgara. Wszyscy zachowywali się, jakby była delikatną paniusią potrzebującą ciągłej opieki. Zaczynali się z nią liczyć dopiero, gdy dochodziło do użycia magii bądź strzelaniny. Doceniali jej umiejętności, ale tylko wtedy, gdy im towarzyszyła. Cóż za obłąd.

Francis wyciągnął pistolet, a Katherine wsunęła go do kabury, którą przymocowała do nogi pod suknią, gdzie była skryta przed ludzkim wzrokiem, ale łatwo dostępna.

– Wypuszczają się sami, bo są tu najdłużej – powiedział.

– Ja zaś jestem tu równie długo jak Jack i dłużej od Edgara – poprawiła go.

– Zgadza się – rzekł Francis i zapytał bez emocji: – A w jakich latach oni się urodzili?

– Zamknij się.

Było to ulubione powiedzonko jego oraz Mary. Kitty szybko uczyła się słów i sposobów zachowania urodzonych po niej Przybyszów, choć niektóre rzeczy, które mówili i robili, wciąż były dla niej zaskakujące. Nie miała zamiaru przyznawać Francisowi racji, ale musiała pogodzić się z tym, że ten się nie mylił – Jack nie lubił się zmieniać. Trzymał się starych poglądów i przyzwyczajzeń, jakby nadal miał nadzieję, że kiedyś powrócą do rodzimego świata. Kitty próbowała iść z biegiem czasu, ale w kwestii jej bezpieczeństwa zarówno jej brat, jak i Edgar nadal trzymali się irytujących, starych przyzwyczajzeń.

– Uważaj na siebie. – Francis wyprostował swe wychudłe ciało i wstał z beczki, która służyła mu jako taboret, a potem uściskał ją jednym ramieniem. – Serio, Kitty. Nie daj się zabić.

– Nic mi nie będzie – obiecała. – Muszę się tylko trochę rozerwać.

Kilka godzin później Katherine usiłowała sobie wmówić, że naprawdę dobrze się bawi, lecz rozmowy z uzbrojonymi po zęby pijakami wcale jej w tym nie pomagały. Szubienica była jedynym miasteczkiem w tak daleko wysuniętym rejonie pustyni, ale mimo wszystko nie było to złe miejsce. Spędziła tu kilka wesołych nocy.

„Głównie z Edgarem lub...”.

Potrząsnęła głową, by nie myśleć o innych Przybyszach, których zwała kiedyś przyjaciółmi, a potem spojrzała na wychudłą pijaczkę siedzącą obok niej i powiedziała:

– Pomyśl logicznie, Lira. Nie chcesz chyba...

Lira chlusnęła w nią winem, przerywając wywód.

Kitty otarła dłonią twarz. Słodkawy zapach taniego wina był niemalże równie irytujący jak mokre włosy klejące się do skóry. Zaczęła liczyć w myślach, by nie stracić panowania nad sobą. Barman schował się za ladą, a facet po lewej sięgnął po broń.

Kitty grzmotnęła go w twarz.

– Dzięki!

Lira wyszczerzyła zęby, choć dopiero co oblała rozmówczynię winem.

Przez chwilę Kitty miała zamiar powrócić do liczenia, ale ochota minęła jej szybko. Chciała choć przez jedną noc udawać, że życie jest nadal normalne, a tymczasem śmierdziała winem, którego nie piła, swędziały ją pięści, a kobieta, przez którą zaczęła kłótnię z jakimś gościem, uśmiechała się do niej, jakby były przyjaciółkami. Trzeba przyznać, że znała ją od lat – awanturniczka była jedną z kierowniczek zmiany – ale kilka rozmów i kłótni nie zacieśniło ich stosunków. Przyjaciele w końcu nie oblewali się winem.

– Boże, ocal mnie przed idiotami – rzekła Kitty i tym razem rąbnęła Lireę. Kilka lat temu usunęłyby się na bok i pozwoliła, by oboje strzelali do siebie, ile im się żywnie podoba, ale w jej głowie nadal rozbrzmiewało zdanie, tak często powtarzane przez Jacka: „To nasze powołanie”. – Jasne – mruknęła Kitty i odwróciła się w stronę sali, gdzie wybuchały już kolejne bójki.

Szefowa sama była uwikłana w starcie, a barman zniknął, przez co reszta gości przestała odczuwać jakiegokolwiek zahamowania. Zachowywali się teraz jak niegrzeczne dzieciaki. Kitty mogła wmieszać się do walki, ale nie

było przy niej Jacka, który by ją zbeształ, a sama nie miała ochoty na interwencję. Uniosła więc drinka w geście toastu i odwróciła się plecami do baru, by przyglądać się bijatyce. Czasami w takich chwilach czuła się, jakby wróciła do domu, choć nie mogła zapomnieć o magii i stworzeniach, które idealnie pasowały do ksiązek z baśniami. Ludzie byli ludźmi, nawet jeśli nie zawsze zachowywali się jak ludzie. Kłopoty zaś były kłopotami, nawet jeśli wywoływały je potwory. W tym oto kryła się cała logika.

Przyglądała się kilku bójkom naraz, próbując wytypować zwycięzców, gdy poczuła zapach dymu. Rozejrzała się po sali i przekonała, że na pewno nie wydobywa się z pustych beczek stojących przy stołach. Wiszące na ścianach tkaniny również nie płonęły. Dym dobiegał z zewnątrz.

– Padnij! – krzyknęła.

Oba przednie okna eksplodowały, zasypując walczących gradem okruchów barwionego na czerwono szkła.

Chaos natychmiast ustał. Ludzie, którzy jeszcze chwilę temu byli gotowi porozbijać przeciwnikom łby, teraz pomagali im wstać.

– Nie masz zamiaru nic zrobić? – spytał barman, który ostrożnie wychylił głowę aż po nos.

Jeden z kucharzy pełzył po podłodze i pchnął w jej kierunku wiadro pełne trudnych do zidentyfikowania kawałków niegotowanego mięsa.

– Łap.

Kitty przyjrzała się zebranym. Patrzyli na nią tak, jakby tylko ona mogła ich uratować przed zagładą. Było inaczej. Każdy z nich mógł to zrobić, ale nikt nie miał odwagi.

Przez ostatnie dwadzieścia sześć lat wysłuchiwała niejednego kazania Jacka i widziała tysiące nienormalnych rzeczy, ale jednego mogła być pewna – w określonych sytuacjach ludzie zawsze zachowują się w ten sam sposób. W chwili gdy zaczynały się prawdziwe kłopoty, większość z nich się chowała. Potrzebowali jej pomocy i nagle stawała się najlepszym przyjacielem ich wszystkich. Gdyby miała wrażliwszą duszę, sprawiłoby jej to ból. Cóż, może i wciąż tak było, ale dawała sobie z tym radę.

Kitty westchnęła, ale związała mokre włosy i ujęła wiadro.

– Niech nikt nie wychodzi.

Nie interesowało jej, czy posłuchali jej słów. Pchnęła sięgające talii drzwiczki saloonu i wyszła. Przypuszczała, że do Szubienicy właśnie dotarł lindwurm, który umknął z Cozy's Ranch.

Na szczęście bestia czyhająca na ulicy była jeszcze bardzo młoda i buchała raczej dymem niż ogniem. Leżała na łuskowatym podbrzuszu

z rozrzuconym łapami, ale Kitty wiedziała, że w razie potrzeby potrafiłaby błyskawicznie się zerwać. Podciągnęła i zawiązała przód sukni, by nie plątała się pod nogami, gdyby trzeba było uciekać.

– Popatrz tutaj, skarbie.

Potwór nie spuszczał jej z oczu. Dziewczyna ujęła kawałek mięsa i rzuciła go na ziemię. Z pyska lindwurma wystrzelił długi, cienki język, który porwał ochłap. Następnie potwór podpełzł ku niej.

– O, właśnie. Tak, tak. Teraz pójdziesz za panią Kitty – wabiła go.

Wielkie oko przypominające opal wpatrywało się w dziewczynę cofającą się od budynku. Lindwurm nie rzucił się na nią ani nie bluzgnął w nią ogniem, choć z nadmiernie wielkich nozdrzy buchnęły kłęby dymu.

Kitty znów cofnęła się o kilka kroków i rzuciła kolejny ochłap. Po chwili napięcia potwór znów podpełzł w jej kierunku.

Nigdy nie odważyłaby się wykorzystać tej sztuczki przeciwko dorosłemu lindwurmowi, ale młode nie były tak zwinne ani źle usposobione. Ten osobnik był najprawdopodobniej po prostu głodny i po najedzeniu się powinien zapaść w sen. Kitty musiała jedynie odciągnąć go od zabudowań i nie dać się przy tym usmażyć. Pustynia otaczająca Szubienicę była dla lindwurmów idealnym środowiskiem – prerie, które pamiętała z ojczywego świata, szybko by spłonęły.

Kilka kolejnych kawałków odciągnęło bestię dalej od budynków, ale lindwurm poruszał się zbyt wolno. Nie mogła przecież powiedzieć mu, by zaczekał, aż przyniesie więcej mięsa. Rzut oka na knajpę przekonał ją, że nikt nie ma zamiaru dostarczyć jej więcej ochłapów. Wabienie lindwurmów było zadaniem dla kilku ludzi. Kitty wielokrotnie zajmowała się tym w pojedynkę, ale często kończyło się to wybudzeniem ze śmierci po kilku dniach.

– Czy jest tam ktoś na tyle przyzwoity, by mi pomóc? – zawołała Kitty.

Drzwi i okna nadal były zamknięte. Nic dziwnego.

Lindwurm zaczynał się nudzić, a jej kończyło się mięso. Naraz potwór plunął ogniem i dziewczyna uskokczyła w bok.

– Serio? – mruknęła. – Nie miałam zamiaru skończyć dziś w piekarniku!

– To może nie powinnaś wybierać się nigdzie sama, Katherine.

Głos Jacka przyniósł jej ogromną ulgę. Nie musiała się odwracać, by wiedzieć, że jego zaciśnięte mocno usta tworzą cieniutką, surową linię, szpecąc jego przystojną twarz. Była też pewna, że jego piękne niebieskie oczy mówią teraz: „Ależ mnie rozczarowałaś!”.

Najlepszym sposobem na zamaskowanie ulgi było wszczęcie kłótni.

– Jak widać – rzekł przeciągle Jack, ustawiając się po prawej coraz bardziej zaniepokojonego Lindwurma – denerwowanie jaszczurek to idealny sposób na spędzenie wieczoru.

– To nie moja wina.

– To nigdy nie jest twoja wina – rzekł Jack, a potem przyjrzał się bestii i rzekł: – Uprząż i lejce wydają się nietknięte. Mogłabyś...

– Nie jestem ujeżdżaczką.

– Tym bardziej nie powinnaś wypuszczać się sama. – Jack spojrzał jej w oczy i spytał: – Gotowa?

– Tak!

Z tymi słowami rzuciła jeden z ostatnich ochłapów na lewo. Lindwurm skierował tam swą głowę, a wtedy Jack wskoczył na grzbiet łuskowatej bestii. Miał na twarzy ten sam krzywy uśmiech, który pojawiał się u niego podczas walki lub w każdej innej sytuacji grożącej ranami. Przez większość czasu był ponurym, surowym człowiekiem i tworzył zasady z tą samą łatwością, z którą ona miotała bluzgami, ale w chwilach zagrożenia życia uśmiechał się od ucha do ucha.

– Podciągnij kieckę i uciekaj! – zawołał.

Lindwurm smagnął go ogonem i zranił, ale nie spalił. Starszy osobnik zwęgliłby go bez trudu, ale ten potrafił jedynie rzucać się i szarpać. Jak dotąd jedynie go podirytowali.

Kitty ruszyła biegiem w kierunku sklepu mięsnego, pchnęła drzwi i oderwała spory ochłap baraniny. Trzymając lepki kawałek mięsa, pobiegła w stronę potwora.

Ten uspokoił się na jej widok.

Uniosła ochłap wysoko, jak najdalej od swego ciała, i podeszła do Lindwurma.

– Nienawidzę tej części zadania – przyznała.

– Szykuj się do ucieczki – przypomniał jej Jack.

Lindwurm węszył, wyraźniej wyczuwając zapach mięsa.

– Będę chrupkim kąskiem, jeśli postanowi ugotować obiad – rzekła Kitty najbardziej obojętnym głosem, na jaki było ją stać.

– Dostaniesz wówczas kilka dni wolnego.

Kitty rzuciła kawałek mięsa, nim potwór zbliżył się do niej. Lindwurm buchnął parą i ugotował go, gdy ten spadł na piasek, a potem zaczął żuć. Wtedy Jack ujął wodze i skierował potwora na pustynię. Kitty ruszyła za nimi pieszo, aż dotarli na tyle daleko, by Lindwurm nie zdołał nic podpalić, bekając, kaszląc czy też ponownie wpadając w złość. Gdyby była w stanie



wskoczyć mu na grzbiet, dokonałaby tej samej sztuki co Jack, ale tylko skrajny idiota lub szaleniec próbowałby dosiąść lindwurma bez pomocy partnera odciągającego jego uwagę.

Jack ześlizgnął się z grzbietu potwora i stanął przy niej. Dziewczyna oderwała kawałek sukni i obwiązała jego ranę na lewym bicepsie.

– Powinnaś była mi powiedzieć, że wychodzisz – pouczył ją i położył prawą dłoń na jej ramieniu. – Mi albo Edgarowi. Przecież wiesz.

Ściągnęła końce zaimprovizowanego bandaża i zawiązała je.

– Nie ma sprawy, Kit. Zawsze jestem do twoich usług, tym bardziej że okazałem się durniem i odepchnąłem cię na bok, by móc popławić się we własnej winie. Przykro mi, że nie umiem cię wesprzeć. Naprawdę.

Kitty zawiązała opatrunek i spojrzała mu w oczy.

– Za suknię również chciałem cię przeprosić. Kupię ci nową. Bardzo się cieszę, że nic ci się nie stało. Och, a w ogóle to dziękuję za odnalezienie brakującej jaszczurki.

– Skończyłeś? – spytała z westchnieniem. – Poczujesz się lepiej, jak się pokłócimy, Jack.

– A o co mamy się kłócić? Przecież masz rację, choć nie będę tłumaczyć się przed tobą jak maminsynek – rzekł Jack, a potem zatknął brudny od wina i ziemi kosmyk za jej ucho. – Wiem, że jesteś już dorosłą kobietą, ale wciąż moją młodszą siostrą.

Oparła czoło o jego ramię i zaczęła odliczać w myślach. Musiała to zrobić, by nie powiedzieć czegoś, czego mówić nie powinna. Jej brat miał rację i ona dobrze o tym wiedziała.

Po chwili odsunęła się od niego. Bywalcy pubu zaczęli już wychodzić na zewnątrz i podchodzić bliżej, a ona nie miała zamiaru roztkliwiać się czy kłócić się z Jackiem przed tłumem obcych.

– Ten lindwurm sam do domu nie wróci – powiedziała stojąca za nią Betsy. – A tu zostać nie może.

Kitty przewróciła oczami i znów zaczęła liczyć w duchu. Konieczność zajmowania się problemami nieobecnej właścicielki stworzenia bynajmniej nie poprawiła jej nastroju. Kobieta zatrudniała niekompetentnych półgłówków i traktowała knajpę jak własne tereny łowieckie, co nie przysporzyło jej szacunku u Katherine.

Jack natychmiast podszedł do Betty z uśmiechem.

„Można wyciągnąć hazardzistę z saloonu, jednak za żadne skarby nie da się pozbawić go uroku” – pomyślała Kitty. Swego czasu musiała polegać na własnym wdzięku, ale po przeniesieniu się na Bezdroża zrezygnowała

z uśmiechów na rzecz rewolwerów. Niemniej jednak stare przyzwyczajenia czasami okazywały się bardziej wartościowe od nowych, tak więc przybrała sztuczny, znienawidzony przez siebie uśmiech i stanęła u boku Jacka. Rodzina zawsze musi trzymać się razem. Kulturowała to przekonanie od dzieciństwa i czerpała z niego siłę.

– Ale przecież możemy zostawić go tutaj i udać się najpierw do Cozy's Ranch, by sprawdzić, czy uciekł stamtąd – powiedział z uśmiechem Jack i wskazał lindwurma.

Betsy wybuchła śmiechem.

– I mieć nadzieję, że Cozy szybko go stąd zabierze? Przystojniak z ciebie, Jackson, ale ja już jestem dużą dziewczynką i męska uroda to za mało, bym zgłupiała. – Obrzuciła go głodnym spojrzeniem i dodała: – Tak, sama uroda to mało. Potrzeba by mi czegoś jeszcze.

Jack zignorował oczywistą zachętę, ale uśmiechnął się szeroko.

– Brzmi kusząco.

– Wątpliwe. – Betsy pokręciła głową, jednak mrugnęła do niego i zawołała: – Do chwili zniknięcia potwora pijecie za połowę ceny!

Potem weszła do tawerny, wołając o miotły oraz szklarza.

Większość stałych bywalców natychmiast podążyła za nią, ale na dworze pozostała grupka górników, którzy przed chwilą nie szczydzili sił podczas bijatyki. Podobnie jak reszta tubylców byli niziutkimi, przysadzystymi ludźmi z wielkimi nietoperzowymi uszami oraz oczami pozbawionymi białek. Wedle popularnej teorii ich mikra postura, wielkie uszy i czarne oczy wzięły się stąd, że od wielu, wielu pokoleń pracowali pod ziemią. Wyjaśnienie brzmiało sensownie i sprawiało, że Kitty mogła na nich patrzeć z większym spokojem.

– Macie może jakiś łańcuch na tyle silny, by odprowadzić lindwurma? – spytał Jack.

Dwóch tubylców wystąpiło. Pierwszy spojrzał na Jacka i rzekł:

– Może mamy.

Drugi wziął sobie sprawę bardziej do serca i spytał:

– Oskarżasz nas o coś?

Kitty podeszła do niego w pełni świadoma tego, że jej biodra znajdują się na wysokości oczu górnika. Miała podciągniętą suknię, przez co górnicy sporo widzieli. Zatrzymała się w takiej odległości, że mężczyzna musiał albo unieść wzrok, albo przyznać, że gapi się na jej wdzięki.

Wybrał pierwszą opcję, a wtedy Kitty powiedziała:

– My po prostu potrzebujemy łańcucha. Czy ja ci wyglądam na taką,

która ma podobny łańcuch przy sobie?

Górnicy wpatrywali się w nią swymi niepokojącymi czarnymi oczami, ale po chwili przyznali, że rzeczywiście może potrzebować łańcucha. Kitty i Jack nawet nie skomentowali, że ogniwa otrzymanego przez nich łańcucha pasowały idealnie do tych, które nadal znajdowały się przy obroży lindwurma. Oboje ustalili kilka lat temu, że ci, którzy tyle wycierpieli przez chciwość Ajaniego, zasługiwali na to, by w niektórych sytuacjach przymknąć oko na oczywiste przewiny. Górnicy znajdowali się na szczycie tej listy.

– Na pewno udałoby wam się zabrać to bydłę, prawda? – spytała Kitty, zwracając się do wszystkich razem. – Rancho leży kawałek drogi stąd. Jestem pewna, że Cozy nie będzie miał nic przeciwko opóźnieniu, o ile nie musiałby sam fatygować się po lindwurma.

Zewsząd rozległy się pomruki zgody. Ten ponury drań Cozy gotów był zignorować wieki tradycji, by tylko móc napchać sobie kieszenie pieniędzmi Ajaniego. Podobnie jak wielu innych hodowców lindwurmów podniósł ceny tak wysoko, że górnicy nie byli w stanie wynajmować, ani tym bardziej kupować tych stworzeń. Ajani zaś nałożył wysokie podatki na tych hodowców, którzy robili interesy z kimś spoza aprobowanego przez niego grona. Wiele lat temu górnicy nie mieli ochoty sprzedać Ajaniemu swych kopalni, które stanowiły rodzinne interesy, a ten zemścił się, systematycznie ograniczając im dostęp do narzędzi niezbędnych w ich fachu. W rezultacie ludzie, którzy od wielu pokoleń pracowali w kopalniach i jako jedyni byli do tego fizycznie gotowi, przymierali teraz głodem. Nic więc dziwnego w tym, że od czasu do czasu wykradali lindwurmy, których nie mogli legalnie wynająć.

Kitty uśmiechnęła się do górników, ciesząc się z tego, że znalazła korzystne dla nich rozwiązanie. Zmaganie się z bestią nie należało do przyjemności, ale nie mogła winić ich o to, że jej nie pomogli. Najważniejsze było to, że nic się nikomu nie stało, Ajani stracił nieco pieniędzy, a górnicy zapamiętają, że oddała im lindwurma, nawet jeśli był to ten sam, którego już ukradli.

Po rozwiązaniu problemu Kitty ujęła Jacka pod rękę i razem ruszyli w stronę obozu. Pył i kurz, których na Bezdrożach zawsze było aż nadto, wydawał się gęstszy niż zwykle, ale może było to złudzenie. Katherine przecież nadal lepiła się od wylanego na nią wina, przez co przywierało do niej więcej tych dokuczliwych drobin.

Po przejściu mili Jack się odezwał:

– Przykro mi z powodu Mary. Przykro mi też, że cię nie wpuściłem, gdy ona... Gdy czekałem.

– Jej śmierć nie była twoją winą, ale następnym razem powiedz mi osobiście, że mnie wyrzucasz, a nie zwalaj zadania na Edgara.

Kitty wiedziała, że Mary była również kimś ważnym dla jej brata, ale ten nie uronił nawet łzy. Już dawno temu nauczył ją, że płacz jest dla słabeuszy. „Może dlatego nie chciał, bym siedziała wraz z nim w namiocie?”

Katherine wiedziała, że Mary kocha się w jej bracie, ale była również przekonana, że ten nie odwzajemnia jej uczuć. Jeśli było inaczej, nie powiedział o tym ani Mary, ani Kitty.

Jack nadal się nie odzywał.

Kobieta spróbowała rozładować atmosferę:

– Jeśli masz ochotę mnie przeprosić, możemy pogadać o tym, jak zrujnowałeś mi wieczór. To akurat była twoja wina.

– Kąpiel w winie, taniec z lindwurmem... – wycedził Jack. – Nic dziwnego, że nie chciałaś wychodzić. A z czystej ciekawości, jak długo musiałaś liczyć w duchu, aż uznałaś, że nie chcesz mnie uderzyć?

Nie miała ochoty przyznawać, że cieszyła się z jego nieoczekiwanego przybycia. Nie chciała nawet przyznawać, że gdyby mogła zaprosić go na rozróbę, zrobiłaby to, bo wiedziała, że ma więcej napięcia do rozładowania niż wszyscy pozostali. Tymczasem przewróciła jedynie oczami.

– Powiem ci następnym razem.

Jack wybuchnął śmiechem i resztę drogi przebyli w nieco pogodniejszych nastrojach.

– Może powinienem posiedzieć przy tej nowej do chwili, gdy się obudzi? – odezwał się Jack tuż przy bramie.

– Bo niby tak dobrze radzisz sobie z płaczącymi kobietami? – Kitty się uśmiechnęła.

– Nie wiemy, czy ta nowa to histeryczka – zastanawiał się Jack.

– Chloe. Nie „ta nowa”, Jackson, tylko Chloe.

Kitty nie chciała przyznać, że robiła to samo co jej brat i próbowała myśleć o nowo przybyłej, nie używając imienia. Miana sprawiały, że ludzie stawali się prawdziwi. Bywało, że tego właśnie Kit chciała uniknąć. Nie życzyła sobie, by stawali się prawdziwi, bo wtedy ich śmierć bardziej bolała.

– Racja. – Jack pokiwał głową. – Nie sądzę, by Chloe była histeryczką.

– Miejmy nadzieję, że nie należy do takich, którzy z ochotą przystaną do Ajaniego.

Jack skrzywił się, ale nie powiedział ani słowa. Oboje wiedzieli, że trzeba

się liczyć z ryzykiem. Prędzej czy później Ajani zjawi się i będzie próbował ją zwabić do siebie, a na razie musieli ze wszystkich sił pomagać jej w aklimatyzacji. Nic innego do roboty nie było, może poza martwieniem się.

Od chwili przybycia na Bezdroża wielokrotnie znajdowali się w takiej sytuacji i szczerze powiedziawszy, Kitty tego właśnie potrzebowała. Szampańskie noce czy towarzystwo mieszkańców Bezdroży były jej obojętne. Zależało jej na poczuciu jedności z drugą osobą, która być może miała podobne zmartwienia, opłakiwała tych samych poległych i pamiętała te same twarze z przeszłości. Zależało jej na garstce tych, których wciąż mogła nazwać rodziną.

## Rozdział 9

Jack pozostawił Katherine w obozie i umknął. Niepotrzebnie proponował, że zaczeka na przebudzenie Chloe. Czuł się głupio z tego powodu, gdyż było mnóstwo pracy do zrobienia. Trzeba było znaleźć mnichów, a rano przemówić do rozumu łatwowiernemu Francisowi oraz Edgarowi, który nie panował nad emocjami. Jack przyprowadził Katherine bezpiecznie do obozu, ale dobrze wiedział – i przypuszczał, że Edgar również zdaje sobie z tego sprawę – iż jego siostra po prostu potrzebowała chwili wytchnienia. Przybycie Chloe okazało się trudnym doświadczeniem, a śmierć Mary wciąż była świeża. Jego młodsza siostra próbowała panować nad emocjami, ale czyniła to z coraz większym trudem. Rozmówiła się z gubernatorem, postrzeliła Daniela, udała się na zwiad z Jackiem, a potem zajmowała się Chloe podczas pierwszego, okropnego dnia jej pobytu na Bezdrożach, kiedy dręczyły ją najrozmaitsze dolegliwości. Wiedział, że o ile ktoś nie zmusi Kitty do odpoczynku, ta będzie dzień za dniem zajmować się Chloe. Nowa zaś będzie się czuć, jakby padła ofiarą jednoczesnego zatrucia i pomieszania zmysłów. Wiele rzeczy, które robiła Katherine, doprowadzało go do szału, ale nie mógł jej winić o to, że otacza nowych Przybyszów taką troską.

„Każdy z nas radzi sobie na swój sposób”.

Kitty szukała kłopotów, a Jack wędrował samotnie przez mrok. Najłatwiej było mu znaleźć spokój na rozległych, otwartych przestrzeniach. Pustynia dookoła niego oddychała. Czasami miał wrażenie, że mógłby się tu zagubić, pozwolić, by piasek i niebo pochłonięły go w całości. Czuł się jak w świecie, w którym się urodził, gdzie wszystko miało sens. W przeciwieństwie do tego, co uważali inni, był przekonany, że nie wrócą już wszyscy razem do rodzimej rzeczywistości. Po pierwsze, nie miał pojęcia, do jakiego roku zostaliby przeniesieni – do tego, z którego pochodzili, czy może do obecnego? Po drugie, każdy z kolejnych Przybyszów, z wyjątkiem Katherine i jego samego, pojawiał się na Bezdrożach pojedynczo. Siła, która ich tu przerzucała, zupełnie się nie spieszyła.

Cienie zmieniały się i przekształcały. Niespodziewanie uderzył go bezsens tego, czym zajmowali się na Bezdrożach. Gubernator Soanes zwerbował ich, gdy było ich jeszcze tylko dwoje, a po przybyciu kolejnych stali się

psstrokata zbieranina do r3znych zadań. Po upływie wielu lat miał wrażenie, że zabijanie r3znych potwor3w kryj3cych si3 w mroku niewiele si3 r3żni od jego kr3tkotrwałej kariery w szeregach US Marshals. Robił mn3stwo zamieszania i niewiele wi3cej.

Ajani skutecznie werbował wszystkich Przybysz3w, których mógł namierzyć, i proponował im stanowiska w jego osobistej milicji. Ich umiej3tność zmartwychwstawania mogłaby pomóc w szerzeniu dobra na świecie, ale Ajani wolał wykorzystywać ją do własnych cel3w. Jack ze wszystkich sił próbował utrzymać swych ludzi poza zasi3giem Ajaniego, ale prędzej czy później wszyscy mieli z nim do czynienia. Ten człowiek wywoływał coraz wi3ksze zamieszanie na Bezdrożach i bez skrupułów ignorował kolejne tradycje, zasady oraz etykietę bloedzuiger3w. Kradł to, czego nie mógł kupić, i zabijał tych, których nie mógł przekonać. Z jakichś niejasnych dla Jacka, niebywale irytuj3cych powod3w ludzie Ajaniego nigdy nie ginęli. Z chwil3 przył3czenia si3 do niego zyskiwali nieśmiertelność.

„Jak dot3d” – pomyślał Jack.

Trzeba było jednak przyznać, że ta umiej3tność dawała Ajaniemu niemalże boski status na Bezdrożach i czyniła prawie niemożliwym do zabicia.

On jednak nie zostawiał ślad3w na pustyni. Ba, człowiek jego pokroju za nic w świecie nie przeszedłby si3 po pustyni w obawie przed pobrudzeniem szytych na zam3wienie but3w. Ktoś inny zostawił te ślady i Jack musiał si3 z nim tej nocy rozprawić. Gdy wracał z Katherine do obozu, odkrył kolejne tropy, identyczne jak te, które dostrzegł, nios3c Chloe. Tym razem były jeszcze bliżej. Gdyby były prawdziwymi śladami, wiatr szybko by je rozwiał. Sypki piasek w niczym nie przypominał błota i nie można było niczego w nim odcisnąć. To, że pojawiały si3 w pobliżu obozu i były głęboko odcisnięte, oznaczało, że ktoś usiłuje przyci3gn3ć jego uwag3.

Jack kucnął, by przyjrzeć si3 śladom. Pozostawiły je buty z mocnym obcasem i głębokim bieżnikiem. Wzi3łby je za własne, gdyby nie to, że były nieco mniejsze i bardziej przechylone do wewn3trz. Nie licząc ludzi awanturnik3w, jedyne stworzenia pustynnymi nosz3cymi buty były bloedzuigery. Każde inne stworzenie w3drowało na własnych łapach, a demony i duchy nie pozostawiały ślad3w.

Jack ostrożnie szedł tym tropem, aż natrafił na istot3, która pozostawiła zaproszenie wydeptane w piasku. Był to wychudły, ż3łtosk3ry bloedzuiger o nadmiernie czerwonych ustach i zbyt wydatnych oczach. Nosił imię

Garuda i był jedynym ze swego rodzaju, który nie odnosił się wrogo do Jacka.

Garuda przyjrzał mu się wzrokiem, którym goście w restauracji mierzą posiłek.

– Widzę, że dopisuje ci zdrowie.

Jack bąknął coś niezobowiązująco i rozejrzał się dookoła. Bloedzuigery przestrzegały wielu tradycji, którym musiały zadośćuczynić przed przejściem do interesów. Jack niczego nie ujrzał – wpatrywał się więc w mrok i czekał.

Garuda przybrał przedziwną pozycję na kamieniu. Jego ramiona i nogi były powyginane pod niemożliwym kątem, przez co przypominał teraz modlącą się modliszkę. Przechylił głowę i wbił wzrok w cienie po lewej stronie Jacka. Ten spojrzał w tym samym kierunku i naraz dojrzał kolejnego bloedzuigera, którzy rzucił się na niego. Jack był w takiej sytuacji tak często, że nie stracił panowania nad sobą i wiedział, czego się spodziewać nawet bez dyskretnego ostrzeżenia ze strony Garudy. Odruchowo wyciągnął pistolet i wystrzelił, trafiając atakującą istotę, a potem spojrzał na starego.

– Nowo narodzony? – spytał. – Serio?

Garuda wzruszył ramionami.

Drugi bloedzuiger zaatakował Jacka od tyłu. Poruszał się tak szybko, że mężczyzna zauważył go dopiero, gdy zęby napastnika zacisnęły się na grubej skórze jego kurtki. Jad rozlał się po materiale. Jack bez wahania wbił ostrze w miękkie podgardle istoty. Ta wrzasnęła głośno i chlasnęła dłoń trzymającą nóż, drugim ramieniem usiłując dosięgnąć Jacka. Bloedzuiger miał szansę zostać z czasem niezłym drapieżnikiem, o ile oczywiście przeżyje odpowiednio długo. Teraz był całkowicie podporządkowany woli swego pana.

Spojrzał na Garudę w oczekiwaniu na polecenia.

Ten skinął niedbale chudymi jak patyki palcami. Był to stosunkowo elegancki gest jak na bloedzuigera, ale nadal przypominał ruch owadziego odnóża. Ranny osobnik podszedł do Garudy i stanął nieruchomo. Ten wyciągnął nóż i rzucił go Jackowi.

– Dziękuję – rzekł mężczyzna, gdy broń upadła u jego stóp.

– Chybiłeś – rzekł bloedzuiger z uśmiechem.

– Fakt – odparł Jack.

Przeturlał nóż po piasku czubkiem buta, a potem uniósł go lewą ręką, uważając, by nie poplamić się krwią. Krew bloedzuigerów nie była tak niebezpieczna jak ich jad, ale ta z ran w ustach często bywała zatruta.



Gdyby przedostała się do jego krwiobiegu, prawdopodobnie nie wyrządziłaby trwałych uszkodzeń, ale na skórze pojawiłyby się paskudne pęcherze.

By mieć pewność i usunąć toksyny, Jack wbił nóż w piasek.

– Już koniec? Było tylko dwóch?

Garuda spojrzął na obu nieszczęsnych bloedzuigerów, których przywiódł ze sobą, uśmiechnął się i oznajmił:

– Nie chciałem zajmować twego cennego czasu naszymi uprzejmościami.

Tłumaczenie mu, że walka z dwoma bloedzuigerami nie ma nic wspólnego z uprzejmością, rozmijało się z sensem. Tradycje nie zmieniały się od wieków i prędzej drugi księżyc by zniknął, niż Garuda by z nich zrezygnował. Bloedzuiger był zdolny do wszystkiego i zdarzało się, że fundował rozmówcy atak z zaskoczenia po tym, jak oznajmił, że rytuał się zakończył. Jack rozglądał się więc ostrożnie, podchodząc do kamienia, na którym zasiadał Garuda.

– Chciałeś porozmawiać?

– Różne rzeczy docierają do moich uszu, Jackson. – Wychudłe palce starego stuknęły sucho o kamień. – Bractwo pozyskało dobroczyńcę, który interesuje się waszą niewielką watahą.

Jack nie poprawiał terminologii Garudy. Stary bloedzuiger przerzucił na Przybyszów filozofię własnego gatunku i uznał mężczyznę za równego sobie, co nierzadko się przydawało. Ten wiedział, że należało się pogodzić z wyglądem i zachowaniem Garudy, gdyż był on cennym sojusznikiem. Nigdy jednak nie zdołał przekonać do tej myśli siostry, która żywiła do bloedzuigera niezrozumiałą niechęć.

– Ajani? – spytał Jack. – Słyszałem ostatnio, że był w Szczelinie. Jesteś pewien?

Garuda wzruszył lekko ramionami. Nie miał w zwyczaju oskarżania żadnego mieszkańca Bezdroy bez dowodów, ale bez wątpienia uważał, że Ajani był w to wmieszany. Gdyby sądził, że za wszystkim stał ktoś mniej istotny, na pewno nie zadawałby sobie trudu, by odnaleźć Jacka. W społeczeństwie bloedzuigerów takie sprzeczki były nieuniknione i nieistotne. Istniały zasady, których należało przestrzegać. Całym życiem tych istot rządził kodeks.

– Zajmę się tym – rzekł Jack.

Już wiele lat temu przekonał się, że ostrzeżenia Garudy należy brać na poważnie. Żadna z istot zamieszkujących Bezdroya nie dzierżyła władzy tak długo jak on. Ajani i gubernator mieli teraz rozległe wpływy, ale Garuda

przemierzał tę krainę na długo przed narodzinami któregokolwiek z nich. Oznaczało to oczywiście, że bloedzuiger miał mnóstwo powodów, by nie ufać ani gubernatorowi, ani Ajaniemu.

Garuda patrzył daleko przed siebie, celowo nie spoglądając na Jacka.

– Rozmawiałeś ostatnio z Soanesem?

– Tak. Mam znaleźć pozostałych braci i załatwić problemy z demonami – rzekł Jack, przyglądając się bloedzuigerowi z uwagą.

Lata kontaktów z tą istotą nauczyły go, by nie spuszczać z niego wzroku, gdyż to, czego nie powiedział, było czasami równie istotne jak to, co mówił.

– Lecz nie możesz wyruszyć w drogę przed przybyciem nowego członka watahy – myślał na głos Garuda. – Gdyby ktoś cię teraz szukał, znalazłby cię bez trudu. Z powodu braci spędziłeś za dużo czasu w jednym miejscu. Gdyby gubernator maczał w tym palce lub bractwo zostało wynajęte przez kogoś, kto ci źle życzy, miałbyś teraz spore kłopoty.

Jack wiedział, że bloedzuiger podejrzewał każdego, ale sam nie widział powodu, dla którego Soanes miałby się wiązać z Ajanim. Zbyt często różniły ich kwestie polityki czy spornych terytoriów. Nie zdziwiłby się, gdyby bractwo pracowało dla Ajaniego, ale trudno byłoby mu uwierzyć, że ten mógłby połączyć siły z gubernatorem.

– Z braćmi dam sobie radę.

– A z demonem, którego przywołali, też?

– Mam nadzieję, że wkrótce go znajdziemy. Jeśli nie, wrócimy tutaj.

Garuda uniósł obie brwi.

– A więc twierdzisz, że poradzisz sobie z braćmi, demonem i każdym spiskiem?

– Nigdy nie jest inaczej – rzekł Jack.

Robił wszystko, co było w jego mocy, by utrzymać porządek na Bezdrożach, ale nie miał zamiaru ignorować żadnych rad Garudy. W przeciwnym razie prędzej czy później źle by się to dla niego skończyło. Może bloedzuiger tym razem się mylił, ale w trakcie ich współpracy miał rację tak często, że Jack już wiele lat temu nauczył się brać jego ostrzeżenia poważnie.

Na znak dany przez Garudę jeden z nowo narodzonych podszedł i wyciągnął nadgarstek.

– Jeśli czujesz się głodny, będę zobowiązany. Jesteś moim gościem – rzekł stary bloedzuiger.

Jack nie wspomniał ani słowem o tym, że Garuda nie miał obowiązku podejmować go niczym. Znajdowali się w końcu na środku pustyni.

– Nie chcę cię urazić, ale...

Z szybkością błyskawicy Garuda wyrwał nóż Jacka z pochwy przypiętej do uda i przeciął nadgarstek nowo narodzonego tuż poniżej symbolu watahy na przedramieniu.

– Zlekceważysz mój dar?

Niewiele rzeczy na Bezdrożach było jednocześnie bardziej odrażających i bardziej kuszących od verrotu<sup>5</sup>. Jack przełknął ślinę i cofnął się, usiłując odepchnąć dziką pokusę.

– Nie bądź infantylny – zadrwił Garuda.

– Nie potrzebuję...

Garuda przeciągnął ostrzem noża Jacka po własnym nadgarstku i podsunął go młodemu bloedzuigerowi. Stworzenie przyssało się do rany niczym zwierzę chore na wściekliznę. Garuda, który ani na moment nie spuszczał wzroku z przyglądającego się scenie Jacka, odepchnął młodego po minucie.

– No dalej! – zachęcił człowieka, ponownie przecinając nadgarstek podwładnemu. – Urazisz mnie, odrzucając moją gościnność.

Picie z rany nowo narodzonego nie było dla niego niczym nowym, ale efekty uboczne działania verrotu zawsze wytrącały go z równowagi. Z wielkimi oporami Jack podszedł i pochylił głowę. Bijący z rany smród zgnilizny i chorób był tak intensywny, że zaczęły mu łzawić oczy. Przełknął ślinę.

Najlepiej jak umiał, przytknął usta do rany na nadgarstku młodego bloedzuigera. Czuł jego krew na policzkach, najwidoczniej cięcie było zbyt szerokie.

„Co za strata” – pomyślał i zassał mocno.

Myślenie natychmiast stało się o wiele trudniejsze. Nie miał pojęcia, jak długo ssał ranę ani ile obrzydliwej cieczy przełknął, ale gdy Garuda wreszcie oderwał ramię podwładnego od ust Jacka, ten warknął na niego z wściekłością.

Stary bloedzuiger uśmiechnął się i mężczyzna cofnął się, próbując odzyskać panowanie nad sobą. Wiedział, że przez następnych kilka tygodni będzie myślał tylko o verrocie, a bez niego będzie się czuł, jakby umierał z głodu. Był jednakże świadomy, że dzięki temu stanie się silniejszy i bardziej wytrzymały, a jego duchowa więź z Garudą przetrwa dłużej. Bloedzuiger był w stanie bez trudu zlokalizować osobę, która piła verrot.

Jack walczył z pokusą, by ponownie złapać ramię nowo narodzonego. Widząc to, Garuda przywołał do siebie drugiego młodego i napełnił jego

krwią butelkę z grubego, brązowego szkła.

– Oto mój dar dla twojej watahy.

– Nie musisz tego robić – wykrztusił Jack. – Już i tak hojnie mnie wynagrodziłeś.

Garuda uśmiechnął się przelotnie, a potem skinął na tego bloezuigera, z którego ramienia pił Jack. Ten napełnił swą krwią ponad trzecią część drugiej butelki.

Oba młode osobniki wyglądały na całkowicie wysuszone. Trudno było uwierzyć w to, że potrzebowały do życia tak niewiele krwi, ale ich fizjologia sprawiała, że ciała konsumowały wszelką wytworzoną przez nie bądź połkniętą krew. Te, którym udało się przetrwać, uczyły się kontrolować towarzyszący im ogromny głód. Jack wiedział, że te dwa nie mają szans na przeżycie.

– Nie masz nic przeciwko? – zachęcił go Garuda.

Jack w milczeniu odciął im głowy, ze wszelkich sił tłumiąc w sobie poczucie winy. Przecież w ogóle by ich nie obeszło, gdyby nie przeżył rytuału powitania, a gdyby nie były podwładnymi Garudy, spróbowałyby go zabić zaraz po dostrzeżeniu. Bloeduigery nie miały wielu skrupułów.

„Ale zginęły przeze mnie”.

Bez względu na to, czy powodem była ich długoletnia znajomość, czy też wypita przez Jacka krew, Garuda trafnie odgadł jego myśli.

– Przyprowaździłem te, których już nie potrzebowałem, Jackson – rzekł i wstał. Rozprostował wychudłe kończyny i podał mu butelki. – Bardziej mi się przysłużyły, umierając, niż za życia.

Jack przyjął dar bez słowa.

– Mam niewielu przyjaciół. – Garuda urwał i uśmiechnął się niepewnie. – Dałeś mi słowo, prawda?

– Tak – zgodził się Jack.

– Ajani zdobywa coraz większą władzę, ale traci panowanie nad sobą. Nie podobają mi się działania gubernatora, a w posunięciach braci brak logiki. Być może to tylko moja paranoja, ale jeśli mam rację, twoja wataha będzie potrzebować świeżych sił i mojego wsparcia. Ja również nazywam cię przyjacielem, Jackson. Każdemu, kto znajdzie sposób na pokonanie Ajaniego, oddam wszystkie zgromadzone przez siebie skarby.

Z tymi słowami Garuda przeszedł nad zwłokami podwładnych.

– Gdybym tylko wiedział, co zrobić, by znów stał się śmiertelny, zrobiłbym to dla własnego spokoju – przyznał Jack. – Ale nie wiem jak.

– Ja również szukam odpowiedzi na to pytanie – mruknął Garuda,

a potem błyskawicznie znikł w mroku pustyni.

Jack kontynuował patrol, gdyż nie miał nic innego do roboty. Mógł przecież stać w miejscu i wpatrywać się w ciemność albo wrócić do obozu, w którym czuł się jak uwięzione zwierzę. Żadna z tych opcji nie wydawała mu się szczególnie kusząca. Słyszał łomot własnego serca, tak głośny, jakby wypełzło z jego piersi i podeszło mu do gardła. Bywało, że picie verrotu przypominało śmierć. Raz napił się krwi samego Garudy. Wziął tylko łyk i umarł. Jego serce przestało bić, ale przebudził się po paru godzinach, a nie po upływie sześciu dni. Żadnego sekretu nie krył tak głęboko.

Jeśli chciał zapewnić pozostałym Przybyszom bezpieczeństwo, musiał przekonać ich do wypicia verrotu. Jego towarzysze zapomnieli już o większości przesądów wyniesionych ze świata, z którego pochodzili, ale wszyscy nadal zachowali pierwotny lęk przed bloedzuigerami. Istoty te niewiele się różniły od wampirów z głupich podań, ale ze wszystkich mieszkańców Bezdroży Jack najbardziej ufał Garudzie. Bloedzuiger nie przekazałby im tyle krwi, gdyby nie był pewien, że Ajani nadchodzi. To zaś oznaczało, że sięgnie po Chloe szybciej, niż Jack by sobie tego życzył.

## Rozdział 10

W swoim namiocie Kitty natknęła się na czekającego na nią Francisa. Ucieszyła się, że zastąpił Melody, która do tej pory czuwała nad Chloe. Mel potrafiła się zajmować innymi, ale prowadzenie rozmowy z nią bywało trudnym wyzwaniem, a Kitty nie miała już tej nocy ochoty na kolejne porcje szaleństwa.

– Wkrótce się obudzi. – Francis wstał i rozciągnął długie ręce oraz nogi. Jego ruchy wydawały się kocie. – Gorączka minęła.

– Wymiotuje?

– Dziś nie. Myślę, że najgorsze ma już za sobą – rzekł i uściskał Kitty. – Cieszę się, że nic ci się nie stało.

Katherine uśmiechnęła się i pchnęła go lekko ku wyjściu.

– Przecież wiedziałeś, że nic mi nie będzie.

– Wiedziałem również, że należy powiedzieć Jackowi, co wymyśliłaś.

– Dobry z ciebie przyjaciel. – Kitty uchyliła przed nim połę namiotu. – Dobra, a teraz uciekaj stąd, nim Edgar wróci ze zmiany. Nie rozmawiałam z nim jeszcze o mojej małej eskapadzie, ale pewnie już się o wszystkim dowiedział.

– Jesteś moją dłużniczką – rzekł Francis i wyslizgnął się z namiotu, ale zatrzymał się. – Jeśli wpadnie w szal...

– Przecież wiesz, że jakoś to załatwię. Aha, tak, oczywiście, że jestem twoją dłużniczką – powiedziała i uśmiechnęła się do niego z sympatią.

Gdyby mogła urodzić dzieci, chciałyby mieć takiego syna jak Francis. Był ciekawskim, ale miłym i stabilnym emocjonalnie człowiekiem, a do tego jak mało kto zasługiwał na zaufanie i Kitty z ochotą otaczała go opieką.

Ich uwagę przyciągnął naraz odgłos ze środka.

– Idź już – powiedziała Katherine. – Muszę zająć się Chloe.

Proces adaptacji po przejściu był długi oraz wyczerpujący i Chloe nie przebudziła się jeszcze. Większość Przybyszów nie pamiętała wiele z pierwszych kilku dni, ale ich ciała nadal miały swoje potrzeby. Kitty podała oszołomionej Chloe kubek z wodą zmieszaną z witaminami Francisa, a potem pomogła jej się załatwić, obmyła jej twarz z potu i znów ułożyła w łóżku, które należało do Mary. Zajmowała się wieloma ludźmi przed Chloe i nie musiała się zastanawiać nad kolejnością czynności.

Kitty nie była hipokrytką i nie miała zamiaru taić przed Chloe tego, że ma na koncie morderstwo. Każdy z Przybyszów był zabójcą. Nie mieli pojęcia, kogo Chloe zabiła ani dlaczego to zrobiła, ale wiedzieli, że na pewno zostawiła za sobą jakiegoś trupa. Był to wspólny mianownik ich wszystkich. Sama Kit nie znalazłaby się na Bezdrożach, gdyby nie odebrała komuś życia w Kalifornii. Raz musiała zastrzelić klienta, który stał się zbyt grubiański, innym razem zabiła człowieka, który wszczął awanturę przy kartach. Zdarzali się ludzie, których po prostu należało zabić.

Gdy nowo przybyła znów zasnęła na łóżku martwej poprzedniczki, Kitty musiała zdecydować, czy zdobędzie się na rozmowę z Edgarem, czy może tchórzliwie będzie odwlekać ów moment jak najdłużej. Nie przemawiała do niej żadna z opcji. Uważała się za silną osobę, ale mówienie Edgarowi rzeczy, na które nie miała ochoty, nie należało do przyjemności. Mało co budziło w niej tyle wyrzutów sumienia co ranienie go.

Odwlekała więc nieuniknione i zajęła się porządkowaniem ubrań, z których musiała wybrać coś dla Chloe na następny dzień. Przyjrzała się spódniczce, którą miała na sobie w chwili przybycia, i spróbowała ją wyprać w misce, choć w tak polowych warunkach nie było to łatwe. W końcu zapięła jeden ze swoich zmodyfikowanych gorsetów i założyła bluzkę oraz parę spodni. Nie byłaby w stanie nosić niczego tak śmiałego jak to, co miała na sobie Chloe, ale spodnie jej nie przerażały. Czowała się w nich o wiele swobodniej niż w chwili przybycia na Bezdroża, jednak choć nosiła je od lat, wciąż czuła się w nich półnaga. Chloe potrzebowała nieco krótszych spodni, ale mogła łatwo skrócić jakąś parę należącą wcześniej do Mary. Kitty niespodziewanie przypomniała sobie, jak robiła dokładnie to samo dla Mary tuż po jej przybyciu, a wcześniej dla wielu innych. Zacisnęła mocno powieki.

Z trudem znów spojrzała na Chloe. Tamte już odeszły, a dziewczyna wciąż żyła.

– Ponure myśli nigdy w niczym nie pomagają – napomniała samą siebie.

Podeszła do jednego z kufrów i wyciągnęła arkusz miejscowego papieru oraz kilka ołówków, a potem zajęła się szkicowaniem portretu Chloe. Od dawna rysowała podobizny wszystkich nowych Przybyszów. Nigdy nie wiedziała, jak długo z nimi pozostaną. Kilku z nich nie przebudziło się po pierwszej śmierci, a inni funkcjonowali w ich grupie przez długie lata. Nie umiała przewidzieć, jak potoczą się ich losy. Co ważne, Jack również nie miał bladego pojęcia, a on przecież długo i skrupulatnie rozważał każdy aspekt ich sytuacji.

Gdy szkicowanie portretu dobiegło końca, dodała go do innych ułożonych w wypolerowanej, wyłożonej drewnem skrzyneczce. Bywało, że przeglądała je przez chwilę, ale śmierć Mary nadal była zbyt świeża. Zamknęła na zamek skrzynkę, ułożyła ją w sekretnym miejscu, a potem schowała swe bezcenne ołówki. Nie miała pojęcia, co mogłaby teraz wymyślić, by zostać w namiocie i nie przeszkadzać przy tym śpiącej, tak więc postanowiła zająć się tym, co było nieuniknione. Wyślizgnęła się z namiotu, a kłapa opadła za nią z cichym szelestem.

Pustynne powietrze nadal było ciepłe, ale czuła ulgę po nieznośnym upale dnia. W blasku obu księżyców widziała niemalże błękitne cienie. Przez moment kusiło ją, by wrócić do środka i zająć się włosami, zrobić sobie makijaż czy może znaleźć odpowiednią suknię, jednak to byłoby głupotą. Edgar widział ją przecież rozszarpaną przez chorego na wściekłą dziką. Patrzył na nią zalaną krwią i ledwie trzymającą się na nogach po walce z bloedzuigerem. Kilkakrotnie był świadkiem jej śmierci. Nie istniał żaden powód, by teraz się dla niego stroić, a i tak czyniła to o wiele za często.

Rozejrzała się po okolicy, by upewnić się, czy nie ma w pobliżu nikogo, i ruszyła w stronę posterunku. Edgar niewątpliwie czekał na nią od jakiegoś czasu, ale mimo to stał teraz nieruchomo i wpatrywał się w bezmiar pustyni. Przyglądała się mu, podchodząc bliżej. Nietrudno było go zauważyć. W obozie zazwyczaj nosił zwykłe czarne spodnie, proste czarne koszule i znoszone buty. W mieście lub podczas ważnych rozmów zakładał również marynarkę. Jedyнным akcentem kolorystycznym w jego stroju był krawat bądź starannie złożona poszetka. Choć wciąż ubierał się dokładnie tak jak w czasach, gdy żył w Chicago, utrzymywał, że wcale nie ma ochoty tam wracać. Na Bezdrożach podobało mu się dlatego, że mógł tu obwieszać się bronią równie nieskrępowanie jak kobiety błyskotkami.

Kitty wiedziała, że może spoglądać na niego przez całą noc, a on ani razu nie zerknie na nią. Nigdy nie zaniedbywał przez nią swych obowiązków. Znała go i wiedziała, że będzie po prostu czekał, a jeśli Katherine nie podejdzie do niego podczas tej zmiany, odwiedzi ją jutro w jej namiocie. Nie było sposobu na uniknięcie tej rozmowy.

Edgar był teraz jedyną tarczą, która oddzielała przebywających w namiotach od istot kryjących się w mroku. Wszystkie ich obozy otaczały solidne, metalowe płoty, które były pobłogosławione i nasycone magią. Oznaczało to, że istniało tylko jedno wejście, którego należało strzec przez cały czas. W niektórych miastach wynajmowali pokoje w gospodach, ale



w chwilach, gdy ścigali bardziej kłopotliwe istoty, Jack nalegał, by spali poza granicami miasteczek. Istniało wiele potworów, które należało zabić, ale nie wszystkie były zwierzętami. Niektóre z nich dorównywały mądrością ludziom, a nawet okazywały się od nich bystrzejsze i nierzadko potrafiły wykorzystywać mieszkańców miast w charakterze swoich pionków i szpiegów.

Szubienica przypominała jej rozrastające się błyskawicznie miasteczko, w którym mieszkała w latach siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku. Nie był to co prawda jej dom, ale toczyła w nim łatwiejsze życie niż po przejściu na Bezdroża. Tańczyła wówczas i uwalniała głupców od ich pieniędzy w zamian za kilka minut byle jakiego obmacywania czy chwilę twórczej gry w karty. Tutaj niestety iluzoryczny spokój pustyni zbyt często przerywały warknięcia, wrzaski i nieludzkie krzyki jej mieszkańców.

– Edgar – zaczęła.

– Bywasz doprawdy męcząca, Kit. – Edgar nigdy nie przebierał w słowach. – Co ci odbiło, by iść samej do miasta o tej porze? Przecież wiesz, co się kryje w mroku.

– Miałam nadzieję, że zostanę tam do rana – powiedziała cicho.

Spojrzenie, jakim ją obrzucił, sprawiło, iż miała ochotę odskoczyć, ale zamiast tego uniosła wysoko podbródek. Edgar nie był jej mężem i nie miał prawa jej strofować. Nie powiedziała jednakże tego na głos. Nie powiedziałaaby tego ani Edgarowi, ani też nikomu innemu.

Mężczyzna znów spojrzał na pustynię.

– Z kimś konkretnym? Z Danielem może?

Kitty westchnęła.

– Nie, ja po prostu... Ja chciałam się wyrwać jak najdalej stąd. Nie pragniesz czasem uciec?

– Zajmuję się zabijaniem różnych istot, no i mam ciebie. – Edgar wzruszył ramionami. – Dlaczego miałbym cokolwiek zmieniać? Śmierć zawsze boli, podobnie jak budzenie się do życia, ale nie jest tak źle.

– No to dlaczego przeszkadza ci to, że wychodzę sama? – Kitty miała ochotę stanąć przed nim i spojrzeć mu w oczy, ale żadne z nich nie chciało, by ich kłótnia w jakikolwiek sposób wpłynęła na bezpieczeństwo w obozie.

– Przecież zawsze wracam do życia, bez względu na to, co mi zrobią.

– Powiedz to samo Mary, Patrickowi, Des...

– Nie przybyli tu jako pierwsi! – przerwała mu. Traciła panowanie nad sobą. – Pomyśl! Nic nie może zabić mnie ani Jacka! Każdy inny któregoś dnia umiera mi na rękach, a ja wciąż żyję w tym piekle.

– Ja też jeszcze nie umarłem, Kit. Może oboje jesteśmy śmiertelnikami, a może oboje będziemy żyć wiecznie. Dowiemy się tego tylko wtedy, gdy jedno z nas zginie naprawdę. – Edgar ujął ją za rękę. – Następnym razem, jeśli nie chcesz mi o czymś mówić, powiedz przynajmniej Jackowi.

– Wiem – odparła. Chciała uwolnić swą dłoń, ale jednocześnie pragnęła, by przyciągnął ją bliżej. – Proszę, nie złość się na Francisa. Powiedział Jackowi o wszystkim, gdy tylko ten wrócił z patrolu.

– Mógł powiedzieć mi – rzekł Edgar.

Kitty pokręciła głową.

– Wzbudzasz w nim lęk.

– To dobrze. – Mężczyzna wypuścił jej dłoń i podał jej kaburę. – Skoro stoisz ze mną na straży, powinnaś przynajmniej mieć jakąś broń.

– A jeśli chodzi o Daniela...

– Nie. – Edgar odwrócił głowę na jedno uderzenie serca. – Jeśli tu wróci, nie zostanę z wami. Nie zacznę pracować dla Ajaniego tak jak on, ale nie mam zamiaru tolerować go tutaj.

– Wiem – szepnęła.

– Jestem cierpliwym człowiekiem, Kit, o wiele cierpliwszym, niżbym chciał, ale oboje wiemy, gdzie jest twoje miejsce.

– Nie mogę...

Zaśmiał się bez wesołości.

– A właśnie, że możesz. Sypiamy oddzielnie, ale nie przestałaś mnie kochać.

Kitty nie była w stanie go okłamać, więc nie powiedziała ani słowa.

– Trzymaj się z dala od Daniela, Kit – rzekł Edgar. – Wybaczę ci wiele, ale istnieją granice.

– Dlatego właśnie powiedziałam „nie” – przyznała drżącym głosem, a potem z wahaniem dodała: – Nie chcę, byś nas opuszczał.

– To już jakiś początek – mruknął Edgar.

Potem oboje pograżyli się w ciszy. Dobrze się między nimi układało, gdy milczeli, gdyż rozmowy prowadziły do kłótni. Gdy walczyli ze ściganymi potworami, gdy przeprowadzali zwiad, gdy zajmowali się czymkolwiek, co nie wymagało rozmowy, układało im się całkiem dobrze.

Przed przybyciem na Bezdroża Edgar nieraz popadał w konflikt z prawem. Katherine domyśliłaby się tego, nawet gdyby nie opowiedział jej o swoim życiu. Został zatrudniony przez organizację zarabiającą pieniądze na hazardzie, klubach i alkoholu. Gdy opowiedział jej, że w jego czasach amerykański rząd wprowadził prohibicję na alkohol, zadała sobie w duchu

pytanie, czy aby na pewno pochodzą z tego samego kraju, ale inni Przybysze potwierdzili, że w istocie miał miejsce krótki i dość dziwny etap w historii, kiedy zarówno transport, jak i dystrybucja alkoholu były nielegalne.

Edgar był realistą i nie miał wyrzutów sumienia z powodu tego, kim był i co robił zarówno w Chicago, jak i na Bezdrożach. Był rewolwerowcem do wynajęcia, a po przebudzeniu się tutaj poprzysiągł lojalność Jackowi. Wpadał w tarapaty tylko wtedy, gdy wstawiał się za Katherine.

Jack zwolnił ich kilka godzin później, gdy wciąż pogrążeni byli w wygodnej dla nich, przyjemnej ciszy. Brat Kitty powitał ten fakt z uśmiechem pełnym ulgi.

– Mogę dokończyć wartę za was – zaproponował.

Edgar pokiwał głową i odłożył kilka sztuk broni, które zazwyczaj trzymano przy bramie.

– Posterunek jest twój.

– Ja zostanę z... – zaczęła Kitty.

– Nie – przerwali jej obaj mężczyźni.

Jack załagodził brzmienie tego słowa, dodając:

– Potrzebuję chwili ciszy. Muszę się zastanowić.

Edgar z drugiej strony spojrział na nią tak, że poczuła się, jakby nic na sobie nie miała. Spokój, jakim się cieszyli, gdy stali na warcie, wyparował pod jego spojrzeniem. Dziewczyna odwróciła się, ale nie zdążyła zrobić kilku kroków, gdy mężczyzna ponownie znalazł się u jej boku.

– Kit!

Położył obie dłonie na jej talii, by ją zatrzymać. Nie próbował ani odwrócić jej ku sobie, ani przyciągnąć do siebie. Mogła mu się wyrwać, gdyby chciała, ale chyba nie miała na to ochoty.

– Śmierć Mary nie była twoją winą – rzekł Edgar. Nie zmuszał jej, by się odwróciła. – Czasami ludzie po prostu umierają. My żyjemy, a ona nie. To straszne i bardzo boli, a ty z tego powodu chcesz zrobić coś lekkomyślnego.

Wtedy się odwróciła.

– Nie godzę się z jej śmiercią.

– Brawurowe zachowania wcale tego nie zmieniają. Odpychanie mnie od siebie również.

Edgar nadal trzymał dłonie na jej biodrach. Nigdy by nie pomyślała, że tak delikatny dotyk może przynieść jej pocieszenie, ale tak było. Niespodziewanie pojawiły się też inne skutki – uwolnił potrzeby, do których nie chciała się przyznać.

– Ty żyjesz, Kit. – Edgar ani drgnął, czekając na nią. – Reszta z nas również. Przykro mi, że Mary umarła. Przykro mi, że cierpisz, ale nie zapominaj, że my żyjemy.

Nie wspomniał o tym, że będąc razem, żyli mocniej i intensywniej. Kitty przecież stała w mroku u boku człowieka, którego kochała. Nie koło to bólu, jaki czuła po śmierci Mary, ale przez krótką chwilę czysta radość, którą dawało towarzystwo Edgara, odpędzała wszelkie zło. Nie miała zamiaru pozwolić na to, by pochłonięła ją depresja czyhająca na nią po ostatecznej śmierci każdego z Przybyszów. Edgar dawał jej siłę, dzięki której udawało jej się brnąć naprzód. Wiedziała, że może na niego liczyć, i tylko dzięki niemu nie musiała bać się rozpacz, ale niespodziewanie przypomniała sobie chwilę, gdy i on umarł. Przeszył ją dreszcz – tak, Edgar nie był niezniszczalny.

– Zawsze wiesz, co powiedzieć – przyznała, patrząc mu w oczy.

– Próbuję – odparł i odsunął jej włosy, by móc ująć jej twarz.

Nim Edgar zdążył zrobić to, co dyktował zdrowy rozsądek – na co Kitty miała zresztą ogromną ochotę – dziewczyna cofnęła się. Mężczyzna zmarszczył brwi, ale ona nieraz już widywała ten grymas i nie ranił jej tak jak kiedyś.

Skrzyżowała ramiona na piersi, by nie rzucić się mu na szyję.

– Chloe również umrze. W jaki sposób mam ją uczyć życia na tym świecie? Jak?

– Tak jak zawsze – odparł.

Odpowiedź brzmiała obcesowo, ale Edgar nie był okrutnym człowiekiem. W ten oto sposób działał jego umysł – zajmował się tym, co należało, i nie zaprzętał sobie głowy nadmiernymi rozważaniami. Kitty poczuła, jak po jej policzkach płyną łzy.

– Przybywają, zostają z nami i czasem giną – mówił Edgar. – Nie wiem, dlaczego tak się dzieje, ale to nie twoja wina, ani też Jacka.

Kitty zamknęła oczy. Nie wiedziała, czy się z nim zgadza, ale nie potrafiłaby się chyba kłócić. Chciała, by ją pocieszył i nawet okłamał, jeśli było trzeba, ale nie zmieniało to tego, że była nieraz świadkiem śmierci kogoś z ich grupy przed przybyciem Edgara i po nim. Nie mogła nawet liczyć na to, że pomoże jej uporać się z żalem, bo po ostatecznej śmierci każdego z Przybyszów myślała tylko o jednym: „Oby to następnym razem nie był Jack bądź Edgar”.

Otworzyła oczy i odsunęła się jeszcze dalej.

– Zobaczę, co u Chloe.

– Melody może przy niej siedzieć, byśmy mogli udać się do mojego...

– Nie.

– A więc byłaś gotowa spędzić noc z kimś innym, nawet z tym pieprzonym Danielem, ale mnie odpychasz? – W jego głosie pojawił się gniew, ale Kitty wiedziała, że sobie na to zasłużyła.

– Przepraszam.

– Moja cierpliwość kiedyś się skończy – dodał Edgar.

Wrodzona przekora nakazywała jej spytać, ile czasu mu to zabierze, ale wiedziała, że Edgar potraktuje to jako wyzwanie. Nie zamierzała grzać Danielowi łóżka, wiedząc, że go w ten sposób zrani – nie zamierzała skrzywdzić mężczyzny, którego kochała. Gdyby tak postąpiła, znaleźliby się z powrotem w chwili, gdy uznała, że musi się od niego odsunąć.

– Śpij dobrze – rzekł w końcu Edgar.

– Ty też – odparła.

Nie przyznała się, że odkąd sypiają oddzielnie, nigdy nie śpi dobrze. Bez Edgara wszystko wydawało się nie takie, jak należy, ale nie spała z nim od jego ostatniego przebudzenia. Zginął jakiś rok temu, a ona spędziła sześć przerażających dni, modląc się do każdego boga, potwora i diabła, który przyszedł jej do głowy. Gdy Edgar się przebudził, zamknęli się w jednym pomieszczeniu na sześć kolejnych dni. Siódmego dnia wróciła do własnego łóżka i rozpoczęła usilne próby wygonienia go z serca.

Jak każdej nocy od chwili, gdy go rzuciła, czuła, jak odprowadza ją wzrokiem. Wmawiała sobie, że tak jest lepiej, ale nic nie stawało się w ten sposób łatwiejsze ani sensowniejsze.

## Rozdział 11

Tym razem po przebudzeniu Chloe nie była tak oszołomiona. Pamiętała, że leży na polowym łóżku w wielkim namiocie pełnym koszy i skrzyń. Przypomniała sobie również wędrówkę przez pustynię pod dziwnym niebem z dwoma księżycami. Była świadoma tego, że niósł ją jakiś kowboj, i wydawało jej się, że zajmowała się nią kobieta zachowująca się jak pielęgniarka, ale wyglądająca jak tancerka z burleski. Nie wiedziała jedynie, co się stało między wizytą w barze a przebudzeniem się na ziemi. Co gorsza, zaczęła powoli dochodzić do wniosku, iż nie jest to wcale halucynacja. Nie potrafiła w logiczny sposób wyjaśnić ani dziwnego nieba, ani wielkiej jaszczurki, która podejrzanie przypominała smoka, ani też postaci z Dzikiego Zachodu, które przytaszczyły ją do tego dziwnego obozowiska. Skoro nie byli wytworami jej wyobraźni, a ta rzeczywistość nie była snem, trafiła do całkiem innego świata, co było niewytłumaczalne z naukowego punktu widzenia i szczerze mówiąc, przerażające jak jasna cholera.

Nabrała głęboko powietrza.

„Jeśli oddycham, to żyję” – pomyślała i na wszelki wypadek sprawdziła puls.

– To się dzieje naprawdę, a ty już się obudziłaś. – Kitty stała w wejściu do namiotu. Nadal wyglądała jak tancerka, a jej cichy głos był bardziej kojący od głosu jakiegokolwiek pielęgniarki, którą Chloe poznała w życiu.

– Dziękuję – odparła. – Byłaś tu przy mnie. Pamiętam... trochę.

– To dobrze. – Kitty spuściła za sobą ciężką klapę wejścia do namiotu. W rękę trzymała długi zwój materiału. – Przyzwyczaisz się, ale minie kilka dni, nim odzyskasz pełnię sił.

– Jak długo spałam? Odzyskam siły? A po czym?

Chloe opuściła stopy na podłogę. Nie zakreśliło jej się w głowie ani nie poczuła mdłości, a więc zebrała się na odwagę i wstała.

Kitty nie spuszczała z niej oczu.

– Spałaś prawie czterdzieści godzin, ale budziłaś się, by pić i załatwiać potrzeby. Gorączka sprawia, że ludzie mają niewyraźne wspomnienia. – Jej głos stał się jeszcze bardziej pokrzepiający. – Przejście tutaj zawsze sporo kosztuje, ale najgorsze masz już za sobą.

– Właśnie. Przejdźcie tutaj... – powtórzyła Chloe.

Podeszła do zasłoniętego miejsca, które Kitty kiedyś chyba jej pokazywała. To, że nie musiała poprosić owej nieznanym kobiecie o pomoc przy korzystaniu z toalety, było małym zwycięstwem.

Gdy wróciła, Kitty przyjrzała się jej z aprobatą.

– To nie sen. Nie umarłaś. Nie jesteś w śpiączce – mówiła, odliczając każdą rzecz na palcach. Trzymany przez nią materiał falował przy każdym ruchu. – Znalazłaś się na Bezdrożach. Dlaczego? Tego nie wie chyba nikt. Ja przebywam tu od dwudziestu sześciu lat, tak jak Jack.

– Ale... – Chloe dokonała szybkich obliczeń. – Ale ty nie wyglądasz mi na kogoś, kto się urodził w latach osiemdziesiątych. Nie wyglądasz też na kogoś, kto spędził tu aż tyle czasu.

– Nie starzejemy się tu. W tym cały sekret. – Kitty rozłożyła ramiona, jakby chciała powiedzieć: „Spójrz na mnie!”. – Moje ciało nie będzie już wyglądać starzej. Z tego, co wiemy, żadne z nas nie będzie też miało dzieci.

Chloe wpatrywała się w nią, próbując przetrawić to, co właśnie usłyszała. Miała się nie zestarzeć? Cóż, nie brzmiało to źle. Przejęła się dopiero tym, że nie będzie mogła mieć dzieci. Nie planowała ich w najbliższej przyszłości, ale wstrząsnęło ją to, że kwestia została przesądzona.

Kitty przeszła obok niej i podniosła podartą koszulę.

– Dodam, że nie przybyłam na Bezdroża z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku, ale z 1870 roku. Przybywamy z różnych okresów, ale nigdy nie trafił tu nikt, kto żyłby wcześniej ode mnie i Jacka, a najpóźniejszy rok to 1989.

– To pobiłam ten rekord. – Chloe usiłowała skupić się na szczegółach, gdyż próba zrozumienia całości mogłaby zakończyć się atakiem hysterii. Przecież to, co się z nią wydarzyło, nie miało zupełnie sensu! – Weszłam do baru w Washington D.C. w 2010 roku, a potem znalazłam się tutaj.

Kitty patrzyła na nią przez moment, a potem wzruszyła ramionami i powiedziała:

– Kiedyś musiało do tego dojść.

Chloe nie odpowiedziała. Katherine wzięła więc suknię, igłę oraz nić i usiadła na ziemi. Jak dotąd była to najbardziej absurdalna rzecz, którą Chloe widziała. A może właśnie zaczęła tracić poczytalność? Bez względu na przyczynę wybuchła głośnym śmiechem, który po chwili zaczął podejrzenie przypominać szloch.

– Mimo wszystko nieźle sobie radzisz – powiedziała Kit przyjaznym

głosem, a potem skupiła się na robótce, jakby nie widziała, że Chloe płacze.

Ta wpatrywała się w kobietę z dziewiętnastego wieku, która ze spokojem szła na środku namiotu rozbitego na pustyni. Kitty zaś udawała, że nie czeka na to, aż nowa się pozbiera. A może rzeczywiście jej na tym nie zależało? Chloe musiałaby o to zapytać, a nie miała ochoty. Przez chwilę siedziały więc w milczeniu, aż nowo przybyła przerwała ciszę i zapytała:

– Dlaczego ja?

Kitty uniosła głowę, spojrzała Chloe w oczy i stwierdziła:

– Tego nie wie nikt.

– Jak to? Jak to możliwe, że jesteście tutaj tak długo i tego nie wiecie? – mówiła wyższym głosem, najwyraźniej znalazłszy się na granicy ataku paniki.

Uśmiech Kitty niebezpiecznie przypominał sardoniczny. Założyła kolejny szew, a potem jeszcze jeden i rzekła:

– Wszystko zależy, kogo zapytasz. Mój brat twierdzi, że nasz pobyt tutaj jest karą za jakieś grzechy. Musimy odpokutować za nasze winy.

– Ja się tylko napiłam! – zaprotestowała Chloe przenikliwym głosem. – Wielu ludzi to robi! Przez długi czas byłam idiotką, ale zachowałam trzeźwość przez pięć lat! Czym zasłużyłam sobie na karę, do cholery? – Otarła policzki. – Przecież jeden drink to za mało, bym została zesłana Bóg wie gdzie.

– Tam jest umywalka z chłodną wodą. – Kitty wskazała jej kamienną misę pomalowaną w drobne kwiatki.

Chloe obmywała właśnie twarz, gdy usłyszała głos Katherine:

– Nic jej nie jest, Jack. Wracaj do łóżka. Masz za sobą patrol i wartę. Czy ty w ogóle spałeś w nocy?

– Hector dokończył za mnie – odparł Jack.

Chloe nie chciała się odwracać w stronę kowboja, który niósł ją przez pustynię zeszłej nocy. Otarła twarz i z wysiłkiem przywołała wspomnienie narzeczonego rznącego jej szefową. Nie chciała myśleć o uprzejmości Jacka. Nie знаła świata, w którym się znalazła, ale przypuszczała, że każdą rzeczywistością rządzą identyczne zasady.

„A on na pewno nie jest tak przystojny, jak mi się wydawało. Przecież byłam półprzytomna”.

Należycie wzmocniona na duchu, odwróciła się i ujrzała niewinne, błękitne oczy, idealnie uformowane kości policzkowe oraz smukłe mięśnie. Nigdy nie przepadała za kowbojami, ale wystarczył jeden rzut oka, by przemyślała swoją postawę. Uświadomiła sobie, że gapi się na niego.



Chciała więc coś powiedzieć, ale udało jej się jedynie wykrztusić:

– Cholera, ja... Znaczy się... Cześć. Ja... Ja chciałam ci podziękować. Za to, że mnie zaniósłeś, znaczy się.

Kitty roześmiała się. Chloe nie miała pojęcia, czy powodem była jej nieskładna wypowiedź, czy może oszołomienie na twarzy brata.

Jack najwyraźniej również nie wiedział, co powiedzieć. Spojrzał najpierw na siostrę, a potem na nowo przybyłą.

– Nie musisz mi dziękować – odkaszlnął. – No, a wszedłem tu, bo... Bo jesteś nowa. Przystosowanie się wymaga czasu i... – Urwał i cofnął się nieco, jakby miał trudności ze stanem nieruchomości.

– Jack usiłuje ci powiedzieć, że jest naszym nieustraszonym przywódcą i przez to nieustannie musi się we wszystko mieszać – wtrąciła się Kitty.

– Katherine – ostrzegł ją mężczyzna, choć w jego głosie nie było prawdziwej groźby.

Cofnął się w głąb namiotu i Chloe dostrzegła, że zaciska szczękę. W rękę trzymał niemal pustą butelkę wina.

Chloe wbiła w nią wzrok. Do tej chwili zastanawiała się, czy za sprawą jakiegoś cudu, czaru lub naukowego eksperymentu nie trafiła do świata wolnego od alkoholizmu, który czaił się na nią od tylu lat. Najwyraźniej było inaczej. Zacisnęła pięści i skuliła się, gdy Jack podniósł butelkę.

– Muszę się przespać, ale wcześniej chciałem to odnieść – powiedział.

Chloe patrzyła, jak wchodzi w głąb pomieszczenia, i miała dziwne przeczucie, że porusza się powoli i celowo, niczym łowca ostrożnie podchodzący zwierzyń.

Kitty podejrzliwie wpatrywała się w butelkę.

– Skąd to masz?

– Ja nie piję – wykrztusiła Chloe. – Proszę, weźcie to stąd.

– Pomoże ci. – Jack wyciągnął korek. – To lek.

Katherine stanęła między nimi.

– Co to?

Chloe zaczęła drżeć. „Przecież jeden łyk to nic złego”. I tak tkwiła w niezłym bałaganie. Wyciągnęła rękę.

Jack odsunął siostrę na bok, ujął kubek, który stał przy łóżku Chloe, i napełnił go ciemnoczerwoną ciecżą.

– Dobrze wiesz, co to jest, Katherine – powiedział, nie patrząc na siostrę.

– To verrot. Wkrótce zjawi się Ajani, a my nie możemy pozwolić sobie na powolną kurację.

– Jackson! – Kitty złapała go za rękę. – Gdzieś mam Ajaniego. Nie możesz

jej dać...

– Wypij to – przerwał Jack siostrze i podał kubek dziewczynie.

Ta, wciąż drżąc, uniosła go do ust. Nie miała pewności, czym był ów verrot, ale gdy poczuła jego smak na języku, od razu wiedziała, że nie jest to wino czy jakikolwiek inny alkohol, którego kiedykolwiek próbowała. W szczytowym momencie swojego pijaństwa sięgała po naprawdę paskudny bimber, ale nawet on wydawał się mieć wykwintny smak w porównaniu z tym, czym poczęstował ją Jack. Mimo to przełykała płyn chciwie i nie mogła oderwać ust od kubka.

– To ci pomoże – szeptał mężczyzna.

Kitty krzyczała na niego, ale Chloe nie mogła się skupić na ani jednym słowie. Na szczęście Jack zasłaniał Kit plecami, na co nowo przybyła zareagowała z dziwną ulgą. Verrot smakował paskudnie, ale dziewczyna nie była pewna, czy chętnie podzieli się nim z Kitty. Zlizywała właśnie ostatnie krople ze ścianek naczynia niczym dziecko, które właśnie spałaszowało porcję lodów, gdy uświadomiła sobie, co Katherine właśnie powiedziała:

– Pierwszego dnia dajesz jej krew pieprzonego wampira? – Naraz pchnęła Jacka w stronę wyjścia z namiotu. – Zjeżdżaj stąd! I to w tej chwili!

Usłyszawszy to, Chloe wreszcie opuściła pusty kubek i spytała bardzo ostrożnie:

– Słucham? Czy to jakiś rodzaj...

– Nie. – Kitty podeszła do niej, odebrała jej naczynie i zaprowadziła ją do krzesła. – To było dokładnie to, co usłyszałaś. – Delikatnie pogładziła włosy dziewczyny. – Życie tutaj nie zawsze jest takie porąbane. I jeszcze jedno. To, co teraz powiem, z trudem przechodzi mi przez usta, ale jestem pewna, że miał powód, by ci to dać.

– Powód, by poczęstować krwią wampira? – upewniła się Chloe. Poczuła częściową ulgę na wieść o tym, że piła krew, bo gdyby alkohol tutaj był tak dobry, nigdy by już nie wyrwała się z nałogu. – Masz na myśli krew, która...

– Nazywamy je bloedzuigerami. Nie przypominają tych bestii z naszych rodzimych opowieści. One nie są martwe czy coś w tym rodzaju. Są po prostu długowieczne, a ich krew ma właściwości wzmacniające.

Kitty urwała, jakby się zastanawiała, co powiedzieć.

– Nic ci nie będzie – rzekła. – To beznadziejny sposób na rozpoczęcie dnia, ale dasz sobie radę.

– OK – powiedziała Chloe, a potem powtórzyła z większym

zdecydowaniem. – Jest OK. – Odchyliła się, walcząc z pokusą, by odepchnąć Kitty i rzucić się do biegu. Miała wrażenie, że całe jej ciało funkcjonowało w przyspieszonym trybie, i oddałaby wszystko, by jeszcze napić się verrotu.  
– Czuję się bardzo dobrze. Jest tego więcej?

## Rozdział 12

Jack oddalił się od namiotu siostry, nie chcąc wpaść w kolejne kłopoty. Był wciąż na tyle wypoczęty, by móc znów wyruszyć na zwiad, ale Katherine miała rację – nie spał już od wielu godzin. Nie był zresztą nawet pewien, czy da radę zasnąć. Nie zdarzało się, by verrot prowadził do zapaści po kilku dniach czuwania. Krew bloedzuigera łagodziła potrzebę odpoczynku.

Wiedział, że Kitty miała spore obiekcje do verrotu. Spróbowała go kiedyś, lecz od tej pory unikała go ze wszystkich sił, a kiedy Jack próbował ją do niego przekonać, jego siostra wszczyniała potężne awantury. Nawet Edgar nie był w stanie przemówić jej do rozumu. Gdyby Katherine wypila verrot, z pewnością zabarykadowałaby się w jakimś miejscu i poczekała, aż ustąpią efekty jego działania.

Jack nie rozumiał wielu rzeczy na tym świecie, ale nienawiść siostry do verrotu oraz całego gatunku bloedzuigerów zajmowała jedno z pierwszych miejsc na liście. Nikt spośród mieszkańców Bezdroży nie zasługiwał na miano przyjaciela tak bardzo jak Garuda. Przez prawie dwadzieścia lat wspierał ich częściej, niż Jack mógł zliczyć. Być może łączyło ich to, że się nie starzeli, może stary bloedzuiger miał te same ideały, a może po prostu cieszyło go to, że Jack stawia czoła Ajaniemu? Nieważne. Liczyło się to, że wspierał ich w potrzebie i nigdy nie chciał zapłaty. Mimo wszystko Katherine zawsze przesadnie reagowała na jakąkolwiek wieść o bloedzuigerach.

Tak czy owak Jack zdawał sobie sprawę, że podanie verrotu Chloe bez narady z Kitty nie było najlepszym pomysłem. Problem polegał na tym, że Chloe była ich słabym ogniwem, a on nigdy nie myślał klarownie po wypiciu krwi bloedzuigerów. Gdyby miał nieco czasu i przeczekał pierwsze odurzenie, zapewne rozwiązałyby sytuację lepiej, ale specyfik przyćmiewał mu umysł nieco mocniej niż zwykle.

Nabrał powietrza, by się uspokoić. Jego myśli gnały z prędkością światła. Musiał je jakoś okiełznać.

„Może jeszcze jakiś zwiad?”

Myśl o zabiciu czegoś wydawała się kusząca.

Musiał zostawić resztę verrotu w namiocie, ale sam nie mógł tam siedzieć. Czuł, że powinien sprawdzić, co u Hectora. A może była to tylko wymówka,

która odwracała jego uwagę od tego, że na sen jeszcze długo nie miał co liczyć.

„Może w ogóle już nie zasnę?”.

Gdyby Mary żyła, nie byłby to wielki problem.

Od chwili jej śmierci czuł, że powinien być przepelniony większym żalem, ponieważ dobrze się z Mary rozumieli. To, że na początku ich związku ustalili, iż nie będą się angażować, było jednak kłamstwem. Żadne z nich nie miało złudzeń co do tego, kim są. Czasami tego żałował. Od zbyt dawna nie czuł wobec nikogo niczego poza pociąganiem fizycznym. Oczywiście troszczył się o młodszą siostrę i darzył Edgara szacunkiem tak wielkim, że właściwie można to było nazwać czymś w rodzaju przyjaźni. Ostatnio jednak było mu tego za mało. Chciał coś czuć. Chciał, by zależało mu na czymś innym poza wykonaniem zadania, tym bardziej że – szczerze mówiąc – zaczynał podejrzewać, iż i o powodzenie misji dba tylko z przyzwyczajenia.

Ideały, którymi się kiedyś kierował, oraz sprawa, dla której walczyli, pomagały im mieć nadzieję, że zmieniają świat na lepsze, bo robią to, co należy. On jednakże od lat w to nie wierzył. To, co robił czy mówił, nie miało już znaczenia. Był przekonany, że pozostaną w tym świecie aż do śmierci, ale nie potrafił wyznać tego innym. Sam utracił wszelką wiarę, ale udawał, że wciąż ją ma, by pozostali mieli się czego trzymać. Wierzył tylko w to, że robi wszystko, co w jego mocy, by jak najlepiej zatroszczyć się o tę niewielką grupkę ludzi, którzy trafili na Bezdroża.

Zdarzało się, iż nie był pewien, czy chce wiedzieć, dlaczego wszyscy wyładowali w tym świecie. Kiedy indziej pragnął tej odpowiedzi, jak pijak łaknie butelki. Nieliczne fakty, które udało mu się ustalić, nie napawały go optymizmem, ale nie mógł przestać doszukiwać się sensu. Gdy żył w Kalifornii, nie należał do szczególnie pobożnych ludzi i mógł nawet przyznać, że złamał większość przykazań.

„I to wiele razy”.

Nie dawał też dobrego przykładu. To przez niego Katherine zajęła się hazardem i podjęła pracę w saloonie. Gdyby nie jego własny styl życia, jego siostra z pewnością nawet by o tym nie pomyślała. Nie ochronił jej, nie dołożył wszelkich starań, by osiągnęła odpowiednią pozycję i wyszła za mąż, jak przystało na damę. Zamiast tego po śmierci rodziców włókł Kitty za sobą niczym bagaż. Co gorsza, zaciągnął ją za sobą na Bezdroża. Ścisłała go za rękę, gdy stali w rozmokłej, kalifornijskiej uliczce, po czym nagle znaleźli się w owej dziwnej nowej rzeczywistości. Wielokrotnie zastanawiał

się, czy jego występki nie przyciągnęły uwagi jakiegoś boga lub demona, który wrzucił ich do tego świata pełnego potworności. Mimo to po upływie dwóch dekad nadal nie miał pojęcia, jak można poprawić ich przyszłość.

Jack wrócił do posterunku przy bramie. Stojący tam Hector z trudem ukrył zaskoczenie. Był najmniej subtelnym członkiem ich grupy, łatwo wpadał w gniew i często wybuchał śmiechem. Na Bezdrożach zwracał na siebie uwagę czymś innym od reszty – jego żylaste, muskularne ramiona były pokryte licznymi tatuażami. W swoim poprzednim życiu Jack właściwie nie widywał przykładów podobnego dekorowania ciała, ale na Bezdrożach było to powszechne. Każdy bloedzuiger nosił znamię swej watahy, a członkowie wielu bractw religijnych ozdabiali ciała różnymi symbolami. Inni zaznaczali w ten sposób przynależność do plemienia lub podkreślali swoje dokonania. Przybysze właściwie nie mieli czym się pochwalić, na szczęście dzięki Hectorowi rdzenni mieszkańcy Bezdroży czuli się w ich towarzystwie nieco swobodniej.

Hector odchylił się na taborecie i spojrzał na Jacka.

– Zapomniałeś o czymś?

– Nie. – Mężczyzna starał się nie mówić za szybko ani za dużo, choć nie przychodziło mu to łatwo. – Dokończę zmianę.

– Jasne.

Hector zebrał noże i odszedł.

Był dość przyzwoitym człowiekiem i nigdy nie zadawał pytań, na które Jack nie umiał odpowiedzieć, a gdy coś go dręczyło, nigdy nie naciskał, jeśli Jack ignorował jego wątpliwości. Hector zdecydowanie był sojusznikiem, którego by mu brakowało, gdyby się nie obudził.

Dobrze było mieć przynajmniej jedną lub dwie stosunkowo nieskomplikowane osoby wokół siebie.

„Jak Mary”.

Francis również na ogół bywał nieskomplikowany, ale w tej chwili znalazł się na liście tych, których należało bezzwłocznie trzepnąć w łeb. Wyprzedzała go jedynie Katherine. Trzeba było jednak przyznać, że lista często się zmieniała. Wszystko zależało od tego, jak Edgar poradzi sobie z humorami Kitty i jak Chloe zniesie verrot. Francis mógł w każdej chwili stracić swoją pozycję.

Przez następne kilka godzin Jack przyglądał się okolicy, żałując, że musi siedzieć w obozie. Ćwiczenie własnej dyscypliny nie było jego mocną stroną. Patrzył, jak zwierzęta biegają, latają i czają się, a sam kroczył tam i z powrotem, ładował, rozładowywał i przeładowywał broń oraz ostrzył

noże.

Gdy przybył Francis, by przejąć nocną wartę, Jack był gotów wybaczyć mu wypuszczenie Katherine z obozu tylko dlatego, że zjawił się punktualnie. Pełnienie warty z taką ilością dodatkowej energii było cięższym wyzwaniem niż kiedykolwiek wcześniej.

– To nie jest bezradna paniusia. Była wyprowadzona z równowagi, no i nie szła po ciemku, a ja ci zaraz powiedziałem o wszystkim! – wyrecytował Francis na jednym wydechu.

– Wiem – rzekł Jack i przeciągnął się, próbując wyglądać na zmęczonego.

– Edgar mnie zabije, nie? – Francis odgarnął opadające włosy.

– Podejrzewam, że wszystko zależy od Katherine. Tylko nie zrób znowu nic głupiego.

Francis zakołysał się na piętach, przerzucił swój cienki, brązowy kucyk przez ramię i wbił w mężczyznę wzrok szczeniaka, który zbyt długo mieszkał na obrzeżach miasta.

Jack ułożył na stoliku strzelbę, którą dotychczas trzymał na kolanach. Nadal znajdowała się w jego zasięgu, a nie musiał już zachowywać wielkiej czujności.

– Od jutra obejmujesz dzienną zmianę. Edgar będzie trzymał wartę wieczorami. Zyskasz dzięki temu trochę czasu i Edgar może ochłonie, nim się znów spotkacie. – Jack skupił się na tym, by mówić w normalnym tempie. Nie po raz pierwszy wdrażał ten plan. – Nie zrób nic głupiego.

Francis pokiwał głową i skupił uwagę na pustyni. Jack ruszył w stronę namiotów.

Katherine stała przed swoim z ramionami założonymi na piersi, postukując rytmicznie butem. Wyrazem twarzy boleśnie przypomniła mu matkę.

– Ty popieprzony idioto! – Kitty ruszyła ku niemu.

Gdyby znajdowali się na drewnianej podłodze, jej obcasy łomotałyby niczym werbel alarmowy. Kroki dziewczyny wzbudzały tumany kurzu, dzięki czemu wyglądała, jakby buchała z niej para. Nie mógł opanować uśmiechu, gdy podeszła i wbiła mu palec w pierś.

– Skąd to masz? Nieważne, pewnie od tego kościstego gnojka, co? Zawsze musisz zrobić coś głupiego! Zawsze! – powtórzyła, wygrażając mu palcem. – Wiem, że sam też piłeś. Czy ty... Nieważne, oboje wiemy, kim jesteś.

Westchnęła z rozpaczą i rzuciła:

– No powiedz coś!

– Wyglądasz teraz jak mama.

Znów westchnęła. Tym razem wszystkie negatywne emocje opuściły ją w jednej chwili.

– To nie w porządku.

Jack wiedział, w jaki sposób wykorzystywać jej chwile słabości, więc rzekł:

– Ajani stoi za tą sprawą z mnichami. Też musisz się napić verrotu.

– Jack...

– Nie doprowadzaj do tego, bym sięgnął po jakąś barbarzyńską metodę, by cię zmusić. – Jack niemalże prosił. – Straciliśmy jedną wojowniczkę, a jeśli Ajani wkrótce przybędzie, ty i Edgar będziecie dlań najważniejszymi celami.

– Ty też. A także Hector, Francis i Melody, bo Garuda uzna ich za zbędnych. Oraz Chloe, bo jest nowa. – Przy każdym kolejnym imieniu Katherine zginała nowy palec. – Boże, on się dowie o Chloe, nim ta zdąży się przystosować, tak?

– To dlatego podałem jej verrot – rzekł Jack najłagodniej, jak mógł.

Katherine zadrżała nieco.

– Przecież nie mógł się dowiedzieć, że Mary się nie przebudziła, prawda? To przecież niemoż...

– Natomiast zapewne usłyszał, że została zabita, a więc będzie czekał na kolejnego Przybysza. Przejęliśmy ją jednak pierwsi. Dzięki darowi Garudy Chloe szybciej dojdzie do siebie. Będziemy gotowi na pojawienie się Ajaniego.

Jack przyciągnął siostrę do siebie.

– Mam jeszcze jedną pełną butelkę i trochę w tej drugiej. Nie wyjdiesz z obozu przed wypiciem verrotu. Jeśli podejmiesz próbę, zakuję cię w kajdany i uwięzę w namiocie. Nie mam na to najmniejszej ochoty, ale zrobię to, jeśli nie pozostawisz mi wyboru.

– Świr! – mruknęła, ale uścisnęła go szybko i cofnęła się, by znów założyć ramiona na piersi.

– Wszystko będzie dobrze – obiecał jej.

– A więc nie ma powodu...

– Wypijesz verrot – przerwał Jack. – Wypijesz albo zostaniesz w obozie. Nie mogę cię stracić. Nie mogę też pozwolić sobie na to, by Edgar tak bardzo się o ciebie martwił, że na nic się nam nie przyda. Następuje zbyt wiele zmian, Katherine.

– Świr – powtórzyła, ale tym razem nie przytuliła go, by załagodzić wymowę tych słów.



## Rozdział 13

Chloe oczekiwała na powrót Kitty z mieszaniną lęku i frustracji. Nigdy w życiu nie czuła się lepiej. Wcześniej wraz z siostrą Jacka zwiedziły obóz, ale nastał środek nocy, a ona nie mogła usnąć.

Przepociła bluzkę i dzinsy, które wymagały prania. Założyła więc koszulę z lekkiego, acz szorstkiego materiału oraz suknię z długimi wycięciami po bokach. Kitty wyjaśniła jej, że dzięki temu łatwiej chwyci broń w olstrze na udzie. Nie przydzielono jej ani kabury, ani broni, ale dostała parę bardzo wysokich, sfatygowanych butów z brązowej skóry, które Kitty wydobyla z czegoś, co przypominało kufer podróżny. Były nieco za duże, więc pomogła odrobina materiału wsunięta w czubki. Nieco dziwnie się czuła w takim stroju, ale na takim terenie nowe buty miały ogromną przewagę nad pantofelkami o niskim obcasie, w których tu przybyła. Zdaniem Katherine mogły ją również zabezpieczyć przed pustynnymi wężami i zmijami. Pantofle nie stanowiły żadnej ochrony.

Gdy Kitty weszła do środka, Chloe próbowała wykrzesać z siebie tyle cierpliwości, by móc dokończyć wiązanie butów. Była to ich jedyna wada – wiązanie wymagało nachylenia się i zabierało mnóstwo czasu, a jej ciało aż wibrowało od tłumionej energii. Nabrała powietrza, mając nadzieję, że pomoże jej to się uspokoić.

– Czy jestem tu więźniem, czy mogę chodzić, gdzie mi się podoba?

Kitty zamknęła oczy i potarła skronie.

– Nie jesteś więźniem, Chloe – odpowiedziała. – Musisz jednak mieć świadomość tego, że jesteś tu nowa i nie myślisz logicznie. To przez verrot. To coś na kształt narkotyku, ale jest o wiele niebezpieczniejszy, bo można go zdobyć jedynie za zgodą bloedzuigera lub zabijając go. Musi minąć faza pierwszego uniesienia, potem będzie już dobrze. Sądziłam, że przyda ci się trochę ćwiczeń.

– Jasne. Pewnie. Przyda się. – Chloe pokiwała głową tak szybko, że o mało jej zęby nie zaklekotały. – W moim rodzimym świecie byłam dochodzącą do siebie alkoholiczką. Już przechodziłam przez coś takiego. Nie rozumiem waszego świata, ale wiem, co to znaczy być na haju.

Utrzymanie tej samej pozycji stawało się coraz trudniejsze i dziewczyna aż zadrzała. Jej ciało pragnęło ruchu, z jej przyzwoleniem lub bez niego,

a ona chciała – ba, musiała! – przejąć nad nim kontrolę.

– No to powiedz mi, gdzie nie mogę pójść – poprosiła najspokojniej, jak umiała.

Kitty odtrąciła drżące dłonie Chloe na bok i dokończyła wiązanie butów za nią.

– Gdy dojdiesz już do siebie, przeproszę cię za mego brata. Odłóżmy to jednak na później i chodźmy.

Wstała, zmusiła Chloe, by na nią spojrzała, i powiedziała bardzo dobitnie:

– Pamiętasz, co ci mówiłam o płotach. Nie dotykaj ich! – Odsunęła klapę namiotu, robiąc przejście dla nowo przybyłej, i dodała: – Musisz pozostać w obozie. Wszyscy ludzie, których ujrzysz, należą do naszej grupy. Na zewnątrz – wskazała pociemniałą pustynię – włączą się potwory, o których nie mogę ci na razie opowiedzieć. Są tam też lasy, miasta, rzeki i oceany. Są również ludzie. Możesz opuścić obóz tylko w towarzystwie kogoś z nas, rozumiesz?

Chloe odruchowo rzuciła się na Kitty, wyściskała ją i wypuściła równie szybko.

– Obiecuję!

Jeśli Katherine udzieliła jakiejś odpowiedzi, Chloe nie usłyszała ani słowa, gdyż wypadła na zewnątrz. Stała w blasku dwóch księżyców i patrzyła na niewielkie miasteczko namiotowe, które wydawało się niemalże puste. To, co widziała, w niczym nie przypominało D.C. Nie miała pojęcia, jak się tu znalazła ani jak do tego doszło, ale bez wahania chciała poznać świat, który od tej pory miała nazywać domem.

Rozejrzała się ostrożnie, próbując zdecydować, dokąd się udać. Jak dotąd nie ustaliła wielu szczegółów. W końcu ruszyła powoli, najwolniej jak mogła, z verrotem buzującym jej w żyłach. Widziała dziesięć namiotów rozstawionych na tyle daleko od siebie, by nie naruszać prywatności mieszkańców. Zdziwiło ją to, że w kilku wykopanych dziurach płonął ogień. Podeszła bliżej i ujrzała, że ściany wykopów wzmacniają metalowe obręcze, a na dnie widać kupki popiołu zmieszanego z piaskiem i drobnymi kośćmi. Minęła dziurę, unikając kontaktu wzrokowego z ogromnym, odzianym na czarno mężczyzną, który wyszedł z namiotu. Była przekonana, że powitał ją przy wejściu do obozu, ale nie miała pewności. Opuściła wzrok i przyspieszyła kroku w nadziei, iż uzna, że go nie zauważyła. Zatrzymanie się wydawało jej się teraz torturą – łagodną, ale mimo to bolesną.

Chloe ruszyła przed siebie i uświadomiła sobie, że wokół obozu ciągnie

się pas pustej ziemi. W piasek wkopano linę, która pobrzękiwała cicho. Wyglądało na to, że wykonano ją z rozmaitych metali i jakichś kryształów. Tuż za liną ciągnął się metalowy płot.

Podeszła do niego, gdy nagle rozległ się jakiś głos.

– Zabije cię, jeśli go dotkniesz. Mam na myśli płot.

– Wiem – odparła, nie chcąc przyznać, że całkiem o tym zapomniała.

Dzięki verrotowi miała wrażenie, że jest zdolna do wszystkiego. Wiedziała, że gdy przestanie działać, będzie musiała zrobić coś, by jakoś zdobyć go więcej. Gdyby nie było tu alkoholu czy narkotyków, może polubiłaby ten stan?

„A może to wcale nie uzależnia?”.

Miała wrażenie, że ktoś powiedział coś takiego. Tymczasem jednak odepchnęła od siebie wszystkie myśli i odwróciła się w stronę człowieka, który przyniósł jej verrot.

Jack wydawał się równie podekscytowany jak ona. Miał szeroko otwarte oczy i rozchylone usta. Wyglądał na człowieka, z którym można było nieźle się zabawić. Emanował siłą charakteru, miał wspaniałe mięśnie, przenikliwy wzrok i kuszące usta, a przy tym wydawał się tak niebezpieczny, że natychmiast uruchomiły się wszystkie jej systemy ostrzegawcze.

– Wolałbym, byś nie ginęła zaraz po przybyciu.

– A jest tu coś, co mnie nie zabije? – Chloe cofnęła się od płotu i przybliżyła do niego. Nie miała pewności, czy będzie w ten sposób bezpieczniejsza. – Jestem niemal pewna, że zeszłej nocy widziałam smoka. Twoja siostra dała mi spódnicę, dzięki której łatwo jest sięgać po pistolet. Broni żadnej nie dostałam, co jest słusznym pomysłem, zważywszy na to, że ręce mi się trzęsą po wypiciu krwi wampira od ciebie!

– To nie wampiry, ale bloedzuigery. Kitty nie przepada za nimi i dlatego tak je nazywa. – Jack przestąpił z nogi na nogę, jakby stanie i dla niego było trudnym wyzwaniem. – Może powinienem ci wszystko wyjaśnić przed podaniem verrotu, ale ten specyfik sprawi, że staniesz się silniejsza i szybciej pokonasz efekty choroby lokomocyjnej. Już jest ci lepiej.

Oblizła wargi, myśląc o verrocie. Jack wbił wzrok w jej usta, przez co Chloe niespodziewanie poczuła się osaczona. Wdychała i wydychała powietrze najwolniej jak umiała, próbując odprężyć się ze wszystkich sił. Płot był śmiertcionośny i nie mogła się wycofać. Była w stanie jedynie podejść bliżej do człowieka, który najpierw niósł ją przez wiele mil pustyni, a potem bez ostrzeżenia napoił niebezpiecznym specyfikiem.

– Skoro stałaś się członkiem zespołu, musisz ufać memu osądowi. – Jack przeniósł wzrok na pustynię za jej plecami.

– Jest tam coś za mną?

– Nie. A gdyby było, nie dałoby rady sforsować płotu – rzekł Jack i spojrzał prosto na nią. – Przyzwyczailem się do tego, że zewsząd czyhają na mnie kłopoty.

Nie odwracał spojrzenia i dziewczyna zadała sobie pytanie, co miał właściwie na myśli. Czy to ona sama ma być kłopotem, czy może będą nim razem? Stali przez moment i Chloe chciała już zapytać, o co mu właściwie chodzi, gdy Jack odwrócił się niespodziewanie i odszedł.

Pobiegła za nim, nie wiedząc, czy powoduje ją ciekawość, czy głupota.

– Co ty robisz?

– Idę.

– Ty też się tego napiłeś.

Chloe dogoniła go. Podświadomie czuła, że spódnica odsłania zbyt dużo, ale jednocześnie miała nadzieję, że przyjrzał się dobrze jej nogom.

Zatrzymał się nagle i dziewczyna odruchowo wyciągnęła ręce, by nie wpaść na niego. Jego mięśnie były równie twarde i perfekcyjne jak u pewnego boksera amatora, z którym się kiedyś umawiała, do tego stopnia, że ogarnęła ją pokusa, by przesunąć dłońmi po całych plecach. Zamiast tego cofnęła się błyskawicznie.

Jack zwrócił się ku niej.

– Tak, piłem ten sam verrot co ty. Muszę dbać o bezpieczeństwo nas wszystkich. To moje zadanie na tym świecie. Przeprowadzam zwiad. Poluję. Zresztą większość z nas to robi. – Położył dłoń na rękojści broni. – Podejmujemy się tu różnych zleceń, ale zawsze staramy się działać w słusznej sprawie i pomóc w utrzymaniu porządku. W ten sposób jednocześnie zarabiamy na sobie i pokutujemy za grzechy, które nas tu przywiodły.

– Za co takiego? – Cofnęła się o krok.

– Ktoś nas wybrał. Każdy z nas kogoś zabił i popełnił inne straszne zbrodnie, nim został wciągnięty na Bezdroża. To jedyna rzecz, która łączy nas wszystkich, Chloe. – Jack zatoczył ręką łuk i nowo przybyła raz jeszcze rozejrzała się po oświetlonym blaskiem księżyców obozie. – Ci ludzie to mordercy. Istnieje spora szansa, że ty również jesteś zabójczynią.

Przypuszczalnie nie istniało zdanie, które sprawniej ugasiłoby jej pożądanie. Miała być morderczynią? Chloe wpatrywała się w niego, ale nie odpowiedziała na zadane pytanie. Tak, bo to przecież było pytanie. Chciał,

by się przyznała, że ma kogoś na sumieniu.

„Pieprzyć to”.

Jej przeszłość nie była jego sprawą. Dobrze wiedziała, że niektórymi sekretami nie wolno się było dzielić, a już na pewno nie z człowiekiem, którego właśnie poznała. Była tym, kim była, i nigdy z nikim o tym nie rozmawiała. Najważniejsza zasada zabójcy brzmiała: nigdy o tym nie mów. Niektóre tajemnice były zbyt niebezpieczne, by się nimi dzielić. Być może zbrodni z poprzedniego świata tu nie karano, ale nie oznaczało to, że miała ochotę o nich mówić.

Zaczęła się od niego oddalać, ale po kilku krokach usłyszała kolejne pytanie.

– Umiesz strzelać?

– Co?

Chloe odwróciła się ku niemu.

– Strzelać. Znasz się na tym? Skoro masz nam towarzyszyć, musisz umieć się bronić. Łatwiej strzelać niż posługiwać się nożami czy miejscową bronią.

– Temat nie jest mi obcy – wybrnęła.

– Muszę dokonać szybkiego zwiadu. – Jack wskazał jej jałowy krajobraz dookoła obozu. – Jeśli masz ochotę, możesz mi pokazać, na co cię stać.

Bynajmniej nie były to przeprosiny, przypuszczalnie nie miał w ogóle zamiaru jej przeproszać. Dał jej jednak do zrozumienia, że nie ma zamiaru drażnić tematu jej grzechów, jak to nazywał. Chloe to wystarczyło, tym bardziej że zaprosił ją przy tym do przeprowadzenia zwiadu.

– Brzmi nieźle – odparła.

W jej umyśle nadal rozbrzmiewało echo słów Kitty, która nalegała, by nie opuszczała obozu, ale przecież nie wybierała się nigdzie na własną rękę. Był z nią Jack, jej szef. Cóż więcej trzeba? Próbowwała podążyć za nim spokojnym krokiem, choć bynajmniej nie oznaczało to, że szła powoli. Poczwała przyływ energii. Długa, zwieńczona strzelaniną wędrówka przez noc brzmiała niewiarygodnie kusząco.

## Rozdział 14

Jack nie zamienił ani słowa z Francischem przy bramie. Gdy ten przedstawiał się Chloe, Jack porwał kilka sztuk broni oraz jedną ze spakowanych wcześniej toreb. Gdyby się zatrzymał choć na chwilę, zapewne uświadomiłby sobie, co właśnie robi, ale żadne z nich nie miało teraz ochoty na myślenie. Podał Chloe verrot bez pytania. Od ponad dwóch dekad pomagał nowym Przybyszom zaaklimatyzować się na tym świecie i z reguły nie był taki nieczuły.

Podał towarzyszcze obrzyna. Nawet ktoś, kto nie potrafił celować, mógł dokonać niezłego spustoszenia dzięki takiej broni.

– Łap.

Chloe chwyciła strzelbę, ze zdumiewającą wprawą zajrzała do luf i zamknęła broń. Nie powiedziała ani słowa i Jack cieszył się z tego. Mary nie żyła, Ajani spiskował przeciwko nim, a on był rozdygotany jak kot w domu pełnym waleriany. Wydawało mu się, że krew Garudy nie będzie tak potężna ze względu na to, że przefiltrował ją przez nowo narodzonego bloedzuigera, ale najwidoczniej się pomylił.

– Jeśli Katherine będzie zadawać pytania, powiedz jej, że wyszliśmy – rzekł do Francisa, złapał jeszcze parę rzeczy i wcisnął je do plecaka z bronią. – Edgarowi przekaz, że Kitty ma zakaz opuszczania obozu. Niech nikt nie wychodzi z niego do mego powrotu. Hector i Melody również, jeśli wrócą przede mną.

Miał coraz większą ochotę, by ruszyć. Naraz uzmysłowił sobie błąd. Nie dość, że podał nowo przybyłej krew, to jeszcze był to verrot zanadto czysty. Nowo narodzony zapewne napił się od samego Garudy przed przybyciem Jacka, o czym bloedzuigery by mu powiedziały, gdyby zapytał. Zamiast tego jak ostatni idiota uznał, że sytuacja jest pod kontrolą.

– Chodźmy.

Jack zarzucił torbę na ramię i ruszył na pustynię.

Chloe udała się w ślad za nim. Bez trudu utrzymywała narzucone przez niego tempo, co zawdzięczać mogła jedynie darowi Garudy. Zazwyczaj choroba lokomocyjna ustępowała po kilka dniach. Bywało, że trwała przez tydzień lub nawet więcej. Chloe tymczasem nieźle się trzymała i po kilku minutach marszu wysforowała się przed niego. Jack przyspieszył, nie

mówiąc ani słowa.

Chloe zrobiła to samo.

Wkrótce oboje biegli po wciąż ciemnej pustyni z energią i żywiołowością, na którą Jack rzadko sobie pozwalał. Znów wysforował się na czoło i poprowadził ją ścieżką wijącą się między ogromnymi kaktusami lasu Saguaro. Jak na Pustynię Szubieniczną było to dość bezpieczne miejsce.

Cóż, prawdę powiedziawszy, na całej pustyni nie było miejsca naprawdę bezpiecznego, ale wiele stworzeń nienawidziło kaktusowego lasu. Największym zagrożeniem były tu bloodziguery i dwunaturzaki, ale każdy człowiek, który napił się krwi Garuda, mógł przez przynajmniej miesiąc uchodzić za członka jego watahy. Jack nie miał wątpliwości, że Garuda pozostawił w okolicy kilku młodzików na wypadek, gdyby Jack potrzebował pomocy. Po skonsumowaniu krwi przywódca Przybyszów był łatwy do wytropienia, co oznaczało, że stary bloodziger pozostawi mu pomocników, a w wypadku poważniejszego zagrożenia sam się zjawi z odsieczą.

Gdy dotarli na miejsce, Jack złapał Chloe za rękę i zmusił ją, by się zatrzymała. Rozpędzona dziewczyna obróciła się gwałtownie i wpadła prosto na niego. Jack odruchowo upuścił worek z bronią i pochwycił ją za biodra, by nie upadła.

Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna odsunie się, ale ta wbiła w niego wzrok i rozchyliła usta, jakby chciała coś powiedzieć. Zamiast tego pocałowała go, a on nie był w stanie wymyślić żadnego powodu, dla którego miałby ją powstrzymać. Jego dłonie natrafiły na rozcięcia w spódnicy i wsunęły się w nie bez namysłu. Szybko odkrył, że Chloe nie ma na sobie bielizny. Zacisnął ręce na jej pośladkach i przyciągnął ją do siebie.

Owładnięci piśszczotami zapomnieli o biegu. Gdzieś na skraju świadomości majaczyła myśl, że miewał w życiu lepsze pomysły. Przecież znaleźli się na pustyni w środku nocy. Ona była tu nowa. Oboje pili niemalże czysty verrot.

Wtedy Chloe oplótła go ramionami, a potem otoczyła nogą i Jack nie był już w stanie sformułować żadnej myśli.

Nie przestawali się całować i resztki zdrowego rozsądku podpowiedziały Jackowi, że to bardzo zły pomysł. Myśl ta uparcie próbowała dotrzeć do jego świadomości, ale teraz światem Jacka niepodzielnie rządził wypity verrot.

Chloe naparła na niego z taką siłą, że stracił równowagę i runął na

ziemię. W porę oderwał od jej bioder ręce i załagodził upadek, ale mimo to cieszył się, że był sprawny fizycznie, a jego siły wzmocnił verrot. Chloe natychmiast go dosiadła, a Jack uświadomił sobie, że oboje nadal są ubrani.

Zaczął jej rozpinać koszulę, a wtedy Chloe uniosła się, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami. Musnął ją kciukiem i zeszywniała. W tej samej sekundzie Jack odzyskał panowanie nad sobą.

– Nie! – zawołał i wyswobodził się spod niej.

Chloe skoczyła na równe nogi szybko niczym bloeduiger. Oddychała równie ciężko jak on, a jej wargi były opuchnięte od namiętnych, gwałtownych pocałunków.

– Nie – szepnęła, przełknęła ślinę i odezwała się nieco głośniejszym głosem: – Masz rację. Nie. Ja... Ja nie pobiegłam za tobą w tym celu. Może tobie zależało, ale...

– Nie. Ja również tego nie planowałem – zgodził się Jack. – To teraz kiepski pomysł.

Nie ufał ani jej, ani sobie. Leżał na ziemi i patrzył, jak wygląda suknię i poprawia włosy, jakby jej wygląd mógł coś zmienić.

– Tak. Kiepski pomysł – powtórzyła, ale jej słowa zabrzmiały jak pytanie.

– Ja nie jestem taka – dodała. – Może ludzie tutaj... eee... lubią takie rzeczy, ale ja nie.

– Ludzie tutaj są dokładnie tacy jak w domu. – Jack dźwignął się na kolana i nagle uświadomił sobie, że jego oczy znalazły się na poziomie ud Chloe. Zmusił się, by unieść wzrok i spojrzeć jej w twarz. – Brak bielizny może być nieco rozpraszający.

– Mam spódnice – rzekła dziewczyna, wyglądzając ją ponownie.

Jack wyszczerzył zęby.

– Wyciętą tak wysoko, że gdybyś zrobiła kilka kroków, mógłbym...

– Kiepski pomysł – powtórzyła drżącym głosem. – Sam to powiedziałeś.

– W istocie. – Jack wstał, ale nie podszedł bliżej. – Gwoli ścisłości: powiedziałem, że to teraz kiepski pomysł. Jak już się przyzwyczaisz do Bezdroży, możemy powrócić do tematu.

Zamiast odpowiadać, Chloe podniosła worek z bronią i otworzyła go.

– Broń. Broń to supersprawa. Od dawna nie strzelałam. W D.C. mamy idiotycznie surowe prawo, ale strzelanie jest jak jazda na...

– Mężczyźnie? – przerwał jej.

Pocałunki Chloe oraz verrot sprawiły, że czuł się nieco bardziej odprężony niż dotychczas.

– Rowerze – odparła ze zdecydowaniem, choć przez jej usta przemknął



przelotny uśmiech. – Albo w twoim przypadku na koniu. Miałam na myśli to, że nie da się zapomnieć, jak się strzela, tak jak nie można zapomnieć, jak się jeździ na rowerze.

Bieg przez pustynię i myśli o zanurzeniu twarzy między udami Chloe sprawiły, że paskudny nastrój dręczący Jacka od pewnego czasu, znikł bezpowrotnie. Uśmiechnął się i rzekł:

– Cóż, na Bezdrożach nie ma żadnych praw, które zabraniałyby strzelać. Zobaczymy, na co cię stać z rewolwerem w ręku.

## Rozdział 15

Choć Ajani podróżował przez pustynię w najmniej niewygodnym ze wszystkich dostępnych środków transportu, nadal żałował, że nie mógł przekazać zadania komuś innemu. Było dla niego niewiarygodne to, że Bezdroża do tego stopnia obfitują w tak przerażające miejsca jak jałowe pustynie, zbiorowiska rudery pretendujące do miana miasteczek, gęste bory pełne paskudnych bestii i oceany zamieszkane przez jeszcze większe potworności. Mimo to za pustynią przepadał najmniej. Przez wiele tygodni po powrocie nadal miał wrażenie, że wszędzie widzi piasek. Czuł teraz jego nieprzyjemny, słony smak na ustach i języku.

– Wody – zażądał.

Powóz nadal brnął przez piaski. Jeden z zatrudnionych przez niego miejscowych podał mu przez okno dzbanek z ciepłą wodą. Nie smakowała dobrze, ale Ajani wiedział, że przy jego wyczerpaniu i tak wielkim upale picie wina czy brandy nie było dobrym pomysłem. Na cieniutkiej warstewce potu powlekającej jego skórę zaczynała osiadać warstwa piasku. Skrzywił się i otarł twarz ręcznikiem.

Siedząca na zewnątrz powozu Ashley, jedna z jego najbardziej zaufanych wojowniczek, spojrzała z pogardą. Każdy inny zasłużyłby sobie w ten sposób na reprimendę, ale nie ona. Była na tyle cenna, że Ajani pozwalał jej na wiele więcej od innych. Na pierwszy rzut oka sprawiała wrażenie delikatnej laleczki, ludzkiej repliki zabawek z porcelany, za którymi tak bardzo przepadały jego siostry. Była drobną kobietą z miodowojasnymi włosami, bladoniebieskimi oczami z wyjątkowo długimi rzęsami i uśmiechem, który nadawał jej wygląd anioła. W świecie, który oboje niegdyś nazywali domem, cierpiała na coś, co nazywała mukowiscydozą, ale tu, podobnie jak reszta jego obstawy, była praktycznie nieśmiertelna. Brak ograniczeń sprawił, że Ashley przeistoczyła się w wojowniczkę odporną na ból czy niewygodę. Ajani zaprosił ją, by usiadła w powozie obok niego, ale odmówiła.

W jego czasach Ashley byłaby już za stara, by wyjść za mąż, ale w swej epoce najprawdopodobniej wciąż studiowała. Idea kształcenia kobiet nadal wydawała się Ajaniemu stosunkowo odpychająca, ale po trzydziestu latach na Bezdrożach nie dziwił się już niczemu.

– Chcesz się napić? – spytał, pokazując jej dzbanek.

– Nie. – Dziewczyna patrzyła przed siebie skupiona na obowiązkach, z trudem kryjąc niechęć. – Może ktoś inny?

Ajani nie spojrział ani na Daniela, który dorównywał jej rangą, ani na nikogo innego spośród swej obstawy. Nie zrobiliby ani łyka, gdyby powiedział, że nie są spragnieni. Większość z nich nie umarłaby nawet, gdyby dopadło ich odwodnienie. Ci, którzy pochodzili z innego świata, byli niezniszczalni, a reszta urodziła się na Bezdrożach i wykształciła odporność na trudne warunki.

– Nic im nie będzie – rzekł Ajani.

– Mi też nie. – Ashley zacisnęła mocno usta podirytowana, ale nie pozwoliła mu wciągnąć się w kłótnię.

– Dobrze – rzekł Ajani.

Nie miał pewności, czy należało to zawdzięczać tekstowi z sarkofagu, dzięki któremu otworzył portal, czy może innej transformacji mającej miejsce podczas przejścia na Bezdroża, ale wszelkie dolegliwości i choroby ze świata rodzimego zniknęły tu jak ręką odjął. Jego podwładni żyli, nie starzejąc się, dzięki czemu mógł być zawsze pewien ich lojalności.

Gdy ich oczom ukazało się prymitywne miasteczko, Ajani poczuł dreszcz podniecenia. Samo miasto nie poprawiło mu nastroju, ale nadzieja tego, co spodziewał się tu zastać. Jeden z ludzi, którzy przybyli na Bezdroża, właśnie zginął, a na tym świecie pojawił się Przybysz, osoba z wielkim potencjałem.

„A Katherine będzie czekać”.

– Szybciej! – rozkazał.

Wiedział, że za kilka godzin rozgości się w Szubienicy, zmyje z siebie brud i przywita się z najmłodszą mieszkanką Bezdroży. Za każdym razem miał nadzieję, że kolejny Przybysz będzie taki jak on czy jak Katherine. Nawet jeśli ta kobieta okaże się jednak przeciętna, Ajani z radością powita kolejną wojowniczkę w obstawie. Cesarz potrzebuje tylko jednej godnej żony, ale wielu wiernych żołnierzy.

## Rozdział 16

Chloe nie miała pewności, co naprawdę sądzić o Bezdrożach, Jacku czy czymkolwiek innym, ale jej opinia na temat broni palnej była jasna i sprecyzowana. Ciężar pistoletu w dłoni napełniał ją energią i zupełnie nie przeszkadzało jej to, że moc, którą dawał, tu na Bezdrożach była czymś dobrym. Nie miała zamiaru ślepo zawierzyć ludziom, do których los ją zaprowadził, ale z radością przyjęła broń, której w ich obozie walało się tyle co w innych chrustu.

– Jeden z naszych robi różne potrzebne nam rzeczy – wyjaśnił Jack, podawszy jej dokładnie sprawdzoną broń.

Był to dziewięciostrzałowy rewolwer z długą lufą. Nie różnił się bardzo od broni, którą miała w rękach w domu, ale mimo to obróciła go w dłoniach i obejrzała z zaciekawieniem. Otworzyła magazynek i przekonała się, że komory są bardzo długie. Znane jej naboje były o wiele za krótkie. Wyciągnęła dłoń, prosząc o amunicję.

Jack bez słowa podał jej trzy wąskie, ostro zakończone naboje. Chloe całkiem zapomniała, że jeszcze chwilę temu miał ochotę na dziki seks na piasku. Teraz zachowywał się jak chłodny, w pełni profesjonalny instruktor strzelania. Szczerze mówiąc, nie miała pojęcia, co o tym wszystkim myśleć. Oczywiście dla niej było tylko to, że miała bardzo kiepski gust, jeśli chodziło o mężczyzn. W rodzimym świecie umawiała się z totalnym dupkiem, potem z byłym przestępcą, a na koniec związała się z mężczyzną, który wydawał się przyzwoitym człowiekiem, ale kilka tygodni po wprowadzeniu się przerznął jej szefową. Na Bezdrożach jak dotąd spotkała tylko trzech mężczyzn i wylądowała na piasku z tym, który podał jej miejscowy ekwiwalent narkotyków.

„Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniają”.

Chloe wsunęła dziwne naboje do komór i zamknęła magazynek.

– Co jest celem?

Jack wskazał jej odległą skałę, zapewne przeświadczony, że w nią nie trafi, tym bardziej że nadal było ciemno. Co prawda do świtu brakowało jeszcze trochę czasu, ale dzięki verrotowi dobrze widziała w ciemnościach.

Wycelowwała, wciągnęła powietrze i pociągnęła za spust. Kula opuściła lufę z osobliwym gwizdem i trafiła prawie w sam środek skały. Z tej

odległości miała wrażenie, że rozpadła się na drobne kawałki.

– Zmodyfikowane drewno – wyjaśnił Jack. – Francis zazwyczaj każe je jeszcze pobłogosławić. Jak dotąd nie zauważyłem żadnych różnic między pobłogosławionymi kulami i zwykłymi, ale nasz Francis nadaje nowe znaczenie słowu „przesądny”.

– To był ten przy bramie? – Chloe podeszła do trafionej skały, by przyjrzeć się uszkodzeniom.

– Tak.

Jack szedł przy niej.

Strzelali z najróżniejszych rewolwerów, strzelb i obrzynów, aż Jack się rozpromienił.

– Masz ogromną wprawę! Czym ty się zajmowałaś w swoim świecie?

– To nieważne.

Chloe pokręciła głową.

– Edgar był zabójcą do wynajęcia. Ja byłem hazardzistą, a oprócz tego parąłem się paroma innymi rzeczami. Francis handlował narkotykami, a Hector... Cóż, nikt tak naprawdę nie wie, co robił Hector. Mówił, że pracował w wesołym miasteczku, ale wygląda na to, że spędził też trochę czasu w więzieniu. – Jack podniósł parę noży do rzucania. – To jego ulubione. Umiesz posługiwać się nożem?

Przez moment Chloe wpatrywała się w pustynię za plecami Jacka. Trafiła więc do grupy kryminalistów i podrzynaczy gardeł.

„Mama zawsze twierdziła, że źle skończę”.

Jej uwagę przyciągnęło zwierzę przypominające psa, które przemknęło przez piasek. Usiłowała odepchnąć myśli o Jasonie i jego ostrzach.

„On już nie żyje – przypomniała sobie. – Zajął się tym”.

Spojrzała na Jacka i rzekła:

– Nie przepadam za nożami.

– W porządku. – Mężczyzna podniósł torbę i wyciągnął dwa inne ostrza. – Oto noże ćwiczebne. Pokażę ci podstawy walki wręcz z nożem.

– Jack? To zwierzę zbliża się do nas!

Chloe wskazała mu przybysza. Gdyby znajdowała się w Ameryce, uznałaby, że to coś z rodziny psowatych, ale nie potrafiłaby ustalić gatunku. Zwierzę miało wielkie, spiczaste uszy przypominające kojota, ale grzbiet opadający ku tyłowi przywodził na myśl hienę.

Jack odwrócił się i dostrzegł bestię. Natychmiast pchnął dziewczynę w kierunku worka z bronią i złapał nóż pozostawiony na skale.

– Łap za broń! Szybko!

Chloe wyciągnęła rewolwer, sprawdziła magazynek i sięgnęła do torby po więcej amunicji.

– Co to jest?

– Cynantrop!

Jack stanął przy niej.

Chloe uniosła broń i wycelowała.

– Mogę zabić to coś.

– Jest ich więcej. – Mężczyzna rozglądał się uważnie. – One zawsze polują w grupach. Jeśli widzisz jednego, na pewno gdzieś kryją się inne. Jeśli zastrzelisz jednego, który nie miał ochoty cię atakować, pozostałe natychmiast rzucą się na ciebie.

Za przykładem Jacka Chloe rozejrzała się uważnie w poszukiwaniu innych członków watahy. Miała nadzieję, że Jack się myli bądź mieli do czynienia z samotnym, zabłąkanym osobnikiem, ale wkrótce dostrzegła kolejne.

– Jack?

– Widzę je. – Mężczyzna wsunął nóż do pochwy i wyciągnął rewolwer. – Nie ruszaj się.

Było ich przynajmniej siedem. Zbliżały się powoli i Chloe nie miała już wątpliwości, że są zdecydowanie większe od kojotów. Przewyższały rozmiarami rottweilery hodowane przez kogoś z jej byłych. Podobnie jak one były bardzo muskularne i miały przerażające kły. Wygląd psów jej chłopaka napawał lękiem, ale zwierzęta okazały się bardzo miłe i przyjazne. Cynantropy tymczasem wydawały się zimne i bezlitosne. Zbliżały się ze wszystkich stron, jakby rządził nimi zbiorowy umysł, i Chloe nie była przekonana, czy rzeczywiście powinna posłuchać Jacka i czekać. Było ich tak wiele, że gdyby w istocie zaatakowały, nie wiedziała, czy uda im się uniknąć ran.

Jeden z nich warknął, a pozostałe przyłączyły się. Dobiegający zewsząd grzmot niebezpiecznie kojarzył się z odgłosami wydawanymi przez ogromny rój wściekłych pszczół.

– Mogę otworzyć ogień? – spytała błagalnie. – Nie chcę stać się karmą dla psów!

– Nie!

Jack oparł się plecami o plecy Chloe, co paradoksalnie jednocześnie złagodziło, jak i spotęgowało ochotę, by stąd uciec. Gdyby Chloe gwałtownie się cofnęła, Jack mógłby stracić równowagę i stać się w ten sposób łatwą ofiarą. Ale dziewczyna mogła przez moment poczuć się

pewniej, wiedząc, że naprawdę stoi za nią i nie spuszcza oczu z potworów.

Cynantropy nadal warczały, a te, które widziała z przodu i po bokach, były nieruchome. Nie miała pojęcia, na co czekały, i nie wiedziała, na co ma zwracać uwagę, ale zanim zdążyła spytać Jacka o cokolwiek, ten wrzasnął:

– Uskakuj w lewo! Ognia!

Wypełniła polecenie, ale cynantrop, do którego celowała, rzucił się w bok i kula dziewczyny rozbiła kawałek kaktusa. Wycelowała i raz jeszcze wystrzeliła, tym razem trafiając potwora w ucho.

– Cholera!

Cynantropy nie atakowały. Uskakiwały, gdy naciskała spust, ale nie rzucały się na nią. Chloe strzelała, a drapieżniki cofały się. W sumie spodziewała się o wiele gorszego obrotu wydarzeń.

Wtedy usłyszała za sobą warkot.

Oderwała wzrok od trzech innych bestii, które nadal miała przed sobą, i ujrzała, jak Jack przetaczał się po piasku z innym cynantropem, który próbował rozszarpać mu gardło. Jego rewolwer leżał na ziemi, a obie dłonie zaciskały się na potworze.

Pod żadnym pozorem nie mogła teraz wystrzelić – istniało zbyt wielkie ryzyko, że go trafi. Zerknęła na resztę watahy, która nadal biernie przyglądała się rozwojowi wydarzeń, i przypadła do worka z bronią. Raz jeszcze upewniła się, że reszta tkwi nieruchomo. Gorzko żałowała, że nie zna lepiej zasad rządzących tym światem. Szkoda, że trafiając do nowego świata, człowiek nie dostawał przewodnika czy instrukcji obsługi. Miała więc polegać na instynktach, którym nie zawsze można było ufać. Wyciągnęła kolejny rewolwer oraz przedmiot, który przypominał skrzyżowanie noża myśliwskiego z krótkim mieczem.

Szkoda jej było czasu na przeładowanie rewolweru. Wycelowała w najbliższego cyna i nacisnęła spust, tym razem trafiając go w klatkę piersiową. Potwór zasyczał zupełnie nie jak pies, a inny przypadł do ziemi nieco bliżej. Był to ten, któremu wcześniej rozerwała ucho. Wypaliła ponownie, ale bestia znów uniknęła kuli. Oba poszkodowane przez nią cyny umknęły, pozostawiając trzeciego.

Odwróciła się w stronę Jacka przygwoźdzonego przez innego drapieżnika do ziemi. Chciała przypaść doń i pomóc mu się uwolnić, ale wtedy z paszczy każdego członka watahy wyrwał się długi skowyt przerażenia. Wszystkie cynantropy z wyjątkiem tego, który nadal próbował pożreć Jacka, błyskawicznie umknęły.

Uniosła głowę, by zlokalizować to, co wystraszyło całą watahę, i ujrzała coś jeszcze bardziej przerażającego od drapieżników. Pomarszczona, humanoidalna istota uniosła postrzelonego przez nią cyna i rozerwała mu gardło, a potem zwróciła wychudłą, powalaną od krwi twarz w jej kierunku.

– Pieski, pieski, do nogi! – mruknęła Chloe i otworzyła magazynek. Wydawało jej się, że nie ujrzy już nic gorszego od drapieżnej watahy, ale na widok nowego zagrożenia nagle za nią zatęskniła. Gdyby cyny powróciły, może zyskaliby chwilę, by zaplanować obronę. – Masz jakieś pomysły? – zawołała, gdy uzupełniła magazynek, zatrzaskała go i uniosła broń. Jej kciuk odciągnął kurek, palec wskazujący spoczął na spuście.

– On jest po naszej stronie! – wrzasnął Jack. – Nie strzelaj!

Chloe miała wrażenie, że Jack postradał zmysły. Wpakowanie kuli w zbliżającą się istotę, która wydawała się żywcem wycięta z najgorszego koszmaru, było bardzo logicznym pomysłem. Ba, jedna kula to za mało!

„Rany boskie, przyszło mi pracować z szaleńcem!”.

Zmusiła się, by spuścić palec z kurka, i spojrzała na Jacka nadal przygniecionego przez warczącego cynantropa.

– Co to jest?

– Bloedzuiger.

Jack grzmotnął cyna w pysk.

Chloe spojrzała na nadchodzącą istotę, jeszcze bardziej przerażona niż przed chwilą. Na ustach przybysza zastygły krwawe bąbelki.

– To jest bloedzuiger?

Na widok przybysza poczuła mdłości równie silne jak te, które pochwyciły ją, gdy się dowiedziała, że poczęstowano ją krwią. Przecież to była obrzydliwa istota pozbawiona jakichkolwiek uczuć! Nawet atakujące ich drapieżniki wydawały się bardziej świadome i czujące. Bloedzuiger wyglądał, jakby zaczął się pienić.

– Posłucha cię, jeśli nie każesz mu zrobić niczego głupiego! – krzyknął Jack, starając się utrzymać kły cynantropa jak najdalej od swego gardła. Bestia była silniejsza, niż wskazywały na to jej rozmiary, ale męczyzna jakoś ją powstrzymywał. – Pomóż mi, proszę!

Bała się, że strzelając do cyna, trafi Jacka. Walczący przetaczali się gwałtownie i trudno by jej było oddać czysty strzał. Co więcej, wcale nie była pewna, czy chce się odwrócić plecami do bloedzuigera.

– Nie mogę...

Słowa zamarły jej na ustach, gdy bloedzuiger niespodziewanie



zareagował na prośbę Jacka. Zlikwidował ostatniego z cynantropów tak szybko, że trudno było za nim nadążyć. Mężczyzna dźwignął się na nogi, a potwór, który przyszedł im z odsieczą, wpatrywał się w niego. Krwawa ślina ściekała mu z ust na pierś.

Bloedzuiger bez wątpienia okazał się sojusznikiem, ale Chloe nie potrafiła całkiem opuścić broni. Powoli rozluźniała ramiona i opuszczała rewolwer, ale wciąż była gotowa podnieść go w każdej chwili i nacisnąć spust. Jack stanął przy niej, położył dłoń na lufie i naparł na nią delikatnie, aż w końcu dziewczyna wymierzyła w piasek.

– Nie zrobi ci krzywdy – zapewnił ją.

Nie była do końca przekonana, czy może mu ufać – czy mogła naprawdę zaufać komukolwiek z poznanych przez siebie ludzi? – ale śliniący się potwór, który wpatrywał się w oglądającego swoje rany Jacka, znajdował się na czele coraz dłuższej listy istot, którym ufać nie mogła. Przybysz przypominał raczej bohatera czarno-białych filmów o wampirach aniżeli romantyczne wersje z późniejszych filmów. Co więcej, nie poruszał się i dziewczyna po chwili skupiła uwagę na mężczyźnie, który walczył u jej boku.

Jack miał kilka drobnych ran, ale te, ku jej zdumieniu, znikwały w oczach. Jej własne skaleczenia również goiły się w okamgnieniu. Ból słabł błyskawicznie, a dziewczyna nie miała pojęcia, dlaczego tak się dzieje. Może miało to jakiś związek z Bezdrożami czy wypitym verrotem. Jeśli bloedzuigery łączyło pokrewieństwo z wampirami, być może verrot leczył?

„Czy po śmierci przeistoczę się w to coś?” – pomyślała z nagłym przerażeniem.

Chciała o to zapytać, ale nie miała pewności, do jakiego stopnia stworzenie jest świadome.

Spojrzała na niego i niespodziewanie spostrzegła w jego ślepiach osobliwą, niepokojącą czujność. Przybysz nadal stał nieruchomo, ale bez wątpienia obudził się w nim intelekt. Przypominał drapieźnika rozważającego sytuację i przygotowującego się do ataku.

– Jack! – Chloe uniosła broń. – On się do czegoś szykuje!

Mężczyzna na powrót skierował lufę w dół.

– Nie. Nie szykuje się do niczego. To jego zwierzchnik próbuje się z nami skontaktować, można rzec.

– Mądra kobieta – powiedziało stworzenie. – Godny zastępca martwej członkini waszej watahy, rzekłbym.

„Martwej członkini watahy?”

Chloe zerknęła na Jacka, ale postanowiła na razie o nic nie pytać. Nie miała pojęcia, komu bądź czemu należy ufać, ale bloedzuiger wzbudzał w niej pierwotny lęk. Postanowiła, że później wypyta się o znaczenie dziwnego zdania. Tymczasem skupiła się na obserwacji.

„Najpierw jeden problem, potem drugi”.

– Dlaczego to coś... – Przyglądała się bloedzuigerowi. – Czy on może nam zrobić krzywdę? Czy nami też może zawładnąć?

Bloedzuiger się uśmiechnął. Zważywszy na to, że jego oblicze było powalane krwią, widok grymasu prawdziwie przerażał.

– Nazywam się Garuda. Odpowiedź na twoje pytanie brzmi: nie. Po wypiciu mojej krwi nie zostaniecie opętani.

Jack stanął między dziewczyną i kontrolowanym bloedzuigerem.

– Doceniamy twą pomoc – rzekł.

– W Szubienicy pojawili się mnisi. – Garuda mówił do Jacka, ale nie spuszczał wzroku z Chloe. – Chciałem cię ostrzec i dlatego wysłałem tego nowo narodzonego. Cieszę się, że przydał się również do czegoś innego. Nadchodzi świt i muszę wezwać go do domu.

Jack pokiwał głową i bloedzuiger natychmiast powrócił do wyglądu sprzed chwili. Garuda znikł równie szybko, jak się pojawił, i w towarzystwie dwójki Przybyszów znów stał śliniący się osobnik, o wiele młodszy od swego zwierzchnika. Bloedzuiger przez moment wpatrywał się w Jacka, a potem odwrócił się i umknął. Jego bieg nie miał w sobie gracji – rozpędzony bloedzuiger przypominał raczej szarżującego byka aniżeli gazelę – ale jego prędkość budziła zdumienie.

Po chwili potwór znikł bez śladu i Chloe widziała naokoło siebie jedynie pozornie martwą pustynię. Wiedziała już, że na pewno nie jest to miejsce opustoszałe i bezludne – włóczyły się tam najrozmaitsze bestie, zarówno dwu-, jak i czworonożne. Nie miała pewności, jakie jeszcze tajemnice skrywało to miejsce, ale nie ulegało wątpliwości, że świat, który od tej pory najwidoczniej miała nazywać domem, z godziny na godzinę stawał się coraz dziwniejszy.

– Na pewno masz wiele pytań. Wyjaśnię tyle kwestii, ile zdołam, ale najpierw musimy wszyscy ruszyć do Szubienicy – obiecał Jack.

– To miasto, tak? Z mnichami?

Jack pokiwał głową.

– I tam teraz się kierujemy?

– Tak – odparł mężczyzna.

Błysk stali w jego oczach zdradzał, że nie jest człowiekiem, z którym

warto było zadzierać, a mnichów na pewno nie darzył życzliwością.

– Dobrze – rzekła cicho. – Jedźmy więc do Szubienicy.

Jack zebrał ich ekwipunek z niepokojącą szybkością, ale Chloe nie miała ochoty pozostać ani chwili dłużej na pustyni i nie narzekała. Nie była też przekonana, czy wyprawa do Szubienicy jest lepszym pomysłem. Znalazła się w świecie, który nie robił wrażenia gościnnego.

– Zapewne nie macie w obozie jakiegoś przewodnika po potworach Bezdroży? – spytała pół żartem, pół serio.

Jack przerwał pakowanie.

– Nie, ale szybko się wszystkiego nauczysz, Chloe. Daję słowo. Jeśli chcesz stać się jedną z nas, będę za ciebie odpowiedzialny, a ja dam z siebie wszystko, by zapewnić bezpieczeństwo podopiecznym. Jeśli nie żywisz złych zamiarów wobec mnie czy moich bliskich, będę o ciebie dbał.

– Nie żywię złych zamiarów – powiedziała.

Tego jednego mogła być pewna, ale z drugiej strony nie poznała Jacka na tyle dobrze, by wiedzieć, czy na pewno należała do jego grupy. Nie miała pojęcia, czy ma w ogóle ochotę na życie bez wygod na skraju pustyni. A może istniał jakiś sposób na powrót do domu? Wzrok Jacka przekonał ją jednak, że na pewno nie chce stać się jego wrogiem. Nabrała też pewności, że nie okaże litości wobec tych, którzy nie należeli do jego niewielkiej grupki zabójców.

## Rozdział 17

Gdy Jack powrócił rano i oznajmił, że Chloe znakomicie strzela, Kitty nie wiedziała, czy ma czuć ulgę, czy też przestrah. Nikt nie miał pojęcia, w jaki sposób dobierano nowych Przybyszów, ale zdarzało się, że na Bezdrożach pojawiali się ludzie, którzy zupełnie nie umieli walczyć. Nikt nie miał pojęcia, co z nimi począć, ale zazwyczaj szkolili ich wspólnie. Z drugiej strony ci, którzy walczyć potrafili, często przysparzali kłopotów lub okazywali się kuszącym kąskiem dla Ajaniego, który tym bardziej próbował ich zwabić. Wszelkie umiejętności Chloe okazałyby się użyteczne, ale to, że udało jej się zaimponować Jackowi, nieco Kitty zaniepokoiło.

– W Szubienicy pojawili się mnisi. Zbierajcie się – oznajmił Jack i nie czekając na pytanie siostry, dodał: – Lepiej się napij verrotu, Katherine. Zarówno ty, jak i Edgar. Jeśli nie chcecie, popilnujcie obozu. Zostawiłem wam trochę krwi.

Potem odszedł, wołając Francisa, Hectora i Melody. Chloe chodziła za nim jak wszyscy pozostali. Wszystkie owieczki ślepo ufały pasterzowi. Trzeba było przyznać, że najmłodsza z nich wydawała się nieco bardziej potargana niż wcześniej, ale nadal bez wahania podążała za Jackiem.

Kitty powiodła wzrokiem za bratem i przyszło jej na myśl, by trzepnąć go w głowę. Bez większego kłopotu poradziłaby sobie z mnichami – a nawet z Ajanim – bez picia verrotu. Walczyła u boku Jacka przez dwadzieścia sześć cholernych lat! Wychodziła cało z opresji dzięki umiejętnościom i determinacji. Parę razy zdarzyło się, że zginęła, ale ostatnio przytrafiało się to jej coraz rzadziej.

Mocne dłonie wsparły się na jej ramionach.

– On nie żartuje, Kit.

– Nienawidzę verrotu – odparła i odwróciła się ku Edgarowi. Jak zwykle podczas upałów miał na sobie jedynie koszulę bez rękawów oraz spodnie. Podobał jej się w tym stroju – nie przeszkadzały jej marynarki, ale w luźniejszym ubraniu również wyglądał atrakcyjnie.

– Jeśli chcesz, sam nie ruszę verrotu, póki nie dojdiesz całkiem do siebie – zaproponował Edgar. – Będę mógł zareagować, jeśli przyjdzie ci coś głupiego do głowy. Jackowi zależy, byśmy oboje z nim pojechali, Kit. On wie, co robi.

Kitty w milczeniu odwróciła się od niego i ruszyła w kierunku namiotu Edgara. Odchyliła klapę i wniknęła w ciemne wnętrze. Powitał ją nieco gorzki zapach ulubionego mydła gangstera z Chicago. Bez namysłu nabrała głęboko powietrza. Brzmiało to niemądrze, ale chwila wśród jej własnych rzeczy oraz zapachów kojarzących się z nim koła jej nerwy jak mało co. Zerknęła na stojak, na którym wieszali swe spodnie, by się nie wygniotły, oraz na łóżko ze starannie wygładzonymi kocami. Na widok łóżka znów przepełniła ją znajoma tęsknota. Odwróciła szybko głowę. To było niebezpieczne miejsce.

Podeszła do niewielkiego stołu i dwóch krzeseł przy wejściu. Stały na nim dwa gliniane kubki z verrotem.

– Ty wypij. Ja tu będę bezpieczna. – Kitty podała mu kubek. – Łap.

– Kit... – Edgar odstawił podane jej naczynie. – Nie chce mi się wierzyć, że zostaniesz w obozie i nie udasz się w pościg za mnichami, którzy zabili Mary.

Kitty odeszła dwa kroki od Edgara. Wiedziała, że jeśli nie wypije, Jack pozostawi go wraz z nią. Ich grupa utraci w ten sposób dwóch z trzech najlepszych wojowników.

– Nie umrę, nawet jeśli mnie zabiją – burknęła. – Tobie grozi o wiele większe niebezpieczeństwo.

Przez chwilę Edgar wpatrywał się w nią z lekkim uśmiechem, a potem powiedział to, z czego oboje dobrze zdawali sobie sprawę.

– Jeśli tego nie wypijesz, nigdzie nie pojedę. Jack cię tu nie pozostawi samej, bo wie, że pojedziesz w ślad za nim.

– Mój brat to dureń.

– Może. – Edgar podał jej kubek. – Ale za każdym razem, gdy cię zabiją, stajesz się paskudniejszy od najwredniejszych typów z moich czasów. – Wyciągnął kubek. – Wypij to.

Katherine ujęła naczynie, spojrzała na krew i podjęła decyzję, którą przypuszczalnie należało podjąć wiele lat temu. Wbiła wzrok w obrzydliwy płyn i rzekła:

– Nikomu na świecie nie ufam tak bardzo jak tobie. Ufam ci bardziej niż Jackowi. – Uniosła głowę i ujrzała, że Edgar się w nią wpatruje. – Na mnie verrot działa inaczej. Po wypiciu nie mam tych samych eee... reakcji. – Mężczyzna czekał. Jego wyraz twarzy niczego nie zdradzał, ale dziewczyna wiedziała, że jest zarówno zraniony, jak i rozgniewany. – Gdy wypijam verrot, Garuda zaczyna mi gadać w głowie – ciągnęła. – Zupełnie jakbyśmy byli w tym samym pokoju. Widzi przeze mnie jak przez członków swej

watahy. To właśnie dlatego zawsze po verrocie trzymam się z daleka od wszystkich. Albo udaję, że piłam. – Trzymała kubek w powietrzu. – Jack o niczym nie wie.

– Od jak dawna to trwa?

Kitty nie udawała, że nie rozumie. Nie potrafiła. Nie powiedziała Edgarowi o niczym, bo z początku czuła się zażenowana tym, co się z nią dzieje. Przeszkadzała jej świadomość, że coś jest z nią nie w porządku. Potem nie wracała do tematu, bo wstydziła się, że raz coś zataiła. Wytrzymała spojrzenie mężczyzny i przyznała:

– Od zawsze.

– Okłamałaś mnie.

– Nie, nie sędzę. Ja po prostu nie...

– Skłamałaś! – Edgar zacisnął mocno usta, jakby chciał powstrzymać swe słowa. Kitty nic nie powiedziała, a wtedy spytał: – Od jak dawna cię kocham?

Gdy usłyszała te słowa, jej ciało przeszły dreszcz przyjemności, przez co głos zabrzmiał łagodniej, niż chciała:

– No, jakiś czas.

– Przez pół życia – poprawił ją. – Skoro nie możesz mi zaufać...

– Ależ ufam ci! – Kitty odsunęła się od niego, nie chcąc widzieć jego zranionej miny. Nie lubiła zadawać mu bólu, choć często jej się to zdarzało. Usiadła na skraju łóżka. Dziwnie to brzmiało, ale pobyt w tym namiocie w istocie sprawiał, że czuła się lepiej. Spojrzała na niego. – Nie chcę być inna od reszty. Wystarczy mi to, że znam magię. Melody się mnie boi, a Francis zachowuje się, jakbym dzięki temu była świętą.

– Melody to idiotka. Francis też, jeśli chodzi o ścisłość. – Edgar odsunął krzesło po stronie drugiego kubka z verrotem. Nie miał zamiaru do niej podchodzić. – Czy ja traktuję cię szczególnie ze względu na to? – Pokręciła głową, a wtedy Edgar spytał: – No to dlaczego miałbym teraz to zrobić? – Wyciągnął nogi, złożył ramiona i przyjrzał się jej. – W Ameryce zabijałem i tu też to robię. Umieram i budzę się. Wypiję to coś – wskazał głową kubek z verrotem – bo dzięki temu stanę się lepszym zabójcą. Moi szefowie w Chicago chyba nie zdawali sobie sprawy z tego, że umiem mówić. Wydawali rozkaz, a ja go wypełniałem. – Skupił uwagę na dziewczynie. – Każdy, kto zostaje wciągnięty na Bezdroża, jest taki sam jak ja. Niektórzy zabijali dla pieniędzy, inni dla sprawy lub z jeszcze innych powodów, ale w gruncie rzeczy żaden z nich nie różni się ani ode mnie, ani od ciebie. Ty korzystasz z magii. Hector rzuca małymi nożami. Martwy potwór czy

martwy człowiek, cóż to właściwie za różnica?

Kitty usłyszała głosy na zewnątrz namiotu i uświadomiła sobie, że reszta szykuje się na wyprawę do Szubienicy. Spojrzała na klapę przesłaniającą wejście.

– Ufam ci. Wiem, że już dawno powinnam była wyznać ci prawdę, ale nie zrobiłam tego. Nie zdobyłam się na to. – Odwróciła wzrok i przyznała: – Nadal cię kocham. To, że nie jesteśmy tym, kim kiedyś byliśmy, niczego nie zmienia.

– Wiem – rzekł Edgar. Zaczekał, aż spojrzała na niego, a potem rzekł: – Ale nie udasz się do Szubienicy, jeśli nie wypijesz verrotu.

– Możemy udawać przed Jackiem, że to zrobiłam – zaproponowała dziewczyna. – Na pewno się nie zorientuje.

Edgar nawet nie skomentował jej pomysłu. Zmarszczył brwi i czekał, aż Kitty westchnęła z rezygnacją.

– Nie chcę mówić Jackowi, co verrot ze mną robi – rzekła. Z zażenowaniem przyznawała, że nadal irytuje ją to, że różni się od reszty. – Proszę, nie mów mu.

Edgar otaksował ją wzrokiem i rzekł:

– Utrzymam to w tajemnicy, chyba że któreś z was znajdzie się w niebezpieczeństwie. – Podał jej drugi kubek. – Czy po wypiciu czujesz się silniejsza? – Dziewczyna skinęła głową. – A więc wypij to ze mną, Kit. Obaj z Jackiem będziemy walczyć lepiej, wiedząc, że jesteś silniejsza.

Edgar stał przed nią z kubkiem uniesionym do ust i czekał.

Kitty, milcząco, zrobiła to samo. Oboje wychylili zawartość kubków.

## Rozdział 18

Edgar i Katherine zbliżali się do Jacka. Ten od razu zauważył, że mężczyzna sili się na powolny krok, co oznaczało, że wypił swój przydział oraz nakłonił Kitty, by zrobiła to samo. Cieszył się teraz, iż zawczasu odkrył, że substancja w butelce opróżnionej przez niego i Chloe była potężniejsza. Katherine nienawidziła verrotu tak bardzo, że po wypiciu silniejszego ekstraktu wpadłaby w jeszcze gorszy nastrój.

– Wszystko gra? – spytał.

Edgar pokiwał głową.

Cała szóstka przeszła przez bramę i Katherine wypowiedziała słowa konieczne do zamknięcia obozowiska. Jack nienawidził tych chwil, gdyż każdy czar sprawiał Kitty mnóstwo bólu. Kiedyś dorobią się innej, lepszej bramy, takiej, jaka znajdowała się w innych kryjówkach Przybyszów, ale tymczasem Katherine musiała posługiwać się czarami. Większość stworzeń wiedziała, że lepiej nie przekraczać tego progu, ale Pustynia Szubieniczna roiała się od zbieraczy i padlinożerców, a zatem zamknięcie obozu było konieczne.

Reszta Przybyszów czekała w ciszy. Widać było po nich napięcie, co zdradzało, że im również trudno jest stać nieruchomo po wypiciu verrotu.

Katherine niebawem zakończyła rzucanie zaklęcia i bez słowa ruszyła przez pustynię w kierunku Szubienicy. Pozostali Przybysze udali się za nią. Edgar szedł u jej boku, a Francis, Melody i Hector za nimi, co oznaczało, że Chloe musiała iść obok dowódcy. Na prośbę Jacka bez słowa przyjęli ją w swoje szeregi i jak zwykle gdy ktoś do nich dołączał, opracowali nowy szyk. Mary z reguły szła obok Katherine lub Francis, a Edgar i Jack otwierali bądź zamykali pochód. Kitty od zawsze odczuwała przemożne wrażenie, że to ona musi iść na czele, co załagodzić mogło jedynie sąsiedztwo Mary. Jack zaś zazwyczaj szedł w parze z siostrą, ale tego dnia odkrył, że nie przeszkadza mu towarzystwo Chloe.

– Miejcie broń w pogotowiu – przypomniał reszcie, gdy oddalili się od obozu. – Dziś opadły nas cyny.

– Tak blisko obozu? – spytał Francis.

Melody przykładała absurdalnie dużo uwagi do swego wyglądu – lubiła ubierać się niczym laleczka w spódniczki do kolan i bluzki z długimi



rękawami – ale słysząc pytanie Francisa, parsknęła obraźliwie, zupełnie nie jak na damę przystało, i rzekła:

- Jack napił się verrotu przed nami, Star. Nie był blisko obozu.
- Mówiłem ci już, że mam na imię Francis – burknął mężczyzna.

Coraz częściej irytował się, słysząc osobliwe imię, które nosił w chwili przybycia na Bezdroża, a Jack wcale go o to nie winił. Star to w istocie dziwne imię. Czasami się zastanawiał, jak to możliwe, by dobrze znany mu świat w przyszłości zrodził takie twory jak hippisi Francisa czy prohibicja Edgara. Postanowił, że kiedyś, w bezpieczniejszej chwili, wypyta Chloe o to, jak świat wygląda teraz.

Bezdroża nie zmieniały się tak szybko. Jack nie był pewien, dlaczego wszelkie zmiany następowały tu tak powoli, ale dzięki rozmowom z Garudą nabierał przekonania, iż ma to związek ze średnią długością życia na Bezdrożach. Większość nie ludzi żyła o wiele dłużej od istot ludzkich, a ich społeczności były o wiele liczniejsze.

Marsz do Szubienicy upłynął bez żadnych incydentów, Przybysze nie prowadzili też żadnych istotnych rozmów. Chloe robiła uwagi co do zauważonych cynów, lepianek tubylców i kaktusów, które niekiedy przypominały rodzime gatunki, a czasem były od nich zupełnie różne. Słuchając jej słów, Jack przypomniał sobie, jak piękny i jak obcy wydawał mu się nowy świat przez pierwszych kilka lat po przybyciu. Pozostali członkowie ich grupy znajdowali się pod przemożnym wpływem verrotu i woleli nie prowokować Katherine, przez co luźne uwagi Chloe nie wywołały żadnej rozmowy. Pograżeni w milczeniu Przybysze wędrowali szybkim krokiem przez jałową krainę.

– Cóż, to na pewno nie Kansas – mruknęła Chloe, gdy znaleźli się blisko budynków Szubienicy.

Nieco oszołomiona wysforowała się na czoło grupy. Jack dał gestem znać pozostałym, by jej w tym nie przeszkadzali. Uśmiechnął się, słysząc jej zachwyty. Hector i Melody powtarzali ze zdumieniem te same słowa po swoim przybyciu, co potwierdzało jego przeświadczenie, że Przybysze pochodzili z tego samego miejsca. Za jego życia fotografie były stosunkowo rzadkim zjawiskiem, ale wypierały już dagerotypy. Jack słyszał również, że niektórzy ludzie daleko na wschodzie widywali bardzo realistyczne kolorowe fotografie. Już na Bezdrożach dowiedział się od innych Przybyszów, że technika poszła naprzód, fotografie zaczęły się poruszać, a potem wydawać dźwięki. Filmy tu nie istniały, a nie mógł uwierzyć w to, że w jego dawnym świecie stworzono takie cuda.

Wszyscy przeżywali chwile zachwytu, odkrywając różne części Bezdroży. Chloe przypadło o wiele mniej czasu na dopasowanie się do nowej rzeczywistości. Już piła verrot, została zaatakowana przez cynantropy, spotkała bloedzuigera, a wkrótce miała się dowiedzieć o Ajanim. Jack uznał, że zasłużyła sobie na moment uniesienia na widok pierwszego miasta w nowym świecie.

Szubienica nie była czystym, uporządkowanym miejscem, ale Jack i Katherine darzyli miasteczko sympatią, gdyż przypominało im porzucony świat. Budynki zbudowane były z beżowych i różowawych glinianych cegieł charakterystycznych dla Bezdroży. Tu i ówdzie widać było konstrukcje z drewna bądź drewniane zdobienia, co było symbolem bogactwa, ale sąsiedztwo wielu farm, na których hodowano lindwurmy, sprawiało, że budulec ten był o wiele mniej praktyczny.

– Są tu miejsca, które niewiele się różnią od tych, jakie odwiedzałeś w rodzinnym świecie. – Jack zapewnił Chloe.

– Wątpliwe – parsknęła Melody.

– Przecież ja tam widzę smoka! – mruknęła Chloe, a potem odwróciła się do Jacka i spytała: – Są jakieś potwory, których tu nie macie?

– To lindwurmy. Miejscowi trzymają ich sporo – rzekł Jack. – A co do twego pytania... Tak, istnieje wiele potworów, których tu nie mamy. Lindwurm zaś w istocie przypomina smoka z bajek.

Ktoś za jego plecami wciągnął gwałtownie powietrze.

– Co? – Jack spojrzał przez ramię.

– Z bajek? – spytała Kitty, ledwie kryjąc śmiech.

Mężczyzna skrzywił się, by zamaskować swój wstyd.

– Czytałem ci ich wiele, gdy byłaś mała, Katherine. Tak, mam na myśli bajki.

Jego siostra uniosła ręce, udając, że się poddaje, a on z ulgą zauważył, że próbuje opanować uśmiech. Z trudem utrzymał gniewny grymas twarzy. Nigdy jej nie pokazywał, że widzi, jak gaśnie jej wybuchowy temperament. Skupił ponownie uwagę na Chloe.

– Brakuje nam tu niestety książąt i księżniczek – dodał.

Dziewczyna uśmiechnęła się i rzekła:

– Nie to miałam na myśli, mówiąc „potwory”.

Wzruszył ramionami, ale nie wiedział, co ma rzec. Chciał powiedzieć coś mądrego, chciał usłyszeć jej odpowiedź, chciał poznać jej myśli, ale nie życzył sobie, by wszystko to działo się na oczach innych Przybyszów. Rzadko się zdarzało, by zapragnął posłuchać jakiejś kobiety.

Niespodziewanie zrobiło mu się głupio.

Nim cisza stała się nie do zniesienia, Katherine zaczęła opowiadać o ich niedawnym spotkaniu z lindwurmem. Mówiła tak szybko, że gdyby nie verrot w jego krwi, Jack miałby trudności z nadążeniem. Zastanawiał się, czy jemu również tak trudno było złapać oddech po pierwszym wypiciu tego specyfiku, ale wyraźnie pamiętał, że wszędzie mu się spieszyło. Mimo to miał wrażenie, że Kitty mówi o wiele za szybko. Skupił się na jej słowach, wypatrując pustynnych zagrożeń.

Z całą pewnością nie był tak nieostrożny i trudny do wytrzymania, jak przedstawiła to jego siostra, ale przyzwyczał się już do jej mało pochlebnych opisów. Ku swemu zdumieniu zauważył, że w pewnym momencie w jej głosie pojawiła się duma. Zerknął na Chloe, a ta uśmiechnęła się do niego.

– ...wariat uznał najwyraźniej, że jest w swoich czasach i jedzie na koniu, a nie na lindwurmie – zakończyła Katherine.

– Mogłem ci go zostawić – wtrącił się Jack. – Na pewno sama dałabyś sobie radę.

Kitty zignorowała uwagę, a pozostali zaczęli opowiadać własne historie związane z lindwurmami. Nie mówili jednak tak pospiesznie jak jego siostra, ale być może nie nawykł tak bardzo do ich sposobu mówienia. Chloe słuchała z uwagą, choć przyłapał ją na tym, że co rusz na niego zerka.

Gdy weszli do samego miasta, Jack zatrzymał się na chwilę, by dostroić się do panującego w nim nastroju. Czasami przeskok między naturalnym rytmem pustyni i chaotyczną energią w Szubienicy sprawiał, że nie mógł okiełznać nerwów. Reszta ich zespołu przestała rozmawiać. Pustynia Szubieniczna na pewno nie była bezpieczniejsza od miasta, ale dzięki rozległym połaciom otwartej przestrzeni łatwiej im było zlokalizować zagrożenia, a przynajmniej te, którymi się ostatnio zamartwiali. Na pustyni bez trudu zauważyliby odzianych na szaro mnichów czy podróżującego z ostentacją Ajaniego, a w mieście łatwiej było ich wrogom zlać się z otoczeniem. Co ważniejsze, w mieście łatwiej było im się schować. Labirynt zabudowań oraz zadbana roślinność, która nie przetrwałaby w tym niegościnnym miejscu, gdyby nie wysiłki miejscowych, stwarzały dziesiątki kryjówek dla mnichów bądź ludzi.

Minęli właśnie tanie sklepiki na obrzeżach miasta, gdy z ocienionej sieni sklepu kapelusznika wyskoczył bloeduiger. Nie wyszedł na światło słoneczne, ale zatrzymał się tak blisko, że jego skóra zaczęła skwierczeć.

Zapach gotującego się mięsa był niepokojąco apetyczny. Bloedzuigery przypominały martwe istoty, ale były żywymi, zdrowymi bytami, różniącymi się od ludzi całkowicie odmienną biologią.

Jack zerknął na znamię na przedramieniu, które świadczyło o tym, że istota należała do miejscowej watahy Garudy. Wszedł na ocienioną, drewnianą werandę. Chloe pozostała z Edgarem i Katherine, ale Hector, Melody i Francis udali się w ślad za Jackiem.

– Ajani był w mieście – powiedział im Garuda przez swego podwładnego.  
– Wszedłem w tego członka watahy, by wam o tym powiedzieć, ale wolałbym nie palić tak młodego osobnika. Inni czekają w cieniach, by was strzec.

Jack skinął głową.

– A mnisi?

– Są tu przynajmniej trzech. Nie przybyli wraz z Ajanim, ale nie sądzę, by ich pobyt w mieście był zbiegiem okoliczności. Udałbym się z wami, ale... – bloedzuiger cofnął się w cienie – ...ale coś mi mówi, że nie będziecie chcieli zacząć do zachodu słońca.

– Już i tak dużo dla nas zrobiłeś. – Jack ukłonił się istocie, a potem wrócił do pozostałych, którzy czuwali na ulicy.

– No i? – spytała Katherine.

– Zachowajcie czujność. Są tu zarówno mnisi, jak i Ajani.

– Mnisi? – spytała Chloe.

– Tak. To czciciele demonów. Różnie sobie radzą z bronią, ale doskonale władają magią.

W słowach Kitty nie było słyhać żadnych emocji, jednak wszyscy oprócz Chloe wiedzieli, że ma ochotę rozwalić parę łbów. Nigdy nie przepadała za użytkownikami magii, lecz teraz, gdy ci ponosili winę za śmierć ich towarzyszki, wręcz kipiała nienawiścią.

– Demony, mnisi... A ten Ajani to co takiego?

Chloe patrzyła raz na niego, raz na Katherine.

Jack wiedział, że kiedyś będzie musiał jej to wyjaśnić, ale jeszcze nie był na to gotowy. Naszła go ochota, by odesłać Chloe i Kat do obozu, i gdyby istniał chociaż cień szansy, że siostra go posłucha, zrobiłby to bez wahania.

– Ajani to człowiek. Taki jak my.

– Akurat! – parsknęła Katherine. – W niczym nie przypominamy tego skurwysyna. Żadne z nas.

– Aha. Czyli to ten zły. Kapuję.

Na twarzy Chloe malowały się zaciętość i zdecydowanie. Obie kobiety

miały broń w pogotowiu i Jack uświadomił sobie, że jeśli każe im się ukryć, żadna z nich go nie posłucha. Z trudem godził się z tym, że wiele Przybyszek nie miało najmniejszej ochoty na chowanie się w dramatycznych chwilach. Co gorsza, z chęcią pakowały się w kłopoty. W niczym nie przypominały kobiet, które pamiętał z opuszczonego wiele lat temu świata.

Hector, idąc, podzucał nożem niczym żongler. Melody oraz Francis wydawali się bardziej odprężeni, ale Jack podejrzewał, że oboje wchłonęli w życiu więcej psychotropów niż pozostali członkowie ich grupy razem wzięci. Hector był wirtuozem walki nożem i potrafiłby zapewne walczyć przez sen. Francis słynął z opanowania nawet po wypiciu verrotu, a Melody czerpała niepokojąco dużo radości z zabijania.

– No to zapolujmy – rzekła Chloe.

Jack nie miał serca, by ją poprawić. Chciałby powiedzieć, że to przecież nie jest polowanie i nie przybyli tu wiedzeni żądzą krwi, ale próbował nie kłamać częściej, niż to było konieczne. Chcieli pozabijać mnichów, gdyż ci zamordowali Mary i stanowili zagrożenie. Co do Ajaniego... Cóż, Jack od lat pragnął zatknąć jego głowę na kiju. Próby okazania dobrej woli odsuwały jedynie w czasie to, co nieuniknione, i jeśli to Ajani w istocie stał za śmiercią Mary, cierpliwość Jacka właśnie się wyczerpała. Na pewno istniał jakiś sposób, by go zabić, i należało go jedynie znaleźć.

## Rozdział 19

Szubienica całkowicie rozminęła się z oczekiwaniami Chloe. Podczas wędrówki po pustyni napatrzyła się na kaktusy, które wyglądały mniej lub bardziej znajomo, i miała nadzieję, że miasto okaże się takie samo. Szubienica okazała się jednak wielkim zaskoczeniem. Przysadziste budynki, które wyglądały, jakby ulepiono je z błota, stały obok wyższych i szerszych budowli wykonanych z cegieł. Nie widziała wiele drewna, a metal należał do rzadkości.

Ulice na obrzeżach miasta przypominały ścieżki ubite stopami setek przechodniów, ale bliżej centrum porastała je osobliwa czerwona trawa. Przypominały jej nieco trawy rosnące na obrzeżach bagien z rodzinnego świata. Żdźbła były długie, cienkie i ostro zakończone, a odcień czerwieni przywodził jej na myśl szaty kardynalskie. Tak jaskrawe kolory wyglądałyby dziwnie na pustyni i w zestawieniu z różowawą cegłą wydawały się niemalże krzykliwe. Dzięki warstwom trawy porastającej ulice pył był mniej dokuczliwy, ale zmniejszenie jego ilości na jednym obszarze nie dawało wielkiej ulgi. Ciało Chloe było pokryte warstewką pyłu i z każdym przełknięciem śliny czuła słony smak nieznanych jej minerałów unoszących się w powietrzu.

Jej towarzysze wyglądali, jakby było to dla nich naturalne środowisko. Jack i Kitty mieli na sobie sfatygowane spodnie, wypłowiałe koszule i znoszone marynarki. Hector i Francis nie różnili się od nich wyglądem. Uwagę przyciągali jedynie Edgar, który miał na sobie czarną koszulę i równie czarne spodnie, oraz elegancko ubrana Melody, najbardziej osobliwa członkini ich grupy. Noszony przez nią strój przywodził na myśl pracownika korporacji – kobieta miała na sobie żółtawą sukienkę do kolan i jasnoniebieską bluzeczkę z naszyjnikiem z białych kamieni przypominających perły. Ułożyła włosy w niemalże urzędową fryzurę, a pod oczy nałożyła bladoniebieski cień. Wyglądałaby niemalże słodko i niewinnie, gdyby nie to, że miała przy pasie rewolwer i szła ulicą z obrzynem w dłoni, nucąc wesołą piosenkę. W jej rodzimym świecie Melody byłaby zapewne szefową biura z piekła rodem, a tu próbowała jednocześnie kultywować wzorce wyniesione ze swej epoki i przystosowywać się do osobliwości Bezdroży.

– Mnich. Po lewej. Jest mój! – rzuciła Melody i niemal natychmiast nacisnęła spust. Huk wystrzału okazał się niezwykle głośny wśród cichych ulic.

Chloe spojrzała na wymachującą obrzynem kobietę, a potem na trupa na ulicy. Widziała już zabite cyny, ale to przed chwilą był żywy człowiek. Bała się, że zaraz zaleją ją wspomnienia ostatniego widzianego przez nią trupa, ale odepchnęła tę myśl i skupiła się na chwili obecnej.

– Następnym razem spróbuj nas ostrzec, Melly.

Hector pokręcił głową.

– Widział nas.

Melody wzruszyła ramionami, ale w jej oczach widać było lekkie szaleństwo.

Chloe nie wiedziała, czy należało przypisać to verrotowi, czy może naturalnej reakcji Melody na broń, ale nie miała ochoty o to pytać. Nikt prócz Hectora nie skrytykował jej czynu, choć Francis obrzucił ją czujnym spojrzeniem.

Jeśli mnich miał towarzyszy, nigdzie nie było ich widać. Hector podszedł do trupa i nachylił się nad nim. Spojrzał na Jacka, pokręcił raz głową, dając do zrozumienia, że ten nie żyje, a potem zaczął obszukiwać zwłoki.

Widząc to, Chloe odwróciła spojrzenie. Zastrzelenie przeciwnika szykującego się do ataku miało dla niej sens, ale rabowanie trupów umieściła na liście czynów nie do przyjęcia.

Francis zauważył jej reakcję, podszedł bliżej i szepnął:

– Hector szuka wskazówek. Jack nie uznaje kradzieży.

Chloe uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Wyglądało na to, że Francis roztaczał nad nią szczególną pieczę, i cieszyła się z tego. Nie miała pojęcia, na czym mają polegać jej obowiązki, a reszta grupy zaczęła działać zespołowo, co niewątpliwie brało się z wielu lat wspólnej pracy i walki.

Nie znała ich i nie potrafiła należycie ocenić charakterów, ale instynktownie ufała Kitty i Francisowi. Hector oraz Melody przejmowali ją niepokojem, a o Jacku i Edgarze wciąż nie miała wyrobionego zdania. Sęk w tym, że nawet jeśli im nie ufała, nie miała właściwie wyboru. Przebudziła się przecież w obcym świecie bez niczego oprócz ubrania. Poza umiejętnością strzelania nie miała żadnych talentów, które byłyby tu pożądane. Dyplom z socjologii, doświadczenie na kilku mało intratnych posadach oraz wiedza na temat książek i filmów składały się na CV, które w tym świecie nie wzbudziłoby niczyjego zachwyty. Ba, nie wiedziała nawet, czy na Bezdrożach w ogóle istnieje CV! Jak do tej pory widziała

jedynie bloedzuigery, cynantropy i martwego mnicha, co bynajmniej nie zachęcało do opuszczenia grupy. Trudno byłoby jej uwierzyć, że gdzieś za horyzontem czekają na nią wielkie możliwości.

Hector i Melody rozmawiali cicho przy trupie. Jack, Kitty i Edgar rozglądali się czujnie. Wszyscy robili wrażenie, jakby mieli nerwy na postronkach, czego powodem najprawdopodobniej był zarówno wypity verrot, jak i napięta sytuacja.

Kilku miejscowych ominęło grupę szerokim łukiem, choć żaden z nich nie wydawał się szczególnie przejęty ich pojawieniem się czy krwawiącym trupem.

„Niewykluczone, że w Szubienicy śmierć to powszechne zjawisko – myślała Chloe. – A może Przybysze nie są jedynymi, którzy mają na pieńku z mnichami przywołującymi demony?”

Pocieszało ją natomiast to, z jaką reakcją spotykała się ich grupa. Miejscowi, którzy wyglądali jak ludzie bądź ich przypominali, nie traktowali ich jak łotrów czy morderców. Przybyszka zauważyła też, że niektórzy z nich patrzą w tym samym kierunku. Zerknęła w ślad za nimi i dostrzegła bladoniebieską masę, która unosiła się w pewnej odległości na wysokości oczu.

– Hej, Francis! – Chloe pokazała zjawisko towarzyszowi. – A to co?

Ten spojrział we wskazanym kierunku i krzyknął:

– Urok!

Masa była coraz bliżej, aż Chloe uświadomiła sobie, że to rój drobniutkich, błękitnych owadów. Leciały tak blisko siebie, że tworzyły złudzenie materialnego obiektu. Byłaby zachwycona pięknem zjawiska, gdyby nie to, że kilku ostatnich miejscowych natychmiast umknęło w głąb zabudowań. Huknęły zatraskiwane drzwi i zamykane okiennice.

– Złe wieści? – spytała.

– Dla tubylców – odparł Francis. – Nam raczej nic nie będzie.

Słowo „raczej” nie napawało spokojem, ale reszta grupy nie wydawała się szczególnie przejęta. Kitty zmarszczyła brwi, a Melody uniosła obrzyna, złamała lufę i wsunęła dwa nowe naboje, choć Chloe szczerze wątpiła, czy przydałyby się w walce z owadami.

– Żądła? Gryzą? Co one robią?

– Schowaj się za mnie i ruszamy – polecił jej Francis.

Z wąskiej uliczki między dwoma wysokimi budynkami wytoczył się samotny mężczyzna. Rój runął ku niemu. Przybysze zaczęli się cofać, choć Chloe nie mogła oderwać wzroku od delikatnych owadów, które obsiadły



ofiarę tak szczerze, że wydawała się teraz rozmazaną plamą jasnego błękitu. Zamiast spodziewanego wrzasku Chloe usłyszała jednakże szaleńczy śmiech.

– Szybciej! – Jack złapał ją za rękę i ciągnął w stronę najbliższych drzwi. Załomotał do nich i krzyknął: – Wpuśćcie nas albo nie będzie komu zająć się rojem!

Po chwili drzwi stanęły otworem i Jack wepchnął dziewczynę do niewielkiego sklepu. Omiotła wzrokiem półki i uświadomiła sobie, że znaleźli się w składzie z tkaninami bądź w zakładzie krawieckim. Kitty, Edgar i Hector również weszli do środka. Francis najwyraźniej pozostał na zewnątrz z Melody.

– Zostańcie tu! – rzekł Jack, patrząc na siostrę, a potem na Edgara, który kiwnął na zgodę.

– Ten jest lepszy od twojego!

Kitty podała mu rewolwer z długą lufą, krótszy od obrzyńca, ale dłuższy od jakiegokolwiek pistoletu, który Chloe widziała na Bezdrożach.

– Dzięki!

Jack ujął broń i otworzył drzwi. Kilkanaście skrzydlatych insektów natychmiast wpadło do środka, rozdzieliło się i zaczęło miotać się chaotycznie po wnętrzu, zupełnie jakby oszalały ich kolory tkanin. Wtedy Jack przymknął drzwi, by powstrzymać kolejne przed wdarciem się do środka.

Bardzo wysoka kobieta, która zdaniem Chloe wyglądała na właścicielkę przybytku, oraz czterech innych miejscowych wrzasnęło ze strachu i rozbiegło się po izbie. Trudno było ocenić, czy szukają broni, czy próbują się ukryć.

– Idź! – zawołała Kitty do Jacka. – Damy sobie radę!

Mężczyzna skinął głową i wypadł pospiesznie na zewnątrz, wpuszczając kolejne owady.

Mieszkańcy miasteczka w pośpiechu rozwijali poacie tkaniny, strącając wielkie bele na ziemię. Jedna z kobiet zachowała na tyle przytomności umysłu, by pomóc drugiej. Wspólnie rozwinęły ciężki, wzorzysty materiał i schowały się pod nim. Jakiś przysadzisty mężczyzna roztrącił bele i również wczuł się pod spód.

Hector cisnął nożem w owada siedzącego na stercie jasnoróżowej tkaniny i zabił go. Edgar ruszył na tył sklepu. Rzucił własny nóż Hectorowi, a sam strącił innego owada kolbą strzelby i rozgniół go na ziemi obcasem. Chloe nigdy dotąd nie widziała, by ktoś wykorzystał broń palną w tak osobliwy

sposób.

Kitty i Hector stanęli w przeciwległych kątach pomieszczenia. Oboje mieli wyciągnięte noże. Żadne z nich nie spojrzało na dziewczynę, ale Hector rzekł:

- Nie zabiją cię, ale boli jak cholera.
- I traci się od tego zdrowy rozsądek – dodała Kitty.
- Super.

Chloe rozejrzała się w poszukiwaniu broni i dostrzegła szufelkę, która najprawdopodobniej była wykorzystywana do wyciągania popiołu z wygaszonego kominka. Ujęła ją niczym kij do baseballu. Nie byłaby w stanie trafić owada lufą, ale być może zdoła go zabić łopatką.

– Czemu wszyscy się chowają, jeśli Urok nie jest śmiertelny? – spytała, rozglądając się uważnie.

– Żądliwy Urok dla nas jest śmiertelny – odezwała się jedna z kobiet skrytych pod wzorzystą tkaniną.

– Może też wywołać szaleństwo! – dodała jej towarzyszka.

– Ona nigdy nie widziała Uroku. – Kitty zmierzyła Chloe ostrym spojrzeniem. – Jest nowa na pustyni.

Chloe nie miała pojęcia, dlaczego Katherine nie powiedziała, że jest nowa nie tylko na pustyni, ale w ogóle na Bezdrożach, ale nie miała zamiaru dociekać. Wypatrywała innych owadów. Hector przyszpilił kolejnego. Edgar oraz Kitty również cisnęli nożami. Mężczyzna szybko odzyskał ostrze i odrzucił je partnerce. Chloe już zaczęła mieć wrażenie, że się nikomu na nic nie przyda, gdy któryś z insektów pomknął prosto na Kitty, która w międzyczasie ponownie pozbyła się broni.

– Kit! – Edgar uniósł nóż, ale zawahał się. Gdyby rzucił, mógłby ją trafić.

Chloe zamierzyła się i zderzyła owada łopatką od góry. Ten upadł na ziemię, a wtedy dziewczyna pospiesznie go rozdeptała. Miała wrażenie, że gra w połączenie siatkówki i baseballu.

– Dziękuję! – zawołała Kitty, uwalniając ostrze.

Szybko wypracowali nową formę współpracy. Chloe rozbijała te owady, których inni nie mogli trafić nożami, bo były zbyt blisko chowających się miejscowych bądź samych Przybyszów. W końcu Hector oznajmił:

– Gdzieś jest jeszcze jeden.

– Ty je liczyłeś? – Kitty oparła się o ścianę z nożem w ręku.

Hector podrzucił któreś ze swych ostrzy, jakby była to piłeczka, a nie śmiertelna broń. Złapał je i rzekł:

– Oczywiście.

Uważnie rozglądali się dookoła siebie, ale upłynęło kilka minut i mieszkańcy miasta nieśmiało zaczęli wychodzić z ukrycia. Edgar znów zajął pozycję między Kitty i drzwiami. Chloe podskakiwała nerwowo przed ladą, trzymając szufelkę w gotowości.

Brakującego owada nadal nie było widać.

Jack załomotał do drzwi i Kitty podbiegła, by je otworzyć. Chloe zauważyła, że pośpiesznie otaksował ją wzrokiem. Katherine, choć bez przerwy psioczyła na brata, przyjrzała mu się z troską niczym zmartwiona matka po rozstaniu z dzieckiem. Do jego ciała przylgnęły kawałki rozgniecionych owadów, a kilka puchatych skrzydełek sterczało z jego włosów. Ubranie było powalane od niebieskiej mazi, przypuszczalnie krwi zabitych insektów. Kitty nie wydawała się tym zaniepokojona.

– Francis wykorzystał jedną ze swoich eksperymentalnych substancji – wyjaśnił Jack. – Eksplozja zniszczyła większość roju. Kartacze autorstwa Melody też się bardzo przydały.

– Zabójcze owady i psy mutanty. – Chloe musnęła palcem belę fioletowego materiału, który przypominał jedwab, ale okazał się niebywale mocny. To, co do tej pory widziała, przerastało jej wszelkie oczekiwania. Świat z każdą chwilą okazywał się coraz bardziej niebezpieczny i Chloe zaczynała się bać, że zagrożenia niebawem zaczną ją przerastać. Spojrzała Jackowi w oczy i powiedziała: – Kogo ja wkurzyłam, że mnie tu zesłano?

– Skarbie, wszyscy zadajemy sobie dokładnie to samo pytanie. – Jack skinął głową miejscowym, którzy już wypełzli spod tkaniny.

Kobieta, którą Chloe uznała za właścicielkę, zaczęła się już krzątać po sklepie. Nadal uważnie wypatrywała ostatniego ocalałego członka Żądlistego Uroku, a jedna z jej pracownic czuwała przy niej z koszem na śmieci i pokrywką. Hector opierał się o drzwi i szukał oznak ruchu, a Kitty... Chloe zmarszczyła brwi, bo Kit właśnie robiła zakupy.

Jack zauważył jej spojrzenie i mrugnął do niej.

– Droga pani, wydaje mi się, że moja siostra wybrała dla siebie kilka rzeczy i chcielibyśmy zamówić transport – zwrócił się do właścicielki.

– Do gospody?

– Do naszego obozowiska za Rozdwojonym Językiem – sprecyzował Jack.

– Nie! – Kobieta pokręciła głową. – Wasze zakupy będą tu na was czekać. Będziecie mogli je odebrać, kiedy sobie zażyczycie.

– Cóż, możemy też nie kupić niczego! – zawołała Kitty, nie odwracając spojrzenia od oglądanej czarnej tkaniny.

Nóż Hectora ze świstem przeciął powietrze i przyszpilił ostatniego

ocalałego owada do drewnianego parawanu dla przebierających się.

– Mam go.

Jack podszedł swobodnym krokiem i wyciągnął broń z drewna. Ujął martwego insekta, a nóż odrzucił Hectorowi, który złapał go z ogromną, niewymuszoną swobodą, jakby stanowił przedłużenie jego ręki. Potem uklonił się, otworzył drzwi i wyszedł.

– Weźmiemy to czarne i to niebieskie – rzekł Jack. – Katherine powie pani, ile dokładnie potrzeba, i uzgodnicie szczegóły dostawy. Wydaje nam się, że wypada zostawić u was trochę pieniędzy. Jesteśmy wam wdzięczni za udzielenie schronienia.

Kobieta westchnęła, jakby ustępowała z największą niechęcią, ale jedna z jej pracownic już zbierała tkaninę, a inna zapisała jakieś liczby na kawałku papieru.

– A potrafisz szyć? – szepnął Jack. Wyraz twarzy Chloe zapewne zdradził jej odczucia, gdyż mężczyzna uśmiechnął się raz jeszcze i zaproponował: – Nauczę cię. Wolę dobrego strzelca, który nie radzi sobie z igłą, od krawcowej, która nigdy nie trzymała w ręku broni.

## Rozdział 20

Gdy Ajani dotarł do granic żalosnej, udającej miasto osady, nie wiedział, czy ma odczuwać ulgę, czy też nie. Co prawda lada moment miał opuścić trzęsący się, niewygodny powóz, ale przecież dotarł do Szubienicy! Już dawno sobie obiecał, że z czasem zetrze te prymitywne dziury z powierzchni ziemi, ale na szczęście czas był jedną z tych rzeczy, których miał w nadmiarze. Przebywał na Bezdrożach od trzydziestu lat, a mimo to nie postarzał się ani o dzień. Ściąganie nowych osób było męczące, ostatnimi laty coraz bardziej, jednakże sam proces nie pociągał za sobą żadnych innych konsekwencji poza wyczerpaniem. Nie chorował, nie starzał się i nie ulegał żadnym schorzeniom, które nawiedzały jego rodaków z upływem czasu.

Daniel ruszył przodem, by sprawdzić, czy dom był bezpieczny, gdyż zawsze istniało ryzyko, że któryś z licznych służących został przekupiony i zacznie sprawiać kłopoty. Ajani czekał wraz z resztą na zewnątrz.

Jakiś młody człowiek stał na progu domu.

– Panie Ajani? Proszę pana?

Któryś ze służących otworzył drzwi powozu z nisko opuszczoną głową. Takimi jak on na ogół nie było sensu zawracać sobie głowy. Nie byli tak lojalni jak ludzie, których sam ściągał.

Ajani wysiadł z powozu, a wtedy młody człowiek rzekł:

– Oni są w mieście, sir!

– Ashley? – Ajani spojrzał za siebie. – Proszę przeprowadzić zwiad. Weź ze sobą kilku innych.

Gdy Daniel wyszedł z domu i dał znać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku, Ashley skinęła na dwóch innych i razem zniknęli.

Daniel podszedł bliżej do swego zwierzchnika. Piastował teraz najwyższą rangę w otoczeniu Ajaniego i był jego prawą ręką. Wszyscy sprowadzeni tu ludzie znali zasady. Jeśli któryś z nich otrzymał zadanie, ale nie zdołał go wykonać, musiał długo czekać na kolejną sposobność, by się wykazać. Gdyby naprawdę poważnie zawiódł swojego szefa, utraciłby szansę na wieczne życie.

– Co z braćmi? – spytał Ajani.

– Są w drodze zgodnie z rozkazem – rzekł oczekujący na nich chłopak.

Ajani pozwolił sobie na uśmiech satysfakcji. Znakomicie to wszystko obmyślił. Pstrokata zgraja Jacksona szybko upora się z braćmi i nabierze przeświadczenia, że odniosła zwycięstwo. W takich sytuacjach zawsze łatwo było sobie z nimi poradzić. Bezdroża roiły się od mnichów przyzywających demony i śmierć kilku z nich mogła jednocześnie zmniejszyć liczbę tych ponurych braciszków, jak i uczynić tak zwanych Przybyszów bardziej wrażliwymi na kolejne ciosy.

## Rozdział 21

Godzinę po spotkaniu z Żądlistym Urokiem Kitty, Jack, Edgar i Chloe szli po innej ulicy. Nie natknęli się na mnichów ani na Ajaniego, a Katherine przypuszczała, że drugiej grupie również się nie poszczęściło. Żałowała, że wciąż nie może zaufać Chloe. Gdyby wiedziała, że nowo przybyła jest w stanie wesprzeć Jacka, podzieliliby się na trzy grupy, a nie na dwie. Tymczasem musieli działać w dwóch zespołach. Rosnące napięcie sprawiło, że jej paskudny nastrój stawał się coraz gorszy i zarówno Jack, jak i zapewne Chloe żalowali, że nie znaleźli się w osobnej grupie.

– Może Garuda nas okłamał? – zasugerowała Kitty.

Jack obrzucił ją wiele mówiącym spojrzeniem. Wszyscy mieszkańcy Bezdroży wiedzieli, że bloodziguery zawsze mówią prawdę, gdyż kłamstwo pogwałciłoby ich niedorzecznie drobiazgowy kodeks, ale Katherine niejednokrotnie kłóciła się na ten temat z bratem. Dowodziła, że zasady, a zwłaszcza te, które rządziły zachowaniem, to za mało, by całkiem wykluczyć kłamstwo z życia. Przecież reguły były łamane przez cały czas, a Kitty po prostu nie ufała tym potworom.

– Czasem mam wrażenie, że jesteś gotów uwierzyć Garudzie dosłownie we wszystko – stwierdziła, mając nadzieję, że usłyszą ją zarówno Jack, jak i stary bloodziger. – Wypiłam ten obrzydliwy, znieprawiony verrot tylko dlatego, że ten kościsty sukinsyn powiedział, iż gdzieś tu czai się Ajani.

W jej głowie rozległ się śmiech bloodziguera.

„Powiedziałem Jacksonowi, że bracia mają sojusznika” – rzekł Garuda.

Jego głos zawsze przypominał szelest łupin kukurydzy.

„Co to jest kukurydza?” – zapytał.

Najwidoczniej nie była na tyle skupiona, by skryć swoje osobiste myśli przed bloodzigerem. Z czasem nauczyła się blokować swój umysł na tyle, by Garuda miał spore trudności z grzebaniem jej w głowie, ale mimo to nadal miała wrażenie, że jej zasłony często wymykają się spod kontroli. Gdyby nie musiała wypić verrotu, nie miałyby teraz takich problemów.

„Powinnaś opowiedzieć Jacksonowi o swoich umiejętnościach” – rzekł Garuda.

Kitty pokręciła głową. Spojrzała na Chloe i Jacka, którzy szeptali między sobą. To, co robiła, było tylko jej sprawą, nie zaś Garudy. Nabrała głęboko

powietrza, uspokoiła się i zebrała myśli, a potem zatrzymała się i położyła dłoń na bicepsie Edgara.

– Zaczekaj.

„Nigdy nie powiedziałem o tym Jacksonowi – ciągnął Garuda. – Może i nie masz mnie za osobę honorową, Katherine, ale spełniłem twoją prośbę”.

Edgar obrzucił ją zaciekawionym spojrzeniem, ale zatrzymał się. Jack i Chloe szli teraz kilka kroków przed nimi.

Kitty powoli, starannie wyobraziła sobie Garuda, a potem zaczęła budować w wyobraźni mur składający się z ogromnych głazów ułożonych jeden na drugim. Gdy mur sięgnął jego podbródka, spojrzała na niego. Bloedzuiger uśmiechnął się, a dziewczyna uzmysłowiła sobie, że pozwolił, by go ujrzała. Odepchnęła chęć odwrócenia wzroku i skupiła się na zadaniu. Chciała dźwignąć kolejny wyimaginowany głaz, by zasłonić jego wyszczerzone oblicze i wpatrujące się w nią oczy.

„Stajesz się coraz lepsza, Katherine”.

– Kit? – Edgar otoczył ją ramieniem. – Coś ci się stało?

„Tego głazu nie podniesiesz – sztych z niej Garuda. – Chyba że jesteś kimś jeszcze bardziej wyjątkowym, niż sądziłem”.

– Wal się.

– Co?

Edgar stanął przed dziewczyną, nie puszczając jej talii. Spojrzał jej w oczy w poszukiwaniu odpowiedzi. Kitty syknęła głośno, co nawet dla niej samej zabrzmiało jak odgłos wydawany przez któregoś z potworów.

– Nie mówiłam do ciebie.

„Podoba mi się to, że poczyniłaś takie postępy. – Śmiech zadowolonego z siebie Garuda wypełnił jej umysł. – Mało kto na Bezdrożach jest w stanie zrobić coś takiego”.

„Tylko ja i bloedzuigery” – ni to stwierdziła, ni to spytała.

Starzec nie odpowiedział.

„Garuda? Zablokowałam cię?”.

„Nie”.

Kitty uświadomiła sobie, że Jack i Chloe wpatrują się w nią, a Edgar zaczyna sobie coś uzmysławiać. Nie mogła jednak zakończyć rozmowy z Garuda w tym momencie. Pospiesznie powtórzyła więc poprzednie stwierdzenie, tym razem w formie pytania:

„A więc tylko ja i bloedzuigery?”.

„Skoro tak twierdzisz” – odparł Garuda z ostrożnością, która natychmiast



dała jej do myślenia.

Kitty zmarszczyła brwi. Wymijająca odpowiedź sugerowała, że istnieje przynajmniej jeszcze jedna osoba lub istota podobna do niej, a Garuda nie chciał się z nią tym sekretem podzielić.

– Katherine? – Jack odwrócił się, by spojrzeć na siostrę. – Chciałaś się rozdzielić?

– Myślę, iż powinniśmy trzymać się Jacka, chyba że masz inne zdanie – szepnął Edgar cicho, nie chcąc, by go ktokolwiek usłyszał.

„Twój facet ma rację”.

Edgar nie był jej facetem, mężem ani nikim w tym guście, ale Katherine postanowiła nie poprawiać Garuda, gdyż bloedzuigery nie rozumiały idei partnerstwa. Było to potrzebne jej wyjaśnienie. Gdyby nie ono, musiałyby przyznać, że nie potrafi okłamać bloedzuigera w swojej głowie.

– Nie. – Kitty zatrzymała się. Za dużo rozmów naraz. – Nie, Jack. Tak, Edgar, masz rację.

„Przestań do mnie gadać. Muszę się skupić”.

Wyminęła Edgara i dogoniła Chloe oraz Jacka. Edgar jednakże dotrzymał jej kroku. Obrzuciła spojrzeniem jego oblicze i uświadomiła sobie ponad wszelką wątpliwość, iż nie będzie mogła dłużej taić swego sekretu przed Jackiem. Będzie musiała wyznać mu wszystko szybciej, niż sądziła.

– Przepraszam, Jack. Wydawało mi się, że widziałam...

„Jeden z nowo narodzonych mówi, że dwóch mnichów czai się na drugą grupę – przerwał jej Garuda. – Widzi ich ze swej kryjówki. Fell Road, przy piekarni”.

– ...mnichów.

„Kazałem memu słudze pomóc twoim towarzyszom”.

– Gdzie? – Jack rozejrzał się.

– Fell Road! – Kitty rzuciła się do biegu.

Edgar bez wahania podążył za nią. Katherine zerknęła przez ramię na brata i zrozumiała, że z nim tak łatwo jej nie pójdzie. Spojrzenie Jacka mówiło, że ma do niej kilka pytań. Mimo to obaj mężczyźni wraz z Chloe podążyli za nią.

Wnet dotarli na miejsce. Hector uwikłany był w pojedynek z mnichem, który najwyraźniej był równie dobrym nożownikiem. Obaj krwawili z wielu ran. Dwaj inni trzymali Melody. Jej obrzyn leżał na ziemi, a przytrzymywana przez dwóch napastników nie mogła go sięgnąć. Jej starannie ułożona fryzura rozpadła się podczas walki, a oblicze kobiety wykrzywiła furia. Wykrzykiwała ledwie zrozumiałe polecenia, ale Francis,

trzeci z ich grupy, nie był w stanie ich wypełnić. Jego twarz zalała krew, a opatrunek z oderwanego strzępu koszuli przesłaniał lewe oko. Gdy się odwrócił, Kitty ujrzała, że prawe, nieodsłonięte, również krwawiło.

– Chloe, pomóż Francisowi! – krzyknął Jack. – Jedno z was niech pomoże reszcie!

– Zajmę się Hectorem! – Kitty rzuciła do Edgara.

Rozdzielili się błyskawicznie, jakby rozumieli się bez słów, ale nawet ta krótka chwila mogła okazać się zbyt długa. Ich zatarg z mnichami już doprowadził do jednej permanentnej śmierci, a Kit nie zniosłaby, gdyby umarł kolejny Przybysz.

„To nie bracia są odpowiedzialni za jej śmierć”. Słowa Garudy wystraszyły Kitty. Przez krótką chwilę prawie zapomniała o tym, że bloedzuiger nadal znajduje się w jej głowie, i zupełnie nie pamiętała o tym, by blokować swe myśli. Tym razem jednakże nie pożałowała tego. Między słowami starego bloedzuigera kryły się znaczenia i niewypowiedziane sugestie, które chciała przemyśleć, ale na pewno nie w tej chwili.

„Potem mi to wszystko wyjaśnisz. Nie chcę, żeby mnie zastrzelono przez twoją gadaninę” – oznajmiła, idąc w stronę Hectora. Jednocześnie przyglądała się bacznie oknom i drzwiom w poszukiwaniu potencjalnych przeciwników.

Tym razem Garuda nic nie mówił, za co była mu wdzięczna.

Podobnie jak w przypadku innych zwad w Szubienicy, miejscowi trzymali się z dala. Przybysze byli użytecznymi gośćmi – potrafili rozstrzygnąć spór, pochwycić demona czy wystrzelać mnichów, ale miejscowi nie akceptowali ich, a już na pewno nie pomagali im. Kitty znów poczuła dobrze znaną sobie gorycz, ale zdusiła ją najlepiej, jak umiała.

Mnich walczący z Hectorem umknął na widok Kit, pozostawiając jej nieprzyjemny dylemat. Nie wiedziała, czy pomagać Hectorowi, czy może ścigać mnicha.

– Nic mi nie jest – rzekł nożownik, choć chwiał się lekko na nogach. – Oberwał niemal tak mocno jak ja.

Katherine musiała zaufać jego osądowi. Rozejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś inny nie potrzebuje jej pomocy, i skoczyła w ślad za umykającym mnichem. Ten skręcił za róg. Biegł tak szybko, że szata plątała się mu wokół nóg, ale Kitty była pewna, że zaraz go dopadnie.

Wtedy rozległ się krzyk Melody:

– Jack! Padnij!

Słyszając jej wrzask, Kit wyhamowała ostro, odwróciła się i pognęła ku

Hectorowi, który nadal opierał się o ścianę. Widziała, jak jej brat pada, a klęcząca przy Francisie Chloe unosi broń i ze spokojem wypróżnia cały magazynek w ciało mnicha, który wycelował rewolwer w Jacka.

Mnich padł z szarymi szatami zbryzganymi krwią.

Jack upadł na plecy, ale zamiast rany w piersi miał jedynie zakrwawione ramię. Melody, która klęczała po drugiej stronie Francis, próbowała go powstrzymać, gdyż mężczyzna mimo oślepienia szukał swojej broni.

– Nic mu nie będzie, Francis! – powtarzała Melody. – Nie ruszaj się.

– Mogę strzelać, nawet jeśli nie widzę! – nalegał Francis. – Powiedz mi tylko, gdzie mam celować!

– Nie! – Melody odtrąciła jego dłoń. – Jackowi nic nie jest. Nikomu nic się nie stało, Francis! Zachowuj się!

Chloe dopadła Jacka przed Kitty i rozdarła jego koszulę, by przyjrzeć się ranie. Zrobiła to ze zdecydowaniem, które zarówno Katherine rozdrażniło, jak i uspokoiło.

– Przeszła na wylot – powiedziała do niej Chloe.

– Dość tego! – rzekł Jack, podpierając się zdrowym ramieniem, by dźwignąć się na nogi. Obrzucił siostrę gniewnym spojrzeniem i parsknął: – Niech cię szlag, Katherine. Skoro już tu jesteś, mogłabyś przynajmniej pomóc mi wstać!

Kitty nie przejęła się jego opryskliwością. Kucnęła, otoczyła jego barki ramieniem i po chwili już stali.

„Żyje. Nie zginął! Jest tylko trochę ranny! – powtarzała sobie w myślach. – Nic mu się nie stało”.

Widziała już, że Chloe się nie pomyliła. Rana nie była poważna, a dzięki leczniczym właściwościom verrotu Jack niedługo miał być zdrow jak ryba. Bez wątpienia bolało go jak jasna cholera, ale od samego bólu nikt jeszcze nie umarł.

– Gdzie Edgar? – spytał Jack.

Katherine znów przeszył ten sam lęk, który poczuła, słysząc wrzask Melody, ale w tej samej chwili ujrzała idącego ku nim Edgara. Omiotła go spojrzeniem od góry do dołu, a gdy popatrzyła mu w oczy, uświadomiła sobie, że on robi to samo. Odetchnęła z ulgą.

– Załatwiliśmy wszystkich – rzekł Edgar. – Dorwałem tego, który uciekał przed Kit.

– Nie widzę na żadne oko! – parsknął Francis z nietypową dla niego złością. – Czy ktoś może mi łaskawie powiedzieć, co się dzieje?

Kitty oderwała wzrok od Edgara z o wiele większym trudem, niżby

chciała.

– Wszystko gra, Francis. Jack otrzymał niegroźny postrzał, a Hectora trochę pochlastali.

– A mi się nie udało nikogo zabić – poskarżyła się Melody.

– Przykro mi, Melly. – Hector przykuszykał do nich. – Ale przecież zastrzeliłaś mnicha na samym początku!

– Racja! – Podskoczyła Melody. – Kto ma ochotę na drinka?

Chloe zmarszczyła brwi.

– Jack został postrzelony, Francis ośleplł, a ty chcesz...

– Nie mam zamiaru wlec się teraz przez pustynię, Jack – przerwała jej Melody, wymownie odwracając się od nowo przybyłej. – Wyrwaliście mnie z łóżka o świcie i kazaliście maszerować w upale, a potem musiałam się zmagać z Urokiem i z mnichami. Idę do knajpy i basta.

Maska słodyczy, którą Melody usiłowała nosić na co dzień, znikła bez śladu i Kitty raz jeszcze przypomniała sobie, dlaczego nie ma zamiaru dzielić kwatery z nućącą kobietą. Melody była podła i niezrównowazona.

Melly obrzuciła wyzywającym, gniewnym spojrzeniem wszystkich z wyjątkiem Edgara. Miała się na baczności, gdyż podczas ostatniego spięcia Edgar stracił cierpliwość. Jack wymusił na nim obietnicę, że ten nie sięgnie więcej po broń, ale Melody o niczym nie wiedziała.

Hector zarzucił jej rękę na barki.

– Mnisi zostali wybici. Mała przerwa nam nie zaszkodzi.

„Nowo narodzeni będą mieć nad wami pieczę – rzekł Garuda. – Powiedz to Jacksonowi, a na pewno poczuje ulgę”.

– Niech idą. – Kitty szepnęła do brata. – Hector będzie miał na nią oko. Dołączymy do nich za chwilę. – W ułamku sekundy podjęła decyzję, której unikała od lat. Być może była to głupota z jej strony, ale na widok krwawiącego brata, nawet z tak drobnej rany, była gotowa zrobić wszystko, by tylko ulżyć jego rozterkom. – Garuda mówi, że jego nowo narodzeni będą nad nami czuwać – szepnęła do niego. – On... eee... da znać, jeśli jacyś mnisi...

„Albo Ajani” – wtrącił Garuda.

– ...jeśli mnisi albo Ajani pojawią się w pobliżu – dokończyła.

Jack odwrócił głowę i wbił w nią wzrok. Zniosła go bez trudu. Oboje milczeli, ale Kitty wiedziała, że kolejny ruch należy do jej brata.

– No i jak będzie? – ponaglił go Hector.

– Idźcie do Wąwozu. Zaraz do was dołączymy – rzekł Jack, a potem spojrział na Chloe i dodał zwięźle: – Idź z nimi. Zaopiekuj się Francisem. –

Gdy wszyscy odeszli, odsunął się od siostry i rzekł: – No dobra. A tak dokładnie, to jak ci Garuda o tym opowiedział?

## Rozdział 22

Jack przyglądał się swej młodszej siostrze, która zastanawiała się, ile może mu powiedzieć. Zastanawiała się z tą samą miną, którą ujrzał dawno temu, gdy ukradła słodycze schowane dla niej na prezent urodzinowy. Wiedział, że rozważa, ile może mu wyznać, i próbuje ocenić, jak bardzo się wścieknie.

Czekał najcierpliwiej jak umiał, spoglądając na miejscowych, którzy zerkali z okien na krew wsiąkającą w piasek ulicy. Ból w ramieniu szybko słabł. Dzięki verrotowi wypitemu do spółki z Chloe miał o wiele więcej cech bloodzuięgerów niż kiedykolwiek wcześniej. Nigdy dotąd jego ciało nie regenerowało się w ten sposób. Zdarzało się, że obrażenia goiły się szybko, zazwyczaj Garuda mógł też łatwiej go odnaleźć, ale po wypiciu tego verrotu rany zasklepiały się z ogromną prędkością.

Katherine w końcu westchnęła, przełknęła ślinę i rzekła nieco drżącym głosem:

– Mogę z nim rozmawiać w myślach.

– Co takiego? – Jack zamarł. Istniało tylko kilka logicznych wyjaśnień: Kitty oszalała, wykształciła nową umiejętność lub okłamała go. – No to zapytaj Garuda, ilu bloodzuięgerów było... – zaczął ostrożnie.

– Dwóch – przerwała mu. – On mówi, że to głupie pytanie, bo liczba butelek verrotu przyniesionych do obozu sama podsuwa odpowiedź. Mądrzej byłoby zapytać, do czego doszło, zanim napiłeś się od nowo narodzonego. – Katherine się skrzywiła. – Garuda najwidoczniej nie jest pewien, czy mi o tym akurat opowiesz. Obawia się, że może to wywołać inne pytania na temat „picia ze źródła”.

– Rozumiem – bąknął Jack.

W istocie rozumiał już wszystko. Doszedł do wniosku, że jego siostra skrywała przed nim sekret, a Garuda coś planował.

Jack uważał Garuda za przyjaciela, ale wiedział również, że ten coś knuje. Nie bez powodu bloodzuięger wspominał o czymś, co sugerowało, że Jack także kryje coś przed innymi. Być może po prostu dawał do zrozumienia, że zarówno brat, jak i siostra taili coś przed sobą.

– Piłeś krew tego kościstego drania? – Katherine dźgnęła Jacka palcem w pierś. Ten się cofnął i naraz uświadomił sobie, że rana postrzałowa była niemal zagojona. Nim mógł odpowiedzieć, Kitty parsknęła: – Cóż, ale ty

jesteś kościstym draniem i mało obchodzi mnie to, że uraziłam twą godność.

– Katherine, zaczekaj...

– Napiliśmy się od bloedzuigera tuż po tym, jak ten napił się od Garudy? Nic dziwnego, że aż cię nosi! Idiota!

Cofnęła się od niego, a Jack spojrział na Edgara w nadziei, że ten przyjdzie mu z pomocą.

– Kit? – odezwał się rewolwerowiec.

Katherine odwróciła się. Spokojny głos Edgara powstrzymał w niej ochotę do kolejnego wybuchu.

– Chcecie się kłócić, to proszę bardzo, ale ruszmy do Wąwozu. Powinniśmy wynająć kilka pokojów na noc. Francis i Hector pewnie będą musieli odpocząć, a mnisi nie żyją. My dwaj możemy pełnić wartę.

– Wiem, co knujesz! – Katherine założyła ramiona na piersi i wbiła wzrok w Edgara.

Na całych Bezdrożach nie było człowieka, który lepiej potrafił stawić czoła wściekłej Kitty od spokojnego, zrównoważonego gangstera, który kochał ją od wielu lat. Edgar uśmiechnął się do niej.

– Oczywiście, że wiesz. Jeśli zechcesz, Jack będzie stał na warcie, a my możemy napić się czegoś i nacieszyć własnym towarzystwem. – Katherine zmrużyła oczy i otworzyła usta, by wszcząć kłótnię, ale Edgar ją wyprzedził:

– Właśnie urządzamy niezłe przedstawienie dla miejscowych – szepnęła. – O to ci chodziło?

Całe napięcie opuściło ją w jednej chwili. Podeszła do nich bliżej, wygładziła suknię i rzekła:

– Ale nadal się gniewam.

– Bo zataiłem sekret, Katherine? – Jack spojrział jej w oczy. – Taki jak ten, że Garuda może ucinąć sobie pogawędki z tobą, jakbyś była...

Urwał w pół zdania, gdy uzmysłowił sobie, co chce powiedzieć. Była to zła rzecz.

Tym razem Katherine nie eksplodowała gniewem. Wpatrywała się w niego, a jej oczy wyglądały na podejrzenie zażawione.

– Jakbym była bloedzuigerem – dokończyła za niego.

Odwróciła się i ruszyła w stronę Wąwozu. Edgar obrzucił Jacka niebezpiecznym, ostrzegawczym spojrzeniem. Również pił verrot i choć znosił jego oddziaływanie lepiej od wielu ludzi, tego dnia mógł łatwo stracić panowanie nad sobą.

– Wiedziałaś o tym? – spytał Jack.

– Dowiedziałem się dziś – rzekł Edgar. – Wiesz, że Kit nie chce być inna

niż my. Bardzo przejmuję się tymi magicznymi sprawami.

Ruszył, chcąc nadążyć za Katherine.

Jack powlókł się za nimi. Kitty potrzebowała chwili, by dojść do siebie, a jej brat musiał przemyśleć sobie rzeczywistość, w której jego siostra wraz z Garuda od lat taili przed nim sekret. Nic dziwnego, że żywiła takie obiekcje wobec verrotu i zawsze trzymała się na uboczu po wypiciu.

– Garuda! – zawołał w myślach i natychmiast poczuł się jak idiota.

Gdyby Garuda umiał porozumiewać się z nim telepatycznie, już dawno by to zrobił.

Od Wąwozu dzieliło ich niecałe pół mili. Po drodze Jack usiłował zrozumieć, dlaczego siostra tak bardzo przejmowała się umiejętnością, która mogła okazać się dla nich wielką korzyścią. Nie miał pojęcia, z jakiego powodu bloedzuiger był w stanie rozmawiać właśnie z Katherine, ale zapewne miało to związek z jej magią. Czary Kitty pomagały im niemalże równie często jak zamiłowanie Francisa do medycyny czy swoboda, z jaką Hector władał nożami. Katherine była szczególna, ale zamiast czuć z tego powodu dumę, nienawidziła swej odmienności. Jack zupełnie tego nie rozumiał.

Tuż przed gospodą Jack uznał, że jego rozważania nie mają właściwie znaczenia. To, czy on rozumiał rozterki siostry, nie było istotne. Liczyło się tylko to, co powiedziała Kitty.

– Jesteś lepsza od większości z nas – powiedział jej cicho, choć wiedział, że Edgar i tak wszystko usłyszy. – Szkoda, że tak długo ukrywałaś ten dar, ale mimo to wiem, że z całej naszej grupy to właśnie tobie powierzyłbym obowiązek kontynuowania naszej misji.

Katherine obrzuciła go czujnym spojrzeniem, jakby była przekonana, że ją oszukuje.

– A więc Garuda może mnie usłyszeć? – ciągnął cicho Jack. – I może ci przekazywać informacje?

– Mam wrażenie, że stoi tuż przy mnie – przyznała dziewczyna. – Obrzydliwe uczucie.

Jack pokręcił głową.

– Mogłaś mi o wszystkim powiedzieć, Katherine. Mogliśmy... Rany, nie wiem, ale nie mogę pogodzić się z tym, że ukryłaś to przede mną. Nie wiesz, że możesz na mnie polegać?

– Zbyt wielu ludzi polega na tobie... O, Garuda przypomina mi, że verrot wciąż czyni mnie szybszą i silniejszą. Mówi, że reaguję zupełnie tak jak bloedzuiger. – Urwała. – Uważa, że z tego powodu mogę pić prosto ze



źródła. Od lat chodzi mu to po głowie. Mówi też, że to z tego powodu wówczas cię zabił. – Zmarszczyła brwi, a gdy odezwała się ponownie, jej głos tchnął chłodem. – Zabił cię?

– Nie wiem, czy nosił się z takim zamiarem – przyznał Jack. – On...

– Nie – przerwała mu Katherine. – Chce, żebym ci przekazała, że nigdy nie skrzywdziłby cię celowo. Chyba nie chciał cię zabić i cieszy się, że doszedłeś do siebie.

Obrzuciła brata ostrym spojrzeniem.

– Tamtego dnia... – zawahał się Jack. – Wtedy rzeczywiście napiłem się od Garudy. Nie było tego dużo, ale zabiło mnie.

– Zauważyłabym, gdybyś znikł na sześć dni, Jack.

Mężczyzna ujął siostrę za rękę i zatrzymał ją na chwilę.

– Przebudziłem się po paru godzinach.

Katherine nie odpowiedziała i Jack złapał się na tym, że spogląda na Edgara. Nie chodziło mu bynajmniej o to, że nie ufał Edgarowi, ale nie lubił dzielić się tajemnicami, których miał powód strzec. Już dawno nauczył się, że Przybysze nawet nieświadomie trzymali się starych przesądów.

Ogromny gangster nie zawahał się ani chwili. Wzruszył ramionami i rzekł:

– Bezdroża to pojebane miejsce i dzieją się tu dziwne rzeczy. Ufam tylko waszej dwójce i mało mnie obchodzi, co jeszcze skrywacie.

Naraz Jack uświadomił sobie, że Garuda słucha całej ich rozmowy, i zrozumiał, dlaczego verrot tak bardzo unieszczęśliwiał Kitty. Uważał Garudę za przyjaciela, ale chyba nie miał ochoty, by jakiś bloedzuiger zamieszkał w jego głowie, patrzył na każdy gest i słyszał wszystko to co on.

– Garuda, musimy to omówić – rzekł, patrząc Katherine w oczy, jakby intensywne spojrzenie wystarczyło, by odnaleźć wzrok bloedzuigera przyglądającego się mu z kryjówki.

Kitty otworzyła usta, ale wyprzedził ich Edgar.

– Ajani – rzekł.

Katherine i Jack odwrócili się. Jego samego jeszcze nie widzieli, ale dostrzegli ochroniarzy. W ich gronie znalazła się Ashley, która skinęła im głową, idąc w jakimś nieznanym kierunku.

Garuda miał więc rację. Ajani przebywał w mieście i najwyraźniej przewidział ich przyjazd. Cóż, lepiej było spotykać się z nimi wśród ludzi niż gdzieś na pustkowiu. Jack pokładał ogromną wiarę w Przybyszów, ale z uwagi na fakt, że ludzie Ajaniego nigdy nie umierali, starcia z nimi miały bardzo napięty charakter. Melody bez wahania sięgała po broń, nawet gdy

nie było ku temu potrzeby, a jeśli chodziło o ludzi Ajaniego, zawsze strzelała jako pierwsza i nigdy nie zadawała pytań. Katherine czuła się w towarzystwie Ajaniego bardzo nieswojo, przez co Edgar niespodziewanie stawał się zaborczy, co mu się rzadko zdarzało. Jack i Hector byli więc jedynymi spośród Przybyszów, którzy nadal kierowali się rozsądkiem, z tym wyjątkiem, że Hector wolał walkę od rozmowy, a Jack od lat marzył tylko o tym, by zabić Ajaniego. Gdyby to było możliwe, Jack już dawno by tego dokonał, ale ten najwyraźniej był obdarzony nieśmiertelnością.

„Dobrze więc, że mamy świadków”.

Gdy ich starciu przyglądali się miejscowi, Jack zawsze próbował lepiej nad sobą panować, a na razie był to najlepszy plan, jaki przyszedł mu do głowy.

## Rozdział 23

Gdy usadowili się w knajpie, Chloe uspokoiła się nieco, jakby verrot z substancji nakazującej biec/walczyć/badać/rznać się przeistoczył się w pomrukujący cicho rezerwuar energii. Miała wrażenie, że rozżukane piekło skurczyło się do rozmiarów niewielkiego ogniska. Mogła je teraz na nowo rozniecić lub pozwolić, by płonęło równomiernie.

W knajpie poczuła się niespodziewanie jak w domu. W jej rodzinnym świecie wszystkie bary były w gruncie rzeczy do siebie podobne i szybko przekonała się, że tu wcale nie jest inaczej. Półmrok, sfatygowane stoły i podejrzliwe spojrzenia nie były dla niej niczym obcym, nawet jeśli zupełnie nie rozpoznawała przyglądających się jej ludzi czy istot. Kelnerka, która przyciągnęła spojrzenia pełne aprobaty w każdym ze światów, przyniosła im kilka minut temu wodę oraz jakiegoś owalnego kaktusa i Chloe przyglądała mu się nieufnie, nie wiedząc, jak się do niego dobrać, nie kalecząc się przy tym.

– Patrz – rzekł Hector i wyciągnął skądś ostrze, które wydawało się stosunkowo czyste. Nie nadawało się do rzucania i przypominało bardziej nóż kuchenny. Przybysz wykonał dwa cięcia na krzyż i podważył skórę, odsłaniając mięsz, który następnie wskazał ostrzem.

– Widzisz? To jadalna część. Powiedz Jackowi, że potrzebujesz noża do cięcia.

– Dzięki – rzekła Chloe, ujęła kawałek i zjadła, mając nadzieję, że zyska trochę czasu.

Nie chciała bowiem spoglądać na Melody, która przyglądała się tej scenie. Wiecznie uśmiechnięta kobieta nie spuszczała jej z oczu od chwili, gdy zasiedli w knajpie.

Gdy Chloe wreszcie uniosła głowę i spojrzała na Melody, ta zapytała:

– Co robiłaś w swoim świecie? Ja byłam żoną i sekretarką.

– Nie jestem mężatką – przyznała Chloe.

Nie miała zamiaru dzielić się innymi rzeczami. Nie miała również ochoty na konflikt z przerzuconą do obcego świata, rozkochaną w broni, złowrogą eksgospodynią domową. Zmusiła się do przyjaznego uśmiechu.

Melody odpowiedziała tym samym, ale nie przestawała stukać perfekcyjnie wymodelowanymi paznokciami o blat stołu. Nadal przyglądała

się Chloe. Hector wyciął kawałek kaktusa dla siebie i dla Francisca, który nadal zasłaniał oko zakrwawioną szmatką. Obaj mężczyźni pozostawiali im swobodę, a Chloe bynajmniej ich o to nie winiła. Konfrontacja z osobami takimi jak Melody nie należała do przyjemności. Może i wyglądała na zwykłą, choć nadmiernie zadbaną kobietę, ale każdy człowiek prędzej czy później domyśliłby się, że jej wypiełgowana uroda kryje szaleństwo.

Hector i Francis rozmawiali teraz o noclegu. Chloe usłyszała jedynie strzępy rozmowy i wywnioskowała z nich, że to Jack zadecyduje, czy powinni tu zostać, czy wracać do obozu. Francis nie miał ochoty zatrzymywać się w Szubienicy. Znała już porządek panujący w grupie – na czele stał Jack, pod nim znajdowali się Kitty oraz Edgar, którzy pełnili funkcję zastępców, a potem reszta. Może Melody próbowała ustalić, jaką pozycję zajmie Chloe?

– Zastrzelenie mnicha przyszło ci bez trudu – rzekła Melly konwersacyjnym tonem.

Chloe pokiwała głową.

– Tobie też. Inny mnich, ale ta sama łatwość, z tego, co widziałam.

Hector i Francis przestali rozmawiać. Melody stuknęła palcami coraz szybciej.

– Nie jesteś nowicjuszka – rzekła i zamilkła na moment. Przestała również postukiwać paznokciami, by podkreślić wagę chwili. – Mam na myśli strzelanie.

– Lubię broń – odparła Chloe, wzruszając ramionami.

Napięcie narastało i dziewczyna zapytała się w myślach, czy mężczyźni zainterweniują, jeśli ta wariatka ją zaatakuje. Nawet bez ich pomocy była przeświadczona, że da sobie radę. Chyba.

Melody najwyraźniej łączyła w sobie zamiłowanie do przemocy z beztroską radością, czego Chloe nie pojmowała. Sama czuła w sobie przyjemny nadmiar energii. Nie była pewna sukcesu, ale też go nie wykluczała. Nigdy dotąd nie ulegała łotrom usiłującym siłą narzucić innym własne zdanie, i nie miała zamiaru złamać tej zasady, nawet jeśli chodziło o zwykłą odpowiedź, której nie chciała udzielić.

– Jesteśmy zabójcami, Chloe. – Paznokcie Melody tłukły o blat pospiesznie niczym małe pistolety. – Ty też byłaś zabójcą, nim tu trafiłaś.

– Jack też tak twierdzi – odrzekła swobodnie Chloe, rozpierając się wygodnie na krześle.

Melody obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

– Ilu ludzi zabiłaś?

– Melly. – Hector wbił nóż w stół. – Nie wszczynaj burd.

– Ja tu prowadzę rozmowę. – Melody nawet nie drgnęła. – No, pochwal się, a wtedy ja powiem ci wszystko o sobie. Co ty na to, Chloe?

– Dzięki, innym razem – odparła Chloe swobodnie. Nie miała w zwyczaju o tym rozmawiać. Nie, nigdy o tym nie mówiła. Nie miała w związku z tym najmniejszego zamiaru grać w „Kto ma większego fiuta” z nabuzowaną gospodynią domową. – Jestem raczej zwykłą, nowoczesną kobietą z czystą kartą, wiesz?

– Nie wydaje mi się – odparła Melody.

Nim doszło do konfrontacji, do knajpy weszli Jack, Edgar oraz Kitty. Kiedy ich zobaczyła, Chloe rozluźniła się nieco. Zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, że zaczęła się nieco niepokoić. Na widok uzbrojonego po zęby rodzeństwa od razu poczuła się bezpieczniej. Francis również wydawał się przyzwoitym facetem, ale był niemalże ślepy. Melody była zdrowo pieprzona, a co do Hectora nie miała jeszcze zdania.

– Ajani będzie tu lada moment – oznajmiła Kitty. – Widzieliśmy kilku jego chłoptasiów.

– Zabierzcie Francisa do któregoś z pokoiów – zlecił Jack.

– Nie mamy żadnych pokoiów – rzekł Francis.

– To je zarezerwujcie. – Jack rozejrzał się po knajpie i spojrzał na siedzących. – Wy zostańcie w środku.

Melody skinęła głową, Francis wzruszył ramionami, a Hector wstał i zawołał kelnerkę, która przyniosła im kaktusa. Edgar wyciągnął broń i spojrzał na Kitty, która jedynie mruknęła:

– Znasz odpowiedź, a więc daruj sobie to pytanie. Jestem z tobą.

Jack stał i wpatrywał się w Chloe, a dziewczyna usiłowała się nie widać pod jego spojrzeniem. Wydawało jej się, że nie zrobiła niczego złego, ale mimo to mężczyzna przyglądał się jej w milczeniu. W końcu rzekł:

– Powinnaś... Powinnaś wyjść z nami.

– W porządku.

Chloe nie miała pojęcia, co się działo, ale domyślała się, że będzie musiała wesprzeć ludzi, którzy ją przygarnęli, tym bardziej że trzech spośród nich miało zostać w knajpie. Ze swobodą, która kilka dni temu w jej rodzimym świecie byłaby nie do pomyślenia, odsunęła materiał spódnicy i wyciągnęła broń z kabury przytroczonej do uda.

– Na razie nie będziesz tego potrzebować – rzekł cicho Jack. – On chce jedynie porozmawiać... A właściwie to cię okłamać.

Chloe spojrzała wymownie na Edgara, który wydawał się poruszony,

i uniosła brwi.

– On chce ochronić moją siostrę – rzekł Jack.

Kilku bywalców przybytku przysunęło się do okien, ale była to jedyna reakcja z ich strony. Kitty pochyliła głowę i wyszeptała kilka słów. Hector wrócił i pomagał teraz Melody prowadzić Francisa ku schodom wiodącym na piętro gospody. Niedawno odniósł rany, a mimo to obrzucił resztę grupy tęsknym spojrzeniem.

– Jeśli dojdzie do strzelaniny, wychodzę!

Melody przygładziła włosy.

– Ja zaś będę celować z okna, nawet jeśli do strzelaniny nie dojdzie.

– Bo nie dojdzie – powiedział im Jack. – Idźcie już.

Poprowadził resztę ich niewielkiej grupy na zewnątrz. Zatrzymali się na małym, usypanym z kamieni podjeździe przed gospodą, osłoniętym daszkiem z wyschniętych kaktusów i stwardniałej gliny chroniącym przed żywiołami. Na ulicy przed nimi stał bogato zdobiony pojazd, w którym zasiadał jakiś człowiek. Chloe nie widziała go w całości, ale to, co zdołała ujrzeć, przywodziło na myśl historyczne filmy kostiumowe. W rodzimym świecie uznałaby, że ubiera się w strój z innej epoki. Tu jednakże nie miała pewności, czy po prostu nie pochodzi z innej części Bezdroży.

Powóz był, oprócz stroju, doskonałym dowodem na bogactwo i arogancję Ajaniego. Nie miał bowiem kół czy dyszla, ale jedynie długie drągi, trzymane przez służących tragarzy. Chloe nie byłaby w stanie wyobrazić sobie, że jest noszona w takiej zamkniętej lektyce, ale może dla miejscowych to normalna rzecz? Było nie było, przebywała na Bezdrożach raptem chwilę i widziała jedynie nieco pustyni i fragment Szubienicy, miasteczka funkcjonującego na skraju dziczy. Może ta osada nie była typowa? Może gdzieś istniały bardziej cywilizowane miasta?

Ajani odsunął białą firankę i przyglądał się im bez skrępowania. Miał jasnobrązowe włosy, niebieskie oczy i zwykłą, ale dość przystojną twarz. Nosił dobrze skrojoną, błękitną koszulę z jakiegoś niezwykle lekkiego materiału. Jej guziki najwyraźniej wykonano z szarych kamyków. Strój nie przyciągał zbytnio uwagi, ale z tego, co widziała, mogła łatwo wywnioskować, że Ajani opływał w dostatki.

Jego służący mieli nieco dziki wygląd, zupełnie jakby byli przestępcami, którzy udawali, że wcale nie są aż tak niebezpieczni. Było ich około dwunastu, większość płci męskiej, odzianych w szare spodnie i marynarki będące czymś pośrednim między liberią a mundurem. Starannie skrojone stroje bynajmniej nie maskowały ich usposobienia i przyglądająca się

obstawie lektyki Chloe zastanawiała się, czy dojdzie do kolejnego spięcia.

„Jeśli tak wygląda każdy dzień na Bezdrożach, szybko się wykończę”.

Ajani skinął na swą obstawę.

Jeden ze służących otworzył drzwi, a wówczas bogacz zstąpił na piasek ulicy.

– Jackson – przywitał się skinieniem głowy, a potem ukłonił się Katherine. – Dzień dobry, panno Reed. – Potem spojrzął na Edgara, lecz już się nie ukłonił ani nawet nie skinął głową. – Cordova.

Chloe naraz uświadomiła sobie, że nie zna choćby nazwisk tych ludzi. Walczyła u ich boku, zabijała wraz z nimi, a знаła jedynie ich imiona. Wtedy jej uwagę znów przyciągnął Ajani, mówiąc:

– Chyba nas nie przedstawiono.

Kitty parsknęła obraźliwie. Chloe spojrzała na nią i dostrzegła, że siostra Jacka wywraca oczami i wskazuje Ajaniego ruchem podbródka. Napięcie nieco osłabło. Wzgarda Katherine sprawiła, że stojący przed nią mężczyzna przestał się wydawać takim potworem, jakiego Chloe się spodziewała. Wbiła w niego wzrok i czekała, nie mówiąc ani słowa.

Ajani milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Jak cię nazywają?

– A kto pyta?

Przez jego twarz przemknęło rozbawienie, po czym ukłonił się w pas.

– Jestem Ajani, panno...

– Chloe.

– Miło mi, że pozwala mi pani mówić do siebie po imieniu.

Przez chwilę poczuła się oszukana. W rodzinnym świecie pilnie strzegła swego nazwiska, a nie imienia. Istniało przecież wiele dziewczyn o imieniu Chloe, ale mało która nazywała się Mattison. Ukrywała więc nazwisko przed obcymi, by ci nie szukali jej adresu, numeru telefonu, e-maila czy innych rzeczy. Internet był pełen spraw, o których nie zamierzała rozmawiać, ale przecież trudno było odnaleźć i przeświecić zwykłą, niczym niewyróżniającą się Chloe. Wzruszyła ramionami, nie chcąc odpowiadać na pytanie.

– Ma pani ochotę się przejść? – Ajani wskazał ulicę. – A może przejechać się? Zapewne jest pani wyczerpana podróżą.

– Nie owijaj w bawełnę, Ajani, i powiedz, po co tu przyjechałeś – rzekł Jack.

Ostra nuta w jego głosie spodobała się Chloe o wiele bardziej, niż powinna, co zawdzięczać mogła tylko serii nieudanych związków

z nieodpowiednimi mężczyznami.

– Czy Jackson wyjaśnił, że ma pani przed sobą dwie opcje? – Ajani nie spuszczał z niej wzroku. – Wiem, że dopiero co tu pani dotarła i jest przypuszczalnie przytłoczona. Zakładam, że Jackson odnalazł panią i zabrał do swojej wesołej kompanii nieudaczników, a ci dołożyli wszelkich starań, by nie wyjść na... cóż, na prymitywów, którymi są bez najmniejszej wątpliwości. Chciałbym pokazać, że ma pani również inne możliwości.

Słyszając te słowa, Jack stanął tuż za Chloe, by ta poczuła się bezpieczniej, ale nie powiedział ani słowa.

– Życie pełne występków nie jest czymś dla pani. Mogę zaproponować lepsze warunki – rzekł Ajani i pokazał służących, którzy stali za nim, spięci i czujni. – Oni również pochodzą z pani świata, ale zdecydowali się pracować dla mnie. Chciałbym, by i pani podjęła taką decyzję.

Kitty najwyraźniej nie miała zamiaru pozwolić przybyszowi, by dokończył swą kwestię.

– Ajani zapomniał nadmienić, że decydując się na pracę dla niego, staniesz się jednym z jego oprychów.

– Ach, panna Reed, subtelna jak zwykle! – Mężczyzna obrzucił Katherine spojrzeniem, w którym kryła się zarówno wyższość, jak i niepokojące, obrzydliwe pożądanie. – Niech pani pamięta, że propozycja przyłączenia się do mnie jest nadal aktualna. Zasluguje pani na to, by ją podziwiano i traktowano jak skarb.

– Odpieprz się, słodziaku. – Kitty wymownie oparła dłoń na rękojęści rewolweru. – Wolałabym umrzeć niż spędzić choć minutę na osobności z tobą.

Ajani syknął, słysząc jej słowa, a potem pochwycił spojrzenie Chloe.

– A pani? Ma pani ochotę zobaczyć, co reszta tego świata ma do zaoferowania, czy może chce pani kryć się na pustyni, trzymając się kiecki Jacka i Katherine?

Chloe miała wrażenie, że nie wie o Przybyszach wystarczająco dużo, by podjąć wiążącą decyzję, ale Ajani nie przypadł jej do gustu.

– Nie wiem, czy zostanę na pustyni, ale na razie nie mam zamiaru zaakceptować pańskiej oferty. Raczej nie wierzę w to, by były to jedyne opcje. Może zostanę krawcową?

Ajani obrzucił ją nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Oni opowiadają o mnie straszne rzeczy – rzekł i podszedł bliżej. – Pewnie przekonali panią, że jestem pozbawionym serca łajdakiem. Czuję, że powinienem więc mieć prawo, by przedstawić własną wersję. Czy proszę



o nazbyt wiele, Chloe?

– Dziś? Wykluczone. – Chloe nie cofnęła się. Przechyliła lekko głowę i spojrzała w oczy Ajaniemu. – Miałam dzisiaj starcie z cynantropami, bloedzuigerem i Urokiem. Jestem zmęczona.

Ajani wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, aż na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, dzięki czemu jego oblicze stało się stosunkowo przystojne.

– Nieźle kłamiesz.

– Słucham?

– Dopiero co przybyłaś, a już uczestniczyłaś w walce? Powinnaś być tak wyczerpana, że samo dojście do Szubienicy byłoby dla ciebie niemożliwością, nie mówiąc już o wyklócaniu się na ulicach z tym motłochem. – Ajani przeniósł spojrzenie na Jacka. – Verrot, jak sądzę?

Jack wzruszył ramionami, a bogacz ponownie zwrócił uwagę na Chloe.

– Spodobało ci się. Cóż, każdy lubi verrot. Ja również mogę go dla ciebie zdobyć. Zarówno verrot, jak i wiele innych rzeczy.

Na samo wspomnienie o nieograniczonym dostępie do verrotu Chloe zacisnęła mocno pięści. Zastanawiała się, czy podana jej substancja nie jest uzależniająca, czy nie będzie jej pożądać i czy będzie w stanie cieszyć się jej efektami bez konsekwencji. Wciąż krążyła po jej ciele – nigdy w życiu nie piła niczego, co dałoby taką moc! – ale była odczuwalna teraz jako cichy pomruk i nie miała wiele wspólnego z odurzającym strumieniem energii, który pchnął ją do biegu za Jackiem po pustyni.

Zarumieniła się na wspomnienie ich pocałunków. Gdyby Jack się nie opanował, leżeliby tej nocy nadzy pod gwiazdami. Powstrzymała ochotę, by odwrócić się i na niego spojrzeć. Niech Jack sądzi, że zarumieniła się na myśl o verrocie. Oblizwała wargi i rzekła:

– Mam wrażenie, że próbujesz mnie przekupić.

Ajani parsknął śmiechem, choć nie było w tym wiele wesołości.

– Nie. Chcę cię nakłonić, byś wybrała lepsze życie.

– A oni ci na to pozwalają, choć nie ma wątpliwości, że cię nie lubią. – Chloe zerknęła na Edgara, który wyglądał, jakby miał ochotę kogoś zamordować. Kitty robiła podobne wrażenie. Jedynym, który wydawał się panować nad sobą, był Jack. – Posłuchaj, Ajani. Nie znam cię, ale nie znam też ich. Niewiele wiem o tym świecie. Jestem pewna tylko tego, że dziś nie podejmę żadnych decyzji poza tą, czy najpierw coś zjeść, czy może od razu pójść spać. Później pogadamy. Będziesz mógł mnie przekonywać czy przekupić, a oni będą mogli opowiadać o twoich występkach. W tej chwili

mam wszystko gdzieś.

Przez moment Chloe wydawało się, że trzeba pociągnąć rozmowę albo ktoś zrobi to za nią. Jack napiął mięśnie, gdy Ajani spojrzał na swych ochroniarzy, ale pomimo napięcia nikt nie posunął się do czynu. Minęło kilka sekund, a Ajani cofnął się i uklonił.

– A więc do zobaczenia, Chloe – rzekł, a potem zerknął na pozostałych i rzucił: – Jackson, Cordova, bywajcie.

Powrócił do lektyki i osobliwa procesja ruszyła naprzód, niesłychanie powolna w porównaniu z olbrzymimi prędkościami rozwijanymi przez bloeduigery czy cynantropy.

Gdy oddalili się już o kilkadziesiąt kroków, Kitty odwróciła się ku Chloe.

– Nie musisz nam ufać. Podejrzliwość to dobra cecha, ale wkrótce dowiesz się, że na Bezdrożach funkcjonuje wiele prawd. Jedna z nich, odkryta przeze mnie dobre dwadzieścia lat temu, brzmi: Ajani to śmiertelne zagrożenie. Nie wygląda na potwora, ale to jedyny człowiek na tym świecie, którego nazwałabym nieodwracalnie złym.

Chloe pamiętała, że Kitty zajmowała się nią, a cała grupa okazała jej życzliwość, więc starannie dobrała słowa:

– Nie czuję się przez niego przekonana, ale powiedziałam prawdę. Marzę tylko o odpoczynku.

Kitty zdawkowo kiwnęła głową do Edgara i razem weszli do knajpy. Chloe pozostała na zewnątrz z Jackiem. Ten oparł się o ścianę, a dziewczyna podeszła bliżej, by nie musieć mówić podniesionym głosem.

– Chcesz odpoczywać? – spytał z powątpiewaniem, patrząc nie na nią, lecz na oddalającą się lektykę. Chloe nie odpowiedziała. – Verrot zazwyczaj nie jest tak mocny jak ten, który piliśmy zeszłej nocy czy tam kiedyś, ale jeśli człowiek nie jest do niego przyzwyczajony, raczej po wypiciu nie zaśnie – rzekł Jack z krzywym uśmiechem.

– Nie wiem, czy mogłabym zasnąć, ale mam ochotę się położyć.

– Sama czy w towarzystwie?

Chloe wielokrotnie podejmowała pochopne decyzje pod wpływem alkoholu, ale na szczęście wszystkie pozostawiły po sobie zamazane wspomnienia. Nigdy nie złapała żadnego świństwa i nigdy nie została napadnięta, a po zerwaniu z nałogiem obiecała sobie, że nie doprowadzi już do sytuacji, w których mogłaby tak złe decyzje podejmować. Nie sądziła, by Jack stanowił fizyczne zagrożenie, ale odnosiła wrażenie, że zbliżenie się z nim byłoby bardzo złą decyzją innej kategorii.

– Nie znam ani ciebie, ani tego świata – odpowiedziała wymijająco.

– Prawda. – Jack wskazał knajpę. – Jeśli chcesz, chętnie odpowiem na kilka twoich pytań. Hector wynajął kilka pokojów.

Chloe spoglądała na niknącą karawanę Ajaniego.

– Serio o to ci chodzi? Chcesz rozmawiać?

Spojrzenie, którym obrzucił ją Jack, mówiło znacznie więcej niż jego słowa.

– Wydajesz się myśleć o wiele trzeźwiej niż na pustyni.

– Na tyle, by nie zamykać się z tobą w pokoju.

Jack milczał przez moment i Chloe zaczęła się zastanawiać, czy go nie uraziła. Już chciała wyjaśnić, że nie ma na jego temat złego zdania, gdy podszedł do niej bliżej.

– Czasami marzę tylko o tym, by przez kilka godzin nie myśleć o żadnych potworach, łącznie z Ajanim, ani nie zastanawiać się, dlaczego tu trafiliśmy – powiedział cicho. Niebezpieczna nuta w jego głosie znikła bezpowrotnie. Chloe słyszała teraz tylko bezgraniczną szczerłość, która była o wiele bardziej kusząca. – Wtedy na pustyni tak właśnie było – powiedział, wpatrując się w nią. – Przez kilka minut nie przejmowałem się potworami. Chciałem dostać więcej. Dzięki tobie czuję się kimś innym i podoba mi się to. To takie proste.

– Rozumiem – przyznała Chloe.

Sama niejednokrotnie gubiła się w różnych sytuacjach, ale męskie ciała i butelki nie przynosiły żadnych odpowiedzi, jedynie odsuwały lęki na bok. Mimo to nadal pamiętała instynktowną opiekuńczość, jaką Jack emanował kilka chwil temu podczas spotkania z Ajanim. Lubiła Jacksona Reeda, ufała mu bardziej, niż mogła to wyjaśnić, i chciała spędzać z nim czas. Może miała hopla na punkcie kowbojów, z którego nie zdawała sobie dotąd sprawy, a może reagowała w ten sposób na jego wygląd? Bez względu na powody chciała poznać go lepiej, ale nie miała zamiaru dać się łatwo zaciągnąć do łóżka. Udzieliła więc jedynej odpowiedzi, która wydawała się jej sensowna:

– No dobra. To pogadajmy.

## Rozdział 24

Kitty zawsze miała wrażenie, że spotkanie z Ajanim wyczerpuje resztki jej zasobu dobrej woli. Nie była gwałtowną, agresywną kobietą z natury i walka o przeżycie nie sprawiała jej przyjemności. Czasami uważała, że jej sposób myślenia jest przyczyną konfliktów z bratem. Jack sądził, że ich szczególna umiejętność wracania do życia jest wezwaniem do działania i sygnałem, iż mają wielką misję do wykonania. Tymczasem ona marzyła o takiej egzystencji, jaką wiodła w Kalifornii. Chciała mieć dom i rodzinę. Niestety, by zrealizować to marzenie, musiałyby się odwrócić od brata, jedynej rodziny, jaka jej pozostała. Walczyła więc nadal u boku Jacka, co nie oznaczało, że zabijanie sprawia jej przyjemność.

Była jednakże przekonana, że zabicie Ajaniego ucieszy ją ponad miarę. Jego spojrzenie było śliskie i nieprzyjemne. Przywodziło na myśl ludzi, którzy wchodzili do Rozkołysanych Drzwi w jej rodzimym świecie. Modliła się wówczas w duchu, by w ogóle na nią nie patrzyli. Ludzie jego pokroju byli powodem, dla którego zawsze trzymała mały pistolet pod gorsetem i kilka noży pod suknią. Ze wszystkich rzeczy na świecie – oprócz utraty Jacka bądź Edgara – najbardziej obawiała się chwili, kiedy zostanie z Ajanim sam na sam. Edgar zaś dobrze o tym wiedział.

Staął obok niej w ciemnej knajpie.

– Zabiłbym go za to, jak na ciebie patrzy, gdybym tylko miał pewność, że nie wróci zaraz do życia.

Nie miała ochoty go okłamywać i mówić, że zainteresowanie Ajaniego nie robi na niej wrażenia. Podczas ich spotkania przypomniawszy sobie ostrzeżenie Daniela i zadała sobie w myślach pytanie, czy powinna podzielić się nim z Edgarem. Miała bowiem wrażenie, że za typowymi drwinami i pochlebstwami Ajaniego kryło się coś innego, co przerażało ją bardziej, niż powinno.

Gdy wraz z Edgarem znaleźli się w cieniu pod schodami, Kitty zatrzymała się. Pospiesznie, bojąc się, iż lada moment uświadomi sobie, że to zły pomysł, przyciągnęła Edgara do siebie i pocałowała go. Miał to być zwyczajny, przelotny pocałunek, zwykłe „dziękuję za to, że rozumiesz słowa, których nie mówię na głos”, ale Edgar przyciągnął ją mocniej do siebie. Jedną z jego dłoni wsunęła się za jej szyję i przytrzymała ją,

a dziewczyna uświadomiła sobie, że oplata go ramionami. Zatonęła w jego pocałunku z głębokim przeświadczeniem, że minęło za dużo czasu, odkąd po raz ostatni znalazła się w jego ramionach.

Gdy się odsunął, Katherine nagle pożałowała, że dystans, który tak starannie utrzymywała przez miniony rok, legł w gruzach. Nie potrafiła go odbudować. Tuliła go, a on wpatrywał się w nią, jakby stała się całym wszechświatem. Choć znajdowali się w knajpie, nikt ich tu nie widział. Rozpaczliwie zapragnęła znaleźć się na widoku, zupełnie jakby przypadkowy bywalec speluny był zdolny pomóc jej odnaleźć kontrolę nad sobą, która mogła zniknąć bez reszty z każdym kolejnym uderzeniem serca.

– Przepraszam – szepnęła, wyslizgując się z jego objęć. – Nie powinnam...

Pocałował ją łagodnie, lecz z uczuciem, ledwie muskając jej usta, a potem rzekł:

– Kłamczucha.

Odwróciła się, by nie mógł widzieć wyrazu jej twarzy.

– To był błąd.

Zamiast odpowiadać, ucałował tył jej szyi. Nie zaprotestowała i jego palce zaczęły badać zapięcia gorsetu. Jej ciało nadal zasłaniał materiał, ale miała wrażenie, że w miejscach, których dotyka Edgar, bucha żywy ogień.

Odchyliła się, wiedząc, że mężczyzna zaraz zniweluje dystans między nimi do zera.

– Nie przeżyję twojej kolejnej śmierci – powiedziała drżącym głosem.

Nawet nie próbował się z nią kłócić. Nie próbował jej ofuknąć za słowa, które płynęły ze strachu i naiwności. Zatrzymał ją, kładąc jedną dłoń na jej biodrze, a palce drugiej wsunął w jej włosy. Przechylił głowę Kitty na bok i zaczął pieścić jej szyję, a potem wsunął dłoń za jej gorset, by ująć pierś.

– Ja żyję. Ty też żyjesz – szepnął i uszczypnął zębami skórę szyi. – Masz bardzo szybki puls. Serce ci bije. – Zacisnął dłoń na jej piersi. – To twoje serce, Kit. Czujesz je?

Wtuliła się w niego.

– Coś czuję.

Edgar wydał z siebie ni to śmiech, ni to warknięcie.

– Widzisz? Oboje żyjemy.

Zamiast odpowiadać, Kitty znów go pocałowała. Świadomość, iż ponownie znalazła się w jego ramionach, całowała jego usta i wtulała się w jego ciało, sprawiła, że znów chciało jej się żyć.

– Nie umiesz się kłócić jak należy – skarciła go żartobliwie.

– To nie była kłótnia. – Edgar otoczył ją ramieniem i ruszyli przed siebie.

Po kilku krokach pochylił się nad jej uchem i szepnął: – Kocham cię, a ty kochasz mnie. Przyjdź do mnie albo...

Urwał. Weszli kilka stopni po schodach, nie mówiąc ani słowa. Kitty nadal czekała, aż dokończy zdanie, a gdy dotarli na drugie piętro, zapytała:

– Albo co?

Spojrzał na nią ze zdumieniem, jakby nie wiedział, o co jej chodzi.

Kitty parsknęła z irytacją i ruszyła w górę. W połowie schodów zatrzymała się i spytała:

– Powiedziałeś: „Przyjdź do mnie albo” i urwałeś. Co miało oznaczać owo „albo”?

– Nie ma żadnego „albo”.

Edgar obdarzył ją próżnym uśmiechem, tym samym, który widywała tak często, gdy na początku pobytu na Bezdrożach postanowił ją uwieść. Była wówczas przekonana, że może bez trudu zaciągnąć do łóżka każdego mężczyznę, jakiego zapragnie, i że będzie mogła się z nim widywać tylko wtedy, gdy będzie miała na to ochotę. Zainteresowała sobą Daniela, chcąc udowodnić, że jest w stanie realizować swe zamysły i przekonać siebie samą, że nie kocha się w Edgarze. W rezultacie zniszczyła przyjaźń z Danielem, ale nie zdołała zrazić Edgara. Ignorował każdą narzuconą przez nią zasadę z tak niezachwianą determinacją, że w pewnym momencie nie wiedziała już, jak mu się opierać. Po kilku latach przestała w końcu udawać, że są tylko przyjaciółmi. Gdy odepchnęła go od siebie nieco ponad rok temu, była zdumiona, że się na to zgodził.

Przez moment próbowała zignorować ciekawość, aż ustąpiła i zapytała:

– Co się zmieniło?

– Jedno z nas musi być rozsądne, Kit.

– Rozsądne?

– Rozsądne – powtórzył Edgar.

Razem weszli na trzecie piętro i skręcili w wąski korytarz. Katherine nie odpowiadała.

Hector ustawił na korytarzu krzesło z wyplatanej włókna kaktusowego. Rozsiadł się na nim wygodnie, odchylił je do tyłu, a jedną nogę przerzucił przez oparcie. Jego ramiona, koszula i spodnie nadal były powalane zakrzepłą krwią. Na kolanach trzymał obrzyna i podrzucał nieodłączny nóż.

– Ajani odjechał – poinformował go Edgar.

– Domyśliłem się. – Hector pokiwał głową.

Kitty próbowała przez moment skupić się na obecnej sytuacji ich grupy i poskromić w ten sposób chęć wpełnienia Edgara do jednego z pokojów

i wytłumaczenia mu, że ona zachowuje się modelowo rozsądnie. Przecież przemyślała wszystkie swoje decyzje, a to, że ustąpiła i pocałowała go, wcale nie oznaczało, że straciła rozsądek! Trzeba było przyznać, że czasami szukała wymówek, by go pocałować, a ostatnimi czasy przyglądała mu się coraz częściej, ale tego uniknąć nie mogła. Przecież ich związek trwał od lat. Prędzej czy później na pewno jej determinacja zaczęłaby się kruszyć. Kilkakrotnie tupnęła niecierpliwie nogą i nagle zorientowała się, że Edgar i Hector patrzą na nią ze zdumieniem.

Hector uśmiechnął się szeroko, podrzucił nóż i złapał go.

– A więc wy...

– Nie! – warknęła Kitty.

– To wyjaśnia twój nastrój! – Hector spojrział na Edgara ze współczuciem.

– Sorry, facet. Myślałem, że może verrot rozwiąże wasz problem.

Edgar nic nie powiedział, a jego mina była nieprzenikniona. Kitty, choć rozgniewana, była mu za to wdzięczna. Czasami irytowało ją to, jak niewiele mieli prywatności.

– Uznałem, że lepiej będzie, jak zostanę tu chwilę i zaczekam na ciebie lub na szefa. – Hector uśmiechnął się krzywo. – Melly odbija po verrocie. Sami wiecie, co się z nią dzieje. Jest w tym drugim pokoju. Skoro Ajani odjechał, może powinniśmy wyjść? Jeśli będzie musiała przesiedzieć tu całą noc, zaczniesz strzelać z okien do miejscowych lub jaszczurek.

Edgar pokiwał głową.

Hector wskazał trzy kolejne pary drzwi.

– Jest w sąsiednim pokoju. Ten jest dla Jacka, a tam jest jeszcze jeden. Ktoś może wprowadzić się do Francisa. – Nożownik wskazał drzwi za sobą. – Widzi już co nieco, ale nie zaleczył swych ran na tyle, by mógł być sam. Ja mogę nocować z Melly albo z nim w zależności od...

– OK, damy ci znać – przerwał mu Edgar, nim Hector zdołał zapytać, czy Kitty będzie spała z nim, czy z Chloe.

Jack rzadko wynajmował aż cztery pokoje, ale Chloe nadal była niepewnym elementem. Mary zazwyczaj nocowała z Jackiem, Katherine bądź Francisem. Edgar wolał towarzystwo Kitty, ale z reguły godził się na przydział proponowany przez Jacka. Wyjątkiem była jednak Melody. Przyjęli ją do swej grupy, ale poza Hectorem nikt nie miał ochoty z nią przebywać. Wyglądało na to, że żonglujący ostrzami nożownik nie miał nic przeciwko szczególnemu rodzajowi przejawianego przez nią szaleństwa.

Kitty poczuła przyływ troski na myśl o ranie Francisa. Wykonywane przez nich zadania często kończyły się ranami, co nie oznaczało, że nawykli

do bólu. Francis był najwrażliwszym członkiem ich grupy i to on pomagał jej zajmować się innymi rannymi. Żałowała, że to właśnie on odniósł największe obrażenia. Żałowała, że dopiero teraz przyszła, by się nim zająć, i wściekała się w duchu na Ajaniego za to, że pojawił się w chwili, gdy miała o wiele poważniejsze sprawy na głowie.

Edgar zastukał lekko do drzwi Francisa. Kitty zawołała: „To my!” i oboje weszli do środka. Podobnie jak każde inne pomieszczenie w Szubienicy, był to niewielki, zaniedbany pokój. Oświetlało go jasne światło wpadające przez okienko znajdujące się naprzeciwko drzwi. Na wąskim, nieco przykrótkim łóżku leżał Francis z ramionami ułożonymi pod głowę. Nogi miał wyciągnięte i skrzyżowane na wysokości kostek. W pierwszej chwili odnieśli wrażenie, że wpatruje się w sufit, ale miał zamknięte oczy.

– Moje rany nie leczą się tak, jak powinny.

– Co? – Kitty podeszła do łóżka i usiadła przy nim. Spojrzała na twarz towarzysza. Spomiędzy przymkniętych powiek wypływała krew oraz łzy, które ściekały po policzkach i wsiąkały w szmatkę wsuniętą pod jego policzek. – Może to wszystko trwa wolniej niż zwykle, ale...

– Nic się nie poprawiło – przerwał jej Francis. – Widzę równie kiepsko jak wcześniej. – Skrzywił się lekko, otwierając oboje oczu. – Jesteś tylko zamazanym kształtem, Kitty. Oczy na ogół leczą się szybciej.

– Ale Hector powiedział... – zaczęła protestować Katherine, lecz urwała, gdy krew popłynęła żywiej.

Francis znów zacisnął powieki i uniósł szmatkę, by otrzeć krew, ale w efekcie rozmazał ją jedynie po twarzy. Edgar podeszedł do drzwi i je otworzył.

– Załatw nam jakąś miskę – polecił Hectorowi.

Gdy zamknął drzwi, Kitty spytała cicho:

– Okłamałeś Hectora?

– Czyżbym słyszał to od kobiety, która okłamała mnie wczoraj, by wyrwać się z obozu? – Francis się uśmiechnął. Wyciągnął rękę, a Kitty złapała ją i uścisnęła. – Jeśli dzieje się coś niejasnego, zawsze najpierw mówię tobie lub Jackowi – dodał. – Takie są zasady.

Katherine pokiwała w milczeniu głową, a potem uświadomiła sobie, że Francis niczego nie widzi.

– Masz rację – rzekła cicho i spojrzała na Edgara. – Może uda nam się skołować więcej verrotu. Nie wypieś go dużo.

Spróbowała odszukać Garudę w swoim umyśle, zupełnie jakby próbowała odnaleźć jakąś myśl bądź wspomnienie na skraju świadomości. Gdy go



wyczuła, miała wrażenie, że bloedzuiger otworzył oczy i spoglądał na nią.

– Jeśli verrot nie zadziała, poszukamy jakiegoś miejscowego leku. Wszystko będzie dobrze, Francis. Jeśli twoje rany nie będą się leczyć, dowiemy się, co stanowi przyczynę.

„To z pewnością jakaś trucizna – rzekł Garuda. – Kolejny dowód na to, że mnisi współpracują z Ajanim”.

Kitty skupiła się na kontakcie z Garuda. Zawsze miała wrażenie, że to bloedzuiger zna wejście do jej umysłu, które może otwierać, kiedy tylko chce. Teraz zaczęła się zastanawiać, czy sama również nie może się z nim w ten sposób kontaktować. Jak do tej pory rzadko się zdarzało, by mentalna łączność zupełnie jej nie przeszkadzała. Powiedziała o tym Garuda i choć go nie widziała, czuła, że się ucieszył. Gdy przestała mu się opierać, ich łączność wydawała się jeszcze mocniejsza.

„Eksperymentowałem ostatnio z truciznami. Poszukam tych, które wywołują podobne symptomy. Zbadam również te, którymi w przeszłości posługiwali się mnisi” – zaproponował Garuda.

Kitty nie chciała odrzucać jego pomocy, ale musiała zapytać:

„A dlaczego jesteś dla mnie taki miły?”.

„Ponieważ jesteś niezwykła, Katherine. Żyję od wielu stuleci i intrygują mnie niezwykle rzeczy – urwał, a Kitty miała wrażenie, że się uśmiecha. – Ponadto dlatego, że chcesz zabić Ajaniego równie mocno jak ja. Jesteśmy dzięki temu sojusznikami”.

Słyszając te słowa, Kitty nie mogła się nie uśmiechnąć. Nadal nie przepadała za obecnością bloedzuigera w swym umyśle, ale w przeciwieństwie do ich wcześniejszych kontaktów teraz była przekonana, że Garuda stoi po ich stronie.

Gdy poczuła, jak ten wyślizguje się z jej umysłu, powiedziała do Francis:

– Mam kilka pomysłów. Dowiemy się, o co chodzi. Może nie dziś, ale jeśli twoje ciało nie zacznie dochodzić do siebie w sposób naturalny, poszukamy innych rozwiązań. Mogę też wykorzystać magię.

Francis, który nadal miał zamknięte oczy, pokiwał głową.

– Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy.

Kitty odsunęła kosmyk włosów z jego twarzy i uniosła szmatkę, by zetrzeć mu krew z policzka. Zerknęła przy tym na Edgara.

Ten zrozumiał ją bez słów.

– Znajdę Jacka – rzekł. – Jest na zewnątrz z tą nową.

– Jeśli zobaczysz Hectora, powiedz mu, by wprowadził się na noc do Melody – dodała, gdy Edgar podszedł do drzwi.

Nie miała zamiaru wybuchnąć płaczem, gdyż był to luksus, na który rzadko sobie pozwalała. Zamiast tego usiadła przy łóżku przyjaciela, ocierała jego twarz i zastanawiała się nad rozwiązaniami. Nie mogła jednak przestać myśleć o tym, jak bardzo chce skrzywdzić tych, którzy stoją za ranami Francisa.

## Rozdział 25

W chwili gdy Edgar i Kitty pozostawili ją na zewnątrz, Chloe usłyszała wewnętrzny głos, który przypominał, że angażowanie się w cokolwiek z Jackiem to beznadziejny pomysł.

„Nic o nim nie wiesz. Przecież sam powiedział, że wszyscy są zabójcami”.

Jak świadczyło o nim to, że sam stał na czele grupy morderców? Związek z Jackiem byłby nie tylko pogwałceniem niezwykle racjonalnej zasady zakazującej spania z własnym szefem. W tej konkretnej sytuacji byłby to błąd bez precedensu. Chloe wiedziała, że nie myśli logicznie. Nie była nawet pewna, kiedy uznała jego autorytet. Zdrowy rozsądek nigdy nie był jej najmocniejszą stroną.

Szli przez chwilę pylistymi uliczkami miasta, gdy Chloe ujrzała, jak Jack krzywi się i wymachuje ramieniem. Poczła gwałtowny przyływ wyrzutów sumienia.

– Postrzelono cię. Jak mogłam o tym zapomnieć?

Jack wzruszył zdrowym ramieniem.

– Już jest w miarę zaleczone, ale wciąż wrażliwe.

Chloe zatrzymała się jak wryta.

– Co takiego? Serio? Czy my zawsze tak szybko dochodzimy do siebie?

– To zależy.

– Od czego?

– Nie mam pojęcia. – Jack uśmiechnął się do niej, a dziewczyna poczuła, jakby w jej żołądku rozszalał się Żądliasty Urok.

Przez chwilę szli bez słowa, aż powiedziała:

– Jeśli chcesz wrócić...

– Ze względu na postrzał? A może sama zaczynasz pękać, co? – spytał Jack.

Ludzie z jej rodzimego świata nie zachowywali się w tak bezpośredni sposób. Gruboskórność Jacka była w pewnym sensie odświeżającą zmianą. Zawahała się, szukając jakiejś ciętej odpowiedzi.

– Chloe? – spytał zaintrygowany ciszą.

– Tak, tak. Nie mogę powiedzieć, że ufam tobie bądź komukolwiek z waszej grupy, ale jeśli masz wobec mnie zamiary, nie wydaje mi się, byś...

– Odwróciła wzrok, czując, że zaraz zacznie się rumienić. – Wiesz, chodzi mi

o to, że mimo wszystko wydajesz mi się dżentelmenem. Przecież to ty powstrzymałeś nas owej nocy na pustyni.

Jack obrzucił ją spojrzeniem, które zaczęła traktować niezwykle poważnie. Za każdym razem, gdy rozważał swe słowa, przybierał bowiem szczególną minę, jakby akt mówienia wymagał więcej namysłu, niż ludzie skłonni byli mu poświęcić.

– Bez wątpienia miałem oczekiwania zgoła niegodne dżentelmena, ale istnieje wiele miejsc, w których mogę zaspokoić swoje potrzeby – rzekł po chwili i wskazał jej skrzyżowanie w oddali. – Najróżniejsze stworzenia sprzedają tam swe ciała. Proceder nie różni się wiele od tego, co pamiętam z Kalifornii, z tym wyjątkiem, że mamy tu większą różnorodność. Jako młody chłopak nigdy nie sądziłem, że ujrzę takie dziwactwa.

Chloe nagle uświadomiła sobie, że kowboj ma o wiele swobodniejsze podejście do burdeli, niż sądziła. W jej rodzimym świecie kluby ze striptizem otaczało niezdrowe zainteresowanie, a opiniom na ich temat towarzyszyły mrugnięcia okiem i sekretne szturchnięcia, dające do zrozumienia, że seks to coś niestosownego. Większość mężczyzn jednakże nigdy by się nawet nie przyznała do tego, że w ogóle pomyślała o płatnym seksie, nie mówiąc już o skorzystaniu z usług prostytutki. Na Dzikim Zachodzie, skąd pochodził Jack, kobiety należały do rzadkości, a burdele były po prostu miejscami, w których świadczone usługi za opłatą. Chloe przypuszczała, że tutaj wyglądało to całkiem podobnie.

Wciąż rozważała tę kwestię, gdy Jack się odezwał:

– Od dawna żadnego nie odwiedziłem. Do niedawna moje łóżko grzała pewna kobieta, ale umarła.

– To ta martwa członkini watahy, o której mówił bloedzuiger? – spytała dziewczyna.

Jack pokiwał głową i dodał:

– Mary. Miała na imię Mary. Pochodziła z 1989 roku, spędziła z nami kilka lat. Zdarzało jej się kilkakrotnie umrzeć, ale tym razem się nie przebudziła.

– Bloedzuiger nazwał mnie zastępstwem.

Zdanie Chloe nie zabrzmiało jak pytanie, ale nim było.

– Jeśli któryś z nas nie wraca do życia, w jego miejsce pojawia się ktoś inny. – Jack się zachmurzył. – Nie wiemy, kiedy to nastąpi. Nie mamy też pojęcia, dlaczego tak się dzieje i jak to powstrzymać. Czekaliśmy na ciebie i to dlatego znaleźliśmy cię tak szybko. Mam pewien zmysł, który mi podpowiada, kiedy należy się spodziewać kolejnego Przybysza.

– A więc Mary umarła, a potem pojawiłam się ja.

Chloe uświadomiła sobie, że zatrzymali się przed jakimś sklepem. W środku stała trójka istot przypominających niezwykle chudych ludzi, których zauważyła przed chwilą w knajpie. Przyglądali jej się teraz z wielką ciekawością. Chloe uśmiechnęła się do nich uprzejmie, ale ich spojrzenia wytrąciły ją z równowagi. Zawróciła w stronę Wąwozu. Jack dotrzymał jej kroku.

– A Ajani? – spytała po chwili.

– Nie mam pojęcia, czy on również wyczuwa przybycie nowych ludzi, czy po prostu nas szpieguje. Nie wiemy, czym się zajmował przed naszym przybyciem. Jego wiek oraz źródło bogactwa to również wielka tajemnica. Wiem tylko tyle, że każdemu z przybyłych składa tę samą propozycję – pracuj dla mnie, a zyskasz bogactwo i wieczne życie. Niektórzy ludzie nie mogą się oprzeć.

Jack nie patrzył na nią, gdy mówił te słowa.

– Melody spędziła chwilę pod jego rozkazami, ale wróciła do nas po kilku miesiącach. Przyznam, że zastanawiałem się, czy to nie ona doniosła mu o twoim przybyciu, ale to w sumie nie ma znaczenia. On zawsze się dowiaduje.

Fakty zaczynały się układać dla Chloe w spójną całość. Oczywiście była daleka od stwierdzenia: „Rany, przecież to logiczne!”, ale pasujące do siebie informacje pozwalały jej lepiej zrozumieć sytuację, w jakiej się znalazła.

– A więc ona... Mary, tak? Grzała ci łóżko, jak mówisz. Czy w tym również mam ją zastąpić? Czy wszystkie nowo przybyłe kobiety...

– Nie. – Jack zmierzył ją surowym spojrzeniem. – Z Mary byliśmy właściwie przyjaciółmi, a po upływie pewnego czasu zaczęliśmy cieszyć się wzajemną bliskością. Ja nie zamierzałem cię wykorzystać. Nie planowałem tego. Niemniej jednak doszło do zbliżenia i...

Dotarli do Wąwozu. Chloe się zatrzymała.

– No i? – ponagliła go.

– I nie jest mi z tego powodu przykro. Mam nadzieję, że tobie również nie. Intrygujesz mnie, Chloe. Dawno nie spotkałem tak interesującej kobiety. Mary i ja byliśmy przyjaciółmi i lubiliśmy się, a nie wierzę w inne związki. Moja siostra oraz Edgar stworzyli odmienny układ, który jest dla nich źródłem niekończącego się bólu głowy, a ja... ja tego nie chcę, przyznaję. Ale interesujesz mnie i podobasz się mi.

Westchnął i potarł twarz, jakby mógł w ten sposób zetrzeć znużenie i stres.

Chloe nie miała pojęcia, co powiedzieć. Sama również nie szukała dla siebie partnera.

– Właśnie zakończyłam pewien związek – rzekła ostrożnie. – A wcześniej zaliczyłam całą serię nieudanych.

Jack pokiwał głową.

– A jeśli chodzi o to morderstwo? – ciągnęła. – Widywałam się z pewnym mężczyzną. Miał na imię Jason i... był brutalny, krzywdził mnie. Pewnej nocy upiłam się i postanowiłam dołożyć wszelkich starań, by już nigdy nie zadał mi bólu.

Jej słowa uleciały. Przez wiele lat nikomu o tym nie wspominała i nie było się czemu dziwić. Rozmowa na ten temat nie należała do najlepszych pomysłów. Teraz, choć trafiła do całkiem nowego świata, nadal nie mogła wyzwolić się z pielegnowanego od dawna zwyczaju. Owej nocy mogła po prostu od Jasona uciec, a mimo to zdecydowała się go zabić i położyć kres wszelkim lękom. Przecież kiedyś mogła się zorientować, że ucieczka jest już niemożliwa. Nigdy nikomu o tym nie mówiła. Zeznanie złożone w sądzie nie było całkowitym kłamstwem, ale pominęła kilka faktów i starannie przeinaczyła inne. Tylko ktoś, kto zdawał sobie sprawę z tego, do czego Jason naprawdę był zdolny, zaakceptowałby całą prawdę. Elegancko ubrani ludzie w sądzie nie zrozumieliby, jak złym człowiekiem był Jason. Nie miała co do tego wątpliwości. Równie dobrze wiedziała, że Jackowi może o wszystkim powiedzieć. Po spotkaniu z cynami na pustyni i po wszystkim, co się wydarzyło w Szubienicy, wiedziała, że Jack potrafi realnie oceniać rzeczywistość. Powiedziała mu więc o tym, czego za nic nie zdradziłaby Melody.

– Niektórzy faceci nigdy nie odpuszczają. Postarałam się, by Jason nie wytropił mnie i nie zjawił się kiedyś w moim życiu w środku nocy.

Jack przez chwilę patrzył jej w oczy, ale bynajmniej nie próbował jej osądzić.

– Jeśli chcesz się jeszcze przejść, nie ma problemu – rzekł jedynie. – Jeśli zaś chcesz, by ktoś inny dotrzymał ci towarzystwa, mogę kogoś zawołać.

– Nie. – Chloe pokręciła głową. – Ale fajnie byłoby znaleźć się w środku jakiegoś realnie istniejącego pokoju.

Czekała, aż zada jakieś pytanie, ale milczał. Skinął głową i otworzył przed nią drzwi.

Gdy jej oczy przystosowały się do panującego w środku półmroku, zorientowała się, że wewnątrz nie było nikogo z ich grupy. Jack zadał kilka pytań miejscowym, a potem zaprowadził ją w głąb budynku na niewielkie,

otoczone ścianami podwórko, gdzie zastali właściciela przybytku. Miejsce przypominało jej ogródek piwny, w którym ludzie mogli palić papierosy i rozkoszować się blaskiem słońca. W jej rodzinnym świecie większość knajp wprowadziła zakaz palenia w środku, przez co na zewnątrz panował o wiele większy ścisk niż wewnątrz. W tym świecie palenie było najwidoczniej dozwolone, a ogródek przyciągał klientów zainteresowanych grami. Na blatach stołów wymalowano wypłowiałe już plansze, z których nie rozpoznawała żadnej. Człowiek, którego Jack usiłował odnaleźć, podszedł do nich i przekazał, gdzie mogą zastać resztę.

Gdy wrócili do wnętrza, Jack oznajmił:

– Nie mam pojęcia, co robią pozostali. Możliwe, że gdzieś poszli. Niewykluczone, że są w pokojach. – Zatrzymał się i wskazał jej zabłocone, drewniane schody. – Mogę zapukać i znaleźć Katherine bądź Melody, jeśli chcesz...

– Ufam ci, Jack – powiedziała cicho. – Chciałabym pójść do twego pokoju.

W milczeniu zaprowadził ją na drugie piętro. Gdy wchodzili na trzecie, powiedział:

– Mnie też się ten pomysł podoba.

Na trzecim piętrze wskazał jej puste krzesło na korytarzu.

– Katherine i Edgar są u siebie. W przeciwnym razie Hector nadal stałby na straży.

– Chcesz sprawdzić, co u nich? – spytała Chloe, zaskoczona tym, że te słowa obudziły w niej rozczarowanie.

Jack znów spojrział na nią z powagą i rzekł:

– Lepiej nie. Moja siostra jest dość wybuchowa, a w tej chwili jest gotowa wyładować na mnie cały swój gniew. – Uśmiechnął się głupkowato. – Wolałbym zostawić sobie tę przyjemność na kiedy indziej.

Chloe skinęła głową i razem weszli do ostatniego pokoju, który właściciel gospody określił jako „przestronny”. Dziewczyna jednakże nie mogła się powstrzymać i pokręciła głową. Jeśli ten pokój zasługiwał na miano „przestronnego”, przypuszczała, że goście w sąsiednich śpią na stojąco. Łóżko było zdecydowanie szersze od jednoosobowego, ale o wiele mniejsze od podwójnego łóżka, w którym spała w D.C. Parawan zasłaniał kącik przeznaczony zapewne na toaletę. Ściany były puste, ale parawan sam w sobie przyciągnął jej zainteresowanie, gdyż wymalowano na nim las. Pościel była ciemnozielona, a na podłodze przed łóżkiem leżał zużyty, ale wciąż nadający się do użytku dywanik. Miał nieregularne kształty, a gdy

Chloe przyjrzała mu się uważniej, odkryła, że pokrywają go osobliwe, gęste piórka.

Jack zauważył jej spojrzenie i rzekł:

– Jest miękki i delikatny, ale nie brudzi się łatwo. Skóra jest niemal wodoodporna, przez co takie dywaniki dobrze się trzymają w gospodach. – Kucnął, by go dotknąć. – Wciąż nie mogę się nadziwić niektórym rzeczom w tym świecie. Mam takich parę. Trzymam po jednym w każdym obozie.

Chloe zrzuciła buty i stanęła na dywaniku.

– Niezłe! – oznajmiła, przymknęła oczy i przez moment muskała go stopami, ciesząc się pieszczotą.

– Nigdy nie widziałam równie miękkiego futra!

– A już na pewno nie tam, skąd pochodzimy – zgodził się.

Chloe zerknęła na niego. Uśmiechał się do niej i gdyby nie to, że właśnie rozmawiali o dywaniku wykonanym z piór jakiegoś ptaka, byłaby gotowa pomyśleć, że są dwojgiem najzwyczajszych na świecie ludzi prowadzących zwyczajną pogawędkę. Cóż, Jack nadal wyglądał jak kowboj i zaleczył ranę postrzałową w parę godzin, a Chloe ze wszystkich sił usiłowała odnaleźć normalność w swoim rodzinnym świecie, ale znalazła się blisko niej dopiero tu, w zdecydowanie niezwyklej rzeczywistości, w pokoju z człowiekiem, który urodził się sto lat przed nią.

Jack wstał i niewielki pokój nagle wydał się jeszcze mniejszy.

– Zaproponowałbym, byśmy usiedli, ale nie wiem, czy łóżko jest wygodniejsze od dywanika.

– Nie powiesz mi chyba, że łóżko jest równie miękkie?

– Mógłbym – przeciągnął. – Ale boję się, że tym kłamstwem wypadłbym z twoich łask.

Szturchnęła go w bok, a z ust Jacka wydobył się dźwięk, który podejrzenie przypominał śmiech.

– Masz łaskotki? – Chloe pokręciła głową i sięgnęła ponownie.

– Chloe! – zaczął Jack, najwyraźniej próbując ją ostrzec, ale było już za późno, gdyż znów wyczuł jej palce na swoim boku.

– Tak?

– Ja wcale nie mam... – oznajmił Jack, ale na wszelki wypadek złapał ją za nadgarstek.

Chloe spojrzała mu w oczy i przez moment trwali w bezruchu, a potem dziewczyna połaskotała go drugą ręką.

Jego śmiech sprawił, że stał się na moment inną osobą, wręcz zwykłym człowiekiem, przystojnym jak jasna cholera, ale nie takim, przy którym



należało przez cały czas zachowywać czujność. Na pustyni oraz na ulicy Jack aż emanował energią, podczas walki był jak śmiercionośna maszyna, a przez cały ten czas panował nad sobą i nad wydarzeniami. Niespodziewanie ów niezwykle poważny kowboj znikł, a w jego miejsce pojawił się ktoś o wiele groźniejszy – prawdziwy człowiek.

Gdy Jack złapał ją za drugą rękę, Chloe zaczęła się cofać. Jej łydki natrafiły na łóżko, a wtedy przewróciła się i pociągnęła go za sobą.

W porę uwolnił ręce, by nie runąć prosto na nią, a mimo to przygniół ją swoim niemałym ciężarem. Chloe uświadomiła sobie, że bycie przygniecioną przez kogoś tak silnego jak Jack bynajmniej nie jest dla niej niemiłe. Nie pociągali jej rozrośnięci maniacy kulturystyki, ale podobały jej się twarde jak skała mięśnie uformowane przez ciężką pracę.

W przeciwieństwie do sytuacji na pustyni panowała teraz nad sobą na tyle, by podjąć świadomą decyzję, choć szczerze mówiąc, zapadła ona o wiele wcześniej, jeszcze zanim weszli do budynku. Podobał jej się i czuła się za niego odpowiedzialna, gdy znalazł się w niebezpieczeństwie. Nie chciała, by coś mu się stało. Pragnęła być przy nim i z nim rozmawiać. Uniosła uwolnioną dłoń i musnęła go po twarzy.

– Co my tu robimy, Chloe?

Nie chciała się podzielić tym, o czym myślała. Chciała go jedynie czuć, a cienki materiał jej sukni oraz jego spodni bardzo ich ograniczały. Naparła na niego biodrami i przyglądała się, jak nieruchomieje.

Puścił jej dłoń i zacisnął ją na jej biodrze, by nie powtórzyła ruchu.

– Pamiętasz, jak ci mówiłem o myślach niegodnych dżentelmena? To wcale nie pomaga.

Wbił w nią wzrok.

– Powiedz „tak” albo każ mi przestać.

Chloe przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Jego palce wbiły się mocno w jej biodra, ale skupił się na pocałunku. Trwało to na tyle długo, że Chloe oderwała usta od jego warg i szepnęła:

– To było „tak”.

– Dzięki Bogu.

Jack puścił jej biodro i naparł na nią, ujmując jej głowę i całując ponownie.

Była rozczarowana, gdy się cofnął, ale chodziło mu jedynie o odpięcie jej pasa z rewolwerem.

– Mało wygodne – mruknął.

Następnie odpiął swój pas, sprawnie zabezpieczył broń i odłożył ją na

podłogę.

Oszołomiona dziewczyna patrzyła, jak zamyka drzwi wejściowe i układa broń w zasięgu ręki. Potem Jack siadł na łóżku, musnął dłonią wciąż odsłoniętą nogę i ściągnął któryś ze swych butów.

Nim zdjął drugi, Chloe uległa niecierpliwości i pociągnęła go na łóżko, które zdecydowanie nie było tak miękkie jak dywanik.

Wszystkie wątpliwości wyparowały, a może po prostu ucichły spłoszone bliskością jego ciała. Miał perfekcyjną muskulaturę, a jego pocałunki świadczyły o pewności siebie i doświadczeniu. Nawet jeśli popełniała właśnie wielki błąd, przynajmniej mogła liczyć na parę orgazmów.

Między jednym pocałunkiem a drugim pozbyli się koszul, a Jack zadartł wysoko spódnicę Chloe. Nadal miał zapięte spodnie, ale nie zdążył zrzucić drugiego buta. Już chciała się domagać, by coś z tym zrobił, gdy mruknął:

– Twój brak bielizny wciąż mnie rozprasza.

Chloe przełknęła ślinę i już miała zamiar go przeprosić, ale jej słowa pochłonął jęk, gdy Jack niespodziewanie znalazł się między jej nogami i przystąpił do udowadniania zalet nienoszenia bielizny.

Pierwszy orgazm był potężny. Chloe przewróciła oczami i uniosła biodra, a potem rozkazała powoli i leniwie:

– Żadnych spodni. Proszę się rozebrać.

Wypuściła powietrze i powtórzyła, siląc się na większe zdecydowanie:

– Natychmiast proszę się rozebrać.

Jack roześmiał się i uszczypnął ją w udo.

– Tak jest, proszę pani.

Nim jednak spełnił polecenie, ktoś zapukał do drzwi. – Jack? – zawołał Edgar. – Muszę z tobą porozmawiać.

Chloe cofnęła się, ale Jack złapał ją za uda i przytrzymał. Uniósł głowę, spojrzał gniewnie na drzwi i warknął:

– Nie.

Chloe nie wiedziała, czy Jack próbuje ją zatrzymać, czy może zniechęcić Edgara.

– Jack! – powtórzył głośniej Edgar. – Śpisz?

– Poczekaj. Mary i ja... – Jack urwał w pół słowa i skrzywił się.

Chloe wciągnęła szybko powietrze. Mężczyzna spojrzał na nią, a wtedy ujrzała żal na jego twarzy. W niczym jej to jednak nie pomogło. Z każdym uderzeniem serca czuła coraz większy wstyd. Zachowała się jak idiotka.

– Nie chciałem... – szepnął Jack. – Cholera. Przepraszam.

Chloe ostrożnie wysunęła się spod niego i sięgnęła po stanik oraz koszulę.

Tłumiąc zażenowanie, powiedziała pozornie obojętnym głosem:

– Sprawdź, o co mu chodzi.

Potem odwróciła się i szybko zaczęła się ubierać.

– Chloe. – Jack położył dłoń na jej ramieniu, ale dziewczyna nie spojrzała na niego.

– Jack? – zawołał Edgar. – Musisz przyjść do Francisa.

W jego głosie bez wątpienia pojawiła się powaga.

– Niech to szlag – mruknął pod nosem Jack i ścisnął jej ramię. – Chloe, posłuchaj... Wróć jak najszybciej, dobrze? Nigdzie się stąd nie ruszaj.

Chloe nie odpowiedziała. Żadne z nich nie było w stanie powiedzieć czegokolwiek, by przestała się czuć jak idiotka. Zresztą sama dobrze wiedziała, że nie ma na taką rozmowę ochoty. Jedynym, co ją tu jeszcze trzymało, było to, że nie chciała wyjść wraz z nim. Szczerze powiedziawszy, sama nie wiedziała, czego właściwie chce, ale była pewna, że Jack musi zająć się swoimi ludźmi i sprawdzić, jak się miewa ranny.

Jack zawahał się na moment. Jedynym odgłosem w pokoju były ich oddechy. Nie ulegało wątpliwości, że Jack nie wie, co jej powiedzieć. Jego dłoń ześlizgnęła się z jej ramienia, a Chloe nie miała pojęcia, czy to dobry, czy może zły znak.

– Idź już – powiedziała.

Jack skrzywił się i zawołał:

– Zaraz! – Potem stanął przed nią i rzekł: – Wróć najszybciej, jak się da. Powiedziałem to z przyzwyczajenia, Chloe. To, co ci wcześniej mówiłem o Mary i o sobie, było prawdą od początku do końca. Ja dobrze wiem, z kim tu jestem. – Ujął jej twarz, przytrzymał i spojrzał jej w oczy. – Chloe? Słyszysz mnie?

Pokiwała głową, nabrała powietrza i spróbowała się uśmiechnąć, ale nie odpowiedziała. Co miałyby powiedzieć? Przecież to oczywiste, że nie była Mary. Nie miała zamiaru zastępować jego zmarłej kochanki. Zdradziła mu sekret, który tajiła od wielu lat. Odstąpiła przed nim więcej niż tylko ciało.

„To był błąd. Byliśmy na haju i popełniliśmy błąd”.

Tak brzmiała pierwsza zasada każdego alkoholika – nawal się, a zaczniesz podejmować błędne decyzje. Bała się tego, gdy znaleźli się sam na sam na pustyni, ale nie wiedziała, że tak szybko zrozumie, że się nie myliła.

Jack wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Chloe słyszała, jak cicho rozmawiali o kiepskim stanie Francisa. Na moment usiadła na łóżku, a gdy głosy oddaliły się, podniosła buty i broń. Zapięła pas, ostrożnie otworzyła

drzwi i wyszła na zewnątrz, trzymając buty w ręku. Nie mogła pozostać w tym pokoju. Wiedziała, że tak należy, ale nie była w stanie. Nie miała też pojęcia, który pokój tak naprawdę był „jej”. A może Jack oczekiwał, że będzie spać u niego?

Możliwe, że przesadzała, ale przez moment czuła się przy Jacku lepiej niż przy kimkolwiek innym w tym świecie, a teraz przez ową głupią decyzję wszystko uległo zmianie. Nie szukała męża i nie chciała rozpocząć życia w nowym świecie od przygodnej nocy z nieznanym. Ataki potworów, wypicie uzależniającej krwi i zabicie mnicha – wszystko to przytłaczało ją i przerażało, ale najbardziej przygnębiła ją świadomość, że rozpoczęła nowe życie w nowym świecie od kolejnego błędu co do mężczyzny. Jakże to wszystko było popieprzone. Musiała zaczerpnąć tchu.

Upewniwszy się, że na zewnątrz nie ma strażnika, Chloe cicho zamknęła za sobą drzwi i najciszej jak umiała zbiegła na dół. Musiała wyjść i się zastanowić. Gdyby została na miejscu, doszłoby do kolejnej głupiej awantury albo musiałaby się nauczyć reagować na imię obcej kobiety. Nie mogła się pogodzić z żadną z tych opcji.

## Rozdział 26

Jack nie miał ochoty na rozmowę z Chloe, ale wiedział, że musi ją przeprowadzić, i wracając do pokoju, miał nadzieję, że nie jest nazbyt rozgniewana lub co gorsza, zapłakana. Nie miał zamiaru się przed nią płaszczyć, ale doszedł do wniosku, że Chloe zasługuje na szersze objaśnienia. Niestety, nie był w stanie powiedzieć jej wiele więcej. Mary była jedyną kobietą, z którą sypiał przez ostatnich parę lat, a więc w stosunku do Chloe popełnił zwykły, ludzki błąd. Przecież towarzyszyła im zaledwie kilka dni. Przecież nie kłamał, gdy mówił Chloe, że nie ma zastąpić Mary w jego łóżku tylko dlatego, że się zjawiała tuż po niej. Cholera, przecież Mary również nikogo nie zastąpiła. Po prostu tak się złożyło, że się zaprzyjaźnili, a Chloe była... Cóż, Jack nie potrafił tego określić. Nie spodziewał się, że tak bardzo przypadnie mu do gustu, i nie miało to żadnego związku z tym, że pojawiła się po Mary. Moment był jednakże nie najlepszy i gdyby nie verrot, przypuszczalnie oparłby się pokusie. Spróbowałby najpierw lepiej ją poznać. Mimo to przybycie Chloe sprawiło, że w sercu Jacka pojawiło się coś zupełnie nieoczekiwanego. Dawno temu w Kalifornii zapewne zaczęłyby ubiegać się o jej względy, ale mieszkał teraz w innym świecie i prowadził inne życie.

„No i nie jestem już tym samym człowiekiem”.

Nie mógł się do niej zalecać, ale mimo to nadal czegoś pragnął. Nie potrafił uwierzyć w to, że jego uczucia były tylko skutkiem działania verrotu i tęsknoty za utraconą kochanką. Wiedział, że jest inaczej. Wiedział też, że musi odłożyć tę zagadkę na później. Teraz musiał się zająć potrzebami Francisa.

Edgar odsunął krzesło oparte o ścianę i otworzył drzwi do pokoju Francisa, o wiele mniejszego od pomieszczenia wynajętego przez Jacka. Francis spał w nim od lat – w Szubienicy mało co się zmieniało. Dobrze znali wszystkie pokoje do wynajęcia. Podobnie jak w wielu innych w Wąwozie stały w nim dwa wąskie łóżka, parawan i niewielki stojak z miską, obok którego leżało kilka złożonych ręczników.

Jack wszedł do środka i ujrzał lufę celującego w niego pistoletu, trzymanego przez jego młodszą siostrę. Uniósł ręce do góry i otworzył usta, chcąc przeprosić.

– Cholera jasna! – wyprzedziła go Katherine. – Zapukaj następnym razem albo chociaż powiedz, że wchodzisz! Po całym mieście włączą się cholerni mnisi i zbiry Ajaniego! Mogłam cię postrzelić!

– Przepraszam, Kit – burknął Edgar.

– Ktoś wpadł w nastrój matki-niedźwiedzicy – zaśmiał się Francis.

Katherine westchnęła, opuściła broń i poklepała go po ramieniu.

– Dobry z ciebie niedźwiadek.

– Niektórzy z nas nie są tak paskudnymi pacjentami jak inni – zażartował z niej Francis, a potem zwrócił głowę w kierunku głosu Edgara. – Jack, też tu jesteś?

– Stoję tutaj. – Jack spojrzał na krew wypływającą z jednego z przymkniętych oczu Francisa. Gdy przyjrzał mu się bliżej, odkrył, że nie jest to tylko krew. Ciecz była zanadto rozcieńczona i bardziej różowa niż czerwona. – Pali cię? Boli? Co możesz nam powiedzieć?

– Oboje oczu boli, ale to pali żywym ogniem. – Francis urwał, czekając, aż Katherine obetrze mu policzek, a potem dodał: – Rany nie leczą się w ogóle, Jack. Katherine próbuje uwierzyć w to, że proces leczenia jest wolniejszy niż dotąd, ale krwawienie ustałoby już dawno nawet bez verrotu. Drugie oko również zaczęłoby poprawnie funkcjonować. Coś jest nie tak.

– Cii! – szepnęła Kitty. – Nic ci nie będzie. Musimy tylko ustalić, co się właściwie dzieje. Garuda również nad tym pracuje, a tym masz przecież wystarczająco dużo ziół w obozie. Coś zaparzymy, wlejemy w ciebie verrot i szybko dojdiesz do siebie.

– Mam nadzieję – odparł Francis.

Jack nigdy dotychczas nie słyszał, by ten mówił tak niepewnie.

Troska na twarzy Katherine była bardziej widoczna niż zazwyczaj, gdy ktoś z nich odnosił rany, ale Jack wytłumaczył to sobie tym, że Francis jej nie widzi. Otarła twarz rannego, a potem uniosła drugą dłoń i przytknęła palec do ust. Jack skinął na znak, że dobrze ją rozumie, a potem wskazał drzwi.

– Czytacie sobie z ruchu ust? – spytał Francis. Odwrócił głowę ku nim, nadal mając zamknięte oczy, i dodał: – Skoro nie macie zamiaru omówić przy mnie swych planów, idźcie zrobić to gdzie indziej. Potrzebna mi pomoc, a nie współczucie.

– Francis – zaczęła Katherine, ale słowa uwięzły jej w gardle.

Po chwili ranny westchnął i rzekł:

– Przecież wszystko gra, Kitty. Idź i porozmawiaj z Jackiem. Edgar?

– Jestem tu – odezwał się gangster, który stał oparty o ścianę. Zerknął na Jacka, który skinął głową z aprobatą, i zaproponował: – Zostanę tutaj, póki nie wrócą. Nie wydaje mi się, by Melody dobrze się czuła po wypiciu verrotu.

– A niby dlaczego Hector czekał na korytarzu? – parsknął Francis. – Miał nas strzec przed kłopotami, a gdyby Melody pozostała w tym samym pokoju chwilę dłużej, mógłbym zacząć rzucać nożami na ślepo.

– Rozgryziemy twój problem – obiecał Jack.

– Oczywiście, że tak! – szepnęła Katherine głosem, którym zdaniem Jacka odzywałaby się do swoich dzieci.

Ostrożnie złożyła kolejną szmatkę i przykryła nią oko Francisca.

Edgar bez pytania oderwał kolejny kawałek płótna i podał jej. Katherine od lat zajmowała się wieloma rannymi w ich grupie i starannie troszczyła się o Francisca. Przywiązała szmatkę do jego oka, by zatrzymać krew, łyzy i ropę. Jack przyglądał się jej uważnie. Rozumiał doskonale, że więź między nimi powstała, gdy dzielili się obowiązkami. Od wielu lat opieka nad rannymi Przybyszami spoczywała na jej barkach, lecz Francis często przychodził jej z pomocą i zdejmował choć część owego ciężaru. Był dla Kitty tym, kim Edgar dla Jacka. Ubrany na czarno gangster pomagał mu przecież utrzymać porządek i ramię w ramię z nim wkraczał w najgorsze rozróby.

– Gdzie jest Chloe? – spytała Katherine, nie unosząc spojrzenia znad związanego opatrunku.

Jack nie miał zamiaru przyznawać się do niczego, bynajmniej nie dlatego, że zrobił coś złego, ale dlatego, że nikt nie miał prawa wtykać nosa w to, co zaszło między nim a nowo przybyłą.

– Odpoczywa w moim pokoju.

– W twoim pokoju?

Kitty zacisnęła usta.

– Ty przebywałaś z Francisem, ona nie zna Hectora i Melody, a...

– A ty gapisz się na nią, jakby była smakowitą przekąską, od chwili jej przybycia – przerwała mu Katherine. – Bądź poważny, Jackson. Nie wiemy nawet, czy ona zostanie z nami, czy może przyłączy się do Ajaniego. Masz rację, nie powinna zostawać sama, ale powstrzymaj się od ściągania portek, dopóki nie dowiemy się o niej więcej.

Jack mógł powiedzieć siostrze wiele rzeczy, ale smutna prawda polegała na tym, że niestety miała rację. Każdy, kto przybywał na Bezdroża, był mordercą i nie wolno było tego ignorować. Należało skupić się na pracy.

Tylko dzięki temu udało mu się zachować zdrowy rozsądek przez ostatnich dwadzieścia sześć lat. Trzeba się było skupić na zadaniu, tylko na zadaniu.

Katherine wpatrywała się złowrogo w Jacka, jakby prowokowała go, by jej zaprzeczył, a on przez moment bawił się tą myślą. Wiedział jednak, że kłótnia w niczym im nie pomoże, i postanowił zmienić temat.

– Nim przystąpimy do jakiegokolwiek działania, porozmawiajmy z Garudą. Tylko on może wiedzieć, co się naprawdę dzieje.

Spojrzenie Katherine straciło ostrość, co oznaczało, że toczy rozmowę w myślach. Jack nauczył się rozpoznawać ów objaw.

„Jak to możliwe, że nie zauważyłem tego przez tyle lat?” – pomyślał.

Katherine spojrzała na brata i rzekła:

– Myślę, że możemy go dziś wieczór odnaleźć.

Jack pokiwał głową. Nie powiedział tego na głos, ale cieszył się, że znali sposób, by szybko kontaktować się z Garudą. Nikt z ludzi bądź istot spotkanych tutaj przez Jacka nie wiedział tyle o Bezdrożach co bloedzuiger. Jeśli w ciele Francisa krążyła trucizna, Garuda mógł poznać jej nazwę. Jeśli użyto przeciwko niemu magii, mógł ich poprowadzić ku odpowiedziom. W takich chwilach przyjaźń Garudy była dla Jacka czymś bezcennym. Zabijanie wrogich istot przychodziło mu bez trudu, ale nie miał pewności, jak należy postępować z raną, która nie chciała się goić pomimo szczególnych umiejętności, jakich nabywali po przybyciu na Bezdroża. Przebywał w tym świecie dłużej niż w rodzinnym i przywykł do tego, że ich obrażenia goiły się samoistnie.

– Możemy też omówić inne rozwiązania. Może trzeba by posłać Melody i Hectora do obozu, by przynieśli resztę verrotu.

– Pewnie.

Katherine spojrzała na Francisa, ale nawet nie drgnęła.

Edgar podszedł do drzwi, otworzył je i wziął krzesło stojące na zewnątrz, przypuszczalnie pozostawione tam przez Hectora. Nie zamknął jednak drzwi, lecz spojrzał na Katherine.

– Zajmę się nim, Kit – oznajmił. – Idź.

Katherine pocałowała Francisa w czoło, a potem wyszła z pistoletem w dłoni. Gdy znaleźli się na zewnątrz, zapytała:

– Chcesz pogadać w którymś z wolnych pokojów czy może w...

Wskazała gestem jego własny.

– Może być twój – odparł Jack. – Jeśli Edgar nie zostaje u ciebie, później przeniesiemy tam Chloe.

Nie miał pojęcia, co pocnie, gdy się okaże, że Edgar zostaje u Katherine



na noc. Mógłby co prawda kazać siostrze przyjąć nowo przybyłą do siebie, ale wolałby dać Edgarowi i Kitty nieco przestrzeni, by wreszcie ułożyli swoje stosunki. Poza tym, nawet jeśli wybaczenie przychodziło Chloe z trudem, Jack i tak wolałby dzielić z nią pokój. Podłoga wcale nie była twarda, a poza tym miał nadzieję, że uda im się powrócić do momentu tuż przed tym, jak wszystko schrzanił.

Nie miał jednak najmniejszego zamiaru roztrząsać swojego emocjonalnego bałaganu z siostrą, a więc ograniczył się do pytania:

– Czy powiedziałaś Garudzie wszystko?

– Tak. – Katherine otworzyła drzwi do niewielkiego pokoiku, który był jej sypialnią. – Udał się do Szczeliny, ale niedługo wróci.

Jack wszedł w ślad za nią do pokoju i zamknął za nimi drzwi.

– Ma jakieś inne pomysły?

– Trucizna. – Katherine opadła na podłogę, nie kryjąc zmęczenia, co jej się rzadko przytrafiało. – Mnisi. Ajani. A może „typowa zapaść nietypowej fizjologii”. O tym właśnie myśli Garuda.

Popatrzyła na Jacka z rozpaczą w oczach, co przypomniało mu ich pierwsze lata na Bezdrożach, kiedy cały ten świat był dla nich obcy. Zareagował tak samo jak wówczas – spojrzał na siostrę i odezwał się tonem człowieka, który dobrze wie, co robi:

– Podamy mu verrot. Pogadamy też z Garudą, a jeśli niczego nie ustalimy, udam się do gubernatora Soanesa. Może coś wie, a może sam jest w to wmieszany? Dowiem się, o co chodzi, i wszystko będzie dobrze.

Miał wielką nadzieję, że się nie myli.

## Rozdział 27

Chloe spodziewała się, że na parterze zastanie kogoś z Przybyszów, ale nikogo tam nie było. Być może wszyscy siedzieli i radzili nad rozwiązaniem kryzysu, który wymagał obecności Jacka, a może zajmowali się czymś innym? Dziewczyna była pewna tylko tego, że jeśli zostanie w knajpie, zaraz sięgnie po coś mocniejszego. Był to kuszący pomysł, ale przecież piła już verrot, co pociągnęło za sobą spore konsekwencje. Gwoli ścisłości jej popijawa w D.C. też nie uszła jej na sucho, co pokrótce oznaczało, że picie było kiepskim pomysłem, bez względu na to, gdzie się to działo.

To, że jeszcze przed kilkoma minutami była w łóżku z Jackiem, wydawało jej się większą abstrakcją od tego, że przebudziła się w nieznanym świecie. Niestety, było to dla niej również mniejsze zaskoczenie. Już dawno przestała się łudzić, że przyciąga do siebie dobrych mężczyzn. Jej związki były decyzjami złymi albo fatalnymi. Nie mogła mieć do siebie pretensji, gdy trafiała do czyjegoś łóżka po pijanemu, ale pozostałe sytuacje układały się wręcz w prawidłowość. Fajni faceci jej nie pociągali albo nie zwracali na nią uwagi. Gdyby nazwanie Chloe imieniem zmarłej kochanki było największym błędem Jacka, stanowiłby on najmniejszy z jej błędów życiowych. Bobby, na przykład, zapomniał jej powiedzieć, że w paczkach, które odebrała od jego przyjaciela, znajdowały się narkotyki. Michael nie sprecyzował, że sformułowanie „była żona” oznacza jednocześnie „żona, która z ochotą wbije ci nóż w plecy za to, że ze mną sypiasz”. Allan spędził więcej czasu w więzieniu niż w szkole. Isaiah był fajnym gościem, dopóki nie dopadł go głód narkotyczny i przemocą powłókł ją przez parking do najbliższego bankomatu, by wyciągnąć forszę i kupić działkę. Wszyscy z początku wydawali się fajnymi facetami, nieco szorstkimi w obyciu, ale wołała tych gości w dzinsach, bo mężczyźni w garniturach wytrącali ją z równowagi. Umawiała się tylko z dwoma takimi – z Jasonem, którego później zabiła, oraz tym drugim, który przeleciał jej szefową, przez co Chloe poszła w tango i wylądowała na Bezdrożach. Mężczyźni, którzy jej się podobali, przynosili tylko kłopoty, bez względu na to, czy nosili dzinsy, czy może garnitury.

– Ciekawe, czy kiedyś wyciągnę jakieś wnioski, do cholery – mruknęła pod nosem.

Stała nieruchomo u dołu schodów. Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Może verrot przestawał działać? Może ów nowy dziwny świat tak na nią oddziaływał? Może żałowała tego, że znalazła się w łóżku z kolejnym życiowym błędem? Powód nie miał większego znaczenia. Chloe chciała po prostu uciec i się schować.

Gwałtowana ucieczka jednakże przyciągnęłaby zbyt wiele uwagi. Chloe uśmiechnęła się więc szeroko do kilku klientów w ciemnym pomieszczeniu, a potem wyprostowana ruszyła z pewnością siebie w stronę wyjścia, ignorując czujne spojrzenia bywalców. Niektórzy przypominali z wyglądu ludzi, ale byli tu i tacy, których nie potrafiłaby zidentyfikować. Nie wiedziała zresztą, co decyduje o tym, że człowiek jest człowiekiem. Niziutkie, krępe istoty z wielkimi uszami, które trzymały się ciemniejszych kątów, oraz chude, szczupłe przy nielicznych oknach wyglądały jak ludzie dopóty, dopóki nie przyjrzała im się lepiej. Dostrzegała wówczas kilka szczegółów, które odróżniały ich od zwykłych obywateli jej świata. Nie wiedziała, co bardziej wyprowadza ją z równowagi – istoty zgoła odmienne, jak bloedzuigery, czy może te, które odróżniały się od ludzi jedynie drobnymi szczegółami. Nie mogła uwierzyć w to, że znalazła się w całkiem obcym sobie świecie, a mimo to nadal odczuwała ten sam gniew, ból i irytację co w rodzimym.

Wkrótce odkryła, że podobnie jak w D.C. musi iść, by oczyścić umysł. Tym razem nie szukała już knajpy, co oznaczało, że czyni postępy. Postanowiła, że się przejdzie, uspokoi, wróci do gospody i zacznie udawać, że nic się nie stało. Ten plan miał sens. Nie chciała już dłużej interesować się Jackiem i nie miała zamiaru wracać do chwili, w której im przerwano.

Blask słońca był tak oślepiający, iż Chloe zamrugała parokrotnie. Jego ostrość przypominała dziewczynie, że wiedziała zbyt mało o pustyni, by próbować ją pokonać. Bezdroża były pełne potworów, a miała zaledwie kilka kul, o wiele za mało, by rozpocząć podróż. Może należało zostać w mieście? Wystarczyłoby znaleźć kogoś, kto dałby jej zarobić na wikt i opierunek. Musiała stanąć na nogach, ale bez pracy nie mogła nawet marzyć o niezależności.

Wyszła na ulicę i ruszyła przed siebie. Nie miała wielu umiejętności, które mogłyby się tu na coś przydać – jak dotąd nie natknęła się na żaden ślad współczesnej technologii – ale mogła przecież nosić tacę czy trzymać miotłę. Znalazła się na nieznanym sobie ulicy i zaczęła przyglądać się szyldom w poszukiwaniu pracy. Ku jej uldze nigdzie nie widziała Hectora ani Melody.

Na kolejnym skrzyżowaniu Chloe ujrzała zmierzającego ku niej mężczyznę. Uśmiechnął się do niej przyjaźnie, ale nie złożył jej staroświeckiego ukłonu, co czyniło tu wielu innych ludzi. Odpowiedziała uprzejmym uśmiechem.

– Nazywasz się Chloe, prawda? Jesteś przyjaciółką Kitty? Słyszałem, że pojawiła się w Szubienicy z kimś nowym – rzekł i wyciągnął rękę. – Mam na imię Daniel.

Chloe zawahała się, ale ujęła jego dłoń.

– Cześć.

– Czy Kitty nadal robi zakupy? – Daniel spojrzał na okoliczne budynki, a potem dodał konspiracyjnym szeptem: – Bywa, że zakupy całkiem ją pochłaniają. Zdarzało się, że stałem przez parę godzin na ulicy i czekałem, aż podejmie decyzję. Gdy w końcu wychodziła ze sklepu, okazywało się, że wybór ją przerósł i kupiła obie rzeczy.

Zaśmiał się cicho.

Chloe odpowiedziała uśmiechem.

– Nie wiem, gdzie teraz przebywa. Chciałam się przejść.

Daniel zmarszczył lekko brwi i zaproponował:

– Mogę ci towarzyszyć?

– Nie idę w żadnym konkretnym kierunku – powiedziała.

Daniel wydawał się miłym człowiekiem, ale ona nie życzyła sobie żadnego towarzystwa.

– Jesteś tu po raz pierwszy? – nalegał.

Chloe pokiwała głową.

– To miejsce nie zawsze jest przyjazne dla samotnych ludzi. Mogę ci pokazać najważniejsze miejsca do powrotu Kitty.

Odwrócił się i ruszył w kierunku, z którego właśnie przyszła. Chloe nie udała się w ślad za nim, a wtedy Daniel obejrzał się i zapytał:

– Chyba że się z kimś umówiłaś?

– Nie.

Przeszli razem kilkanaście metrów. Daniel uśmiechnął się do niej wesoło i rzekł:

– O, jesteśmy.

Wskazał jej niewielki rynek.

– To Billbee's. Na ogół sprzedają miejscowe produkty, ale czasami można tu kupić luksusowe towary zza Szceliny. Ceny nie są wygórowane. – Następnie wskazał budynek z ciemnymi okiennicami, który wydawał się nieczynny. – To siedziba Milla. Zajmuje się pożyczkami. Gwarantuje

dyskrecję, ale żąda absurdalnych procentów.

Chloe próbowała obudzić w sobie przyjazne odczucia. Daniel wydawał się miłym człowiekiem i był dość przystojny. Może jego towarzystwo dobrze jej zrobi po zamęcie w głowie wywołanym przez Jacka. Myśl ta obudziła w niej poczucie winy i zaczęła się rumienić. Daniel był przyjacielem Kitty i próbował jej pomóc, a ona ozięble chciała go potraktować jako odskocznię?

– Chloe? – spytał Daniel. – Nic ci nie jest?

– Mam za sobą kilka trudnych dni – przyznała.

Daniel zamilkł, jakby zastanawiał się nad sytuacją, a potem zaproponował:

– Zjemy coś razem? Zatrzymałem się na obrzeżach miasteczka, ale mój gospodarz ma wygodną jadalnię i znakomitego kucharza.

– Sama nie wiem.

Chloe skrzyżowała ramiona.

Musiała przyznać, że dobrze by jej zrobiło kilka chwil z dala od Przybyszów. Ostatnie kilka dni było koszmarem i dobry obiad w towarzystwie sympatycznego tubylca byłby miłą odmianą. Niestety, nie oznaczało to, że może mu łatwo zaufać.

– Mały dziś pożytek z mojego towarzystwa, a ty pewnie masz ważniejsze sprawy na głowie.

– Czy może być coś ważniejszego od kilku chwil z piękną kobietą? – zaśmiał się cicho. – Nie wiem, czy jest coś lepszego, zwłaszcza tu, na Bezdrożach.

– Ja nie jestem... – Chloe pokręciła głową. – Nie znam cię.

– Możemy spytać Kitty czy kogoś z pozostałych o to, kim jestem. O, mam lepszy pomysł. Jeśli chcesz, idź sama, a ja zaczekam tutaj – zaproponował Daniel.

Chloe zastanowiła się. Nie miała na razie ochoty wracać do Wąwozu.

– Chciałam poszukać jakiejś pracy. Właśnie tu przyjechałam i powinnam jakoś ułożyć sobie życie – spróbowała go zbyć, choć jej słowa nie były do końca wymysłem.

– Mieszkam tu od lat. – Daniel się uśmiechnął. – Z tym też mogę ci pomóc.

– Dlaczego?

– Przyjaźnisz się z Kitty, a Szubienica jest niebezpiecznym miejscem. Ty zaś nie masz nikogo z Przybyszów przy sobie. Daj się skusić, dobrze?

Nadal wydawał się jej przyzwoitym człowiekiem.

– Mam wrażenie, że przyda ci się jakaś przyjazna dusza. Znam ten stan, wierz mi.

– OK – powiedziała cicho, decydując, że zaufa instynktowi. – Chętnie coś zjem, ale muszę powiadomić resztę, gdzie poszłam.

– Jasne! – Daniel rozejrzał się i skinął na jakiegoś człowieka.

– Czy mógłbyś zanieść wiadomość do...

Zerknął na Chloe.

– Zatrzymaliście się w Wąwozie, jak sądzę? Tam z reguły nocuje Kitty.

Chloe pokiwała głową w milczeniu.

– Przekaż Katherine Reed, kobiecie od Przybyszów, że zaprosiłem Chloe na obiad – rzekł Daniel, uśmiechnął się do towarzyszki i dodał: – Aha! Niech Kitty do nas dołączy, jeśli ma ochotę.

Pustynne słońce prażyło bez litości i samo oddychanie było wysiłkiem, od którego skóra Chloe spływała potem. Mimo to Daniel podał jej ramię, co na pustyni było gestem zupełnie pozbawionym sensu. Dziewczyna zawahała się, ale w końcu ujęła go pod rękę. Miał na sobie koszulę ze śliskiego, delikatnego w dotyku materiału przypominającego jedwab. Chloe spędziła w obozie jedynie kilka dni, z których niewiele pamiętała, a potem parę godzin w Szubienicy. Przez cały ten czas nie widziała niczego równie pięknego.

Szli przez zakurzone miasto, a Chloe ostrożnie zastanawiała się nad słowami. Miała tylko jeden pistolet i kilka kul, a mimo to szła przez obcą okolicę z dopiero co poznanym mężczyzną. Już raz zbyt szybko zawierzyła poznanemu tu mężczyźnie i teraz tego żałowała.

– Nie ufam ci – powiedziała wyważonym tonem. – Zgadzam się na obiad, ale to nie oznacza, że jesteśmy przyjaciółmi czy kimś w tym stylu. Z bronią też nie mam zamiaru się rozstać.

– To logiczna postawa. Przecież dopiero co tu przybyłaś. – Daniel obdarzył ją współczującym uśmiechem. – Powinnaś zatrzymać broń. To niebezpieczny świat.

Chloe pokiwała głową. Poczuła się uspokojona, ale jednocześnie zrobiło jej się głupio.

– Wiem, że jesteś jedną z nich – ciągnął Daniel. – Szubienica to niewielkie miasteczko i wszystko, co ma związek z Przybyszami, budzi wielkie zainteresowanie. Z którego jesteś roku?

– 2010 – mruknęła.

Daniel pokiwał głową.

– Pewnie wszystko wygląda zupełnie inaczej niż tutaj. Myślę, że innym

było łatwiej. Ta rzeczywistość jest o wiele łatwiejsza do przyswojenia dla ludzi, którzy żyli w trudniejszych czasach.

– Niektóre rzeczy są ponadczasowe – powiedziała, myśląc o tym, co czuła do Jacka, o spojrzeniach tubylców i o zwykłej potrzebie znalezienia jedzenia oraz dachu nad głową.

– Ale łatwo ci na pewno nie było – szepnął Daniel.

Dwie kobiety i istota bliżej nieokreślonej płci zamachały do nich z balkonu i zawołały coś.

– Znasz je? – spytała Chloe.

– To panienki do wynajęcia – rzucił swobodnym tonem Daniel. – To nie najgorszy z miejscowych burdeli. Specjalizuje się w zaspokajaniu nietypowych potrzeb.

– Och! – Chloe przyjrzała się im raz jeszcze.

Ani stroje całej trójki, ani wygląd budynku nie zdradzały, czym zajmowano się w środku, ale nie znalazła żadnego dowodu na to, że nie był to dom publiczny.

Szli w milczeniu, aż dotarli do budynku o wiele ładniejszego od wszystkich do tej pory przez nią widzianych. W porównaniu z innymi domami, w większości podupadłymi, ten wydawał się niedawno wzniesiony.

– Jesteśmy na miejscu – rzekł. – Chcesz najpierw coś zjeść czy może wykapać się? Służba przygotowuje ci kąpiel, a ja przypuszczam, że z ochotą spłuczysz piasek.

– To twój dom? – zamrugała Chloe.

– Nie, ale mieszkam tutaj.

Gdy podeszli bliżej, jakiś służący otworzył przed nimi drzwi. W środku czekał inny, odpowiedzialny za zdjęcie butów i umycie stóp. Trzeci wyszcotkował w międzyczasie ich ubrania, a ten, który otworzył drzwi, wymiół piasek na zewnątrz. Chloe nie miała pojęcia, czy była to ostentacja, czy może działania dyktowane względami praktycznymi. Gdyby zatrzymali obuwie, roznieśliby piasek wszędzie po domu.

– Kąpiel przygotowana – oznajmił jeden ze służących.

Daniel przechwycił spojrzenie Chloe.

– Nie skorzystasz? Zaczekam na ciebie w oranżerii. – Dziewczyna wahała się, więc dodał: – Poczujesz się lepiej. Potem coś zjemy, pogadamy i odprężymy się. Może Kitty wpadnie do nas w międzyczasie?

Trudno się było oprzeć pokusie. Po długich godzinach upału i walk marzyła o zanurzeniu się w wannie. Umyła się co prawda w namiocie, ale

takie ablucje nijak się miały do prawdziwego prysznicza.

– Dziękuję – powiedziała.

Idąc w ślad za milczącą służącą, Chloe przyznała w duchu, że była to znaczna poprawa w stosunku do Wąwozu i obozu, w którym się obudziła.



## Rozdział 28

Kitty i Jack wyteżali umysły, próbując znaleźć odpowiedni lek, ale bez powodzenia. Jack to siedział, to kroczył po pokoju, omawiając z siostrą kolejne pomysły, a Edgar strzegł Francisa. Hector i Melody nie wrócili jeszcze do gospody. W przeciwieństwie do reszty Przybyszów Melly jedynie na polowaniu zachowywała ciszę, dzięki czemu reszta grupy zawsze słyszała, kiedy wraca. Jack był jednakże spięty z innych powodów niż brak Melody czy Hectora. Tylko idiota uznałby jego nerwowość za echa zakończonego starcia lub nawet skutki wygaśnięcia działania verrotu. Nie, za wszystko odpowiedzialna była Chloe. Jack nie miał pojęcia, co się z nią dzieje, i nie mógł się przez to uspokoić. Kitty nie chciała być wścibska, ale zauważyła, że brat co chwila zerka na drzwi w nadziei, że usłyszy pukanie.

– A więc czekamy na Garudę – powtórzył.

– Tak. – Katherine rozciągnęła odpowiedź bardziej, niż chciała, a potem powiedziała. – A jeśli Hector zaraz nie wróci, ktoś musi udać się do obozu po verrot. Możemy pójść we dwójkę albo ja z tobą.

Omówili tę sprawę zaledwie dwie minuty temu.

– Dobra. W porządku. – Jack znów spojrział na drzwi.

– Dość tego! – warknęła Kitty.

– Czego?

– W ogóle nie skupiasz się na naszych sprawach – wytknęła mu. Jack nie odpowiedział, a wtedy Katherine wychyliła się na krześle i spytała: – Serio myślisz, że ona śpi?

– Nie.

Jack skupił uwagę na siostrze.

Nigdy dotąd nie wydawał się tak pełen winy.

– Coś ty zrobił?

Jej brat przez moment nie powiedział ani słowa. Nie wił się i nie wiercił – nie miał tego w zwyczaju – ale wstał i znów zaczął krążyć po pokoju. Wyrzwał przez niewielkie okienko, choć Kitty wiedziała, że poza nieciekawą, pylistą ulicą niczego tam nie ujrzy.

– Zwróciłem się do niej per „Mary” – odezwał się w końcu, stojąc plecami do siostry. Zerknął na nią i wyjaśnił: – Nie w rozmowie z nią. Edgar zapukał do drzwi, a ja powiedziałem, że Mary i ja jesteśmy zajęci.

Kitty spojrzała bratu w oczy, ale ten odwrócił wzrok.

– Dopiero co przybyła na Bezdroża – powiedziała. – Zresztą nawet gdyby była tu dłużej, nic by się nie stało, jeśliby ktoś zwrócił się do niej niewłaściwym imieniem. – Jack napiął mięśnie, a wtedy Kitty dodała: – Zrozumiałabym natomiast jej rozdrażnienie, gdyby znalazła się z kimś w intymnej sytuacji i w trakcie...

– Nie – przerwał jej Jack. Odwrócił się, założył ramiona na piersi i obrzucił siostrę pochmurnym spojrzeniem. – Nie nastąpiło to w trakcie niczego. Nie mieliśmy intymnych... My tylko... Do cholery, Katherine, mężczyźni nie omawiają takich spraw z siostrami.

– No to może chciałbyś to omówić z Chloe? – zasugerowała spokojnie Kitty.

Tym razem drgnął zauważalnie. Na jego twarzy pojawiła się udręka. Raz jeszcze spojrzał na wciąż zamknięte drzwi, a potem na swą siostrę.

– Chciałem pozostawić jej nieco przestrzeni.

– Tchórz.

Kitty wyszczerzyła zęby. Rzadko widywała go tak wyprowadzonego z równowagi i nie mogła się oprzeć, by z niego nie zażartować.

– Zdzira.

– Laluś bez jaj! – zaśmiała się Katherine.

– Herod-baba!

Napięcie Jacka zauważalnie zelżało, a przez jego usta przemknął uśmiech.

– Chcesz, bym z nią porozmawiała?

– Zrobiłabyś to? – Jack spojrzał na siostrę z wdzięcznością.

– Będziesz musiał jej powiedzieć, że zachowałeś się jak idiota i że powinieneś być uważać. Pewnie będziesz musiał błagać ją o wybaczenie, ale może wystarczy odkurzyć wdzięk pokerzysty, z którego kiedyś robiłeś dobry użytek.

Kitty poklepała go po ramieniu, a potem udała się na poszukiwania Chloe.

To, że mężczyzna w jego wieku bał się rozmawiać z kobietą, było nieco śmieszne, ale Katherine wiedziała, że Jack nigdy nie miał nikogo na dłużej. Sypiał z różnymi kobietami, bywało, że płacił im za seks, bywało, że nazywał je przyjaciółkami, ale Kitty nigdy nie widziała, aby z powodu którejkolwiek zachowywał się jak idiota. Cieszyła się z tego, jednak miała również nadzieję, że nie będzie musiała Chloe zastrzelić. Wydawała się przyzwoitą dziewczyną, ale to za mało, by nadawała się dla Jacka.

Zapukała do drzwi pokoju zawsze wynajmowanego przez jej brata.

– Chloe?

Nikt nie odpowiadał.

– Chloe, tu Kitty – zawołała głośniejszym głosem. – Śpisz?

Nadal nie było odpowiedzi. Katherine przekreśliła gałkę i odkryła, że pokój jest otwarty. Z przyzwyczajenia sięgnęła po broń.

„Na wszelki wypadek”.

– Chloe? Tu Kitty – powiedziała, wchodząc do środka.

Wystarczył rzut oka, by stwierdzić, że nowo przybyłej w pokoju nie ma. Po chwili przekonała się, że zniknęło wszystko, co do niej należało. Kitty nie odkryła również śladów walki czy jakichkolwiek niepokojących sygnałów, po czym wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Logika mówiła, że usłyszeliby, gdyby ktoś przechodził pod drzwiami pokoju Francisa. Chloe zaś na pewno narobiłaby sporo hałasu, gdyby ktoś wkradł się do niej potajemnie.

Poruszona Katherine powróciła do brata. Ten, widząc ją, wyjrzał na korytarz, by sprawdzić, czy Chloe nie idzie za jego siostrą.

– Nie ma jej – rzekła.

Jack zerwał się i wypadł na zewnątrz. Nie biegł, ale poruszał się tak szybko, że Kitty musiała przyspieszyć, by za nim nadążyć. Nie zastali Chloe w głównej sali gospody ani też na dziedzińcu. Hectora i Melody również tam nie było.

Jack wybiegł na ulicę i rozejrzał się. Na jego twarzy zamiast gniewu malował się niepokój i Kitty miała wielką nadzieję, że nowo przybyła nie wpakowała się w jakieś kłopoty. W mieście była o wiele bezpieczniejsza niż na pustyni, gdyż mało kto z miejscowych miał ochotę zadzierać z Przybyszami. Niestety, nie znali jeszcze Chloe. Mogliby pomyśleć, że to tylko nieznaną kobietą, która właśnie przybyła do Szubienicy.

Jack rozpoczął poszukiwania. Kitty podążyła za nim, gotowa w każdej chwili chwycić za broń. Świadomość, że Ajani przypuszczalnie współpracuje z mnichami, napawała ją niepokojem, a na wsparcie nie miała co liczyć. Edgar pilnował Francisa, a Hector i Melody znikli. Zazwyczaj, mając Jacka u boku, Kitty nie martwiłaby się zbyt wiele, ale ulice były dla nich groźne. Francisa oślepiła trucizna, a Jack nie panował nad sobą i dziewczyna żałowała, że nie może przywołać pozostałych Przybyszów na pomoc. Na szczęście był jeszcze ktoś inny.

„Garuda?”.

Natychmiast poczuła, jak w jej umyśle otwiera się przejście do Garudy.

Stary bloedzuiger jak dotąd postępował uprzejmie i sam nie otworzył go ani razu. Zachowywał się o wiele lepiej, co zdaniem dziewczyny było efektem ich rozmów oraz tego, że opowiedziała Jackowi o ich kontaktach. Zazwyczaj po wypiciu verrotu przysparzał jej wiele kłopotów.

„Czy ktoś jeszcze odniósł obrażenia? – spytał Garuda. W jego zazwyczaj spokojnym głosie pojawił się niepokój. – Mam nadzieję, że nie jest to Jackson ani twój samiec?”

„Nie. – Kitty uśmiechnęła się wbrew sobie, a potem dodała: – Mi też nic nie jest”

„Oczywiście, że nie – zachnął się Garuda. – Wiedziałbym o tym”.

Kitty zapamiętała ten szczegół i przekazała:

„Chloe zaginęła. Czy ktoś z twojej watahy ją widział?”

„Nie – odparł Garuda po chwili. – Szukają jej”.

Czekając na kolejne informacje, Kitty ruszyła w ślad za Jackiem. Dotarli do jednego z burdeli, który najwyraźniej był otwarty całą dobę. Było zbyt wcześnie na tłumy klientów, ale dziewczęta mimo to stały na balkonach lub w oknach, rozglądając się za kimś, kto byłby gotów rozstać się ze swymi pieniędzmi. Sam przybytek nie budził jej sprzeciwu, ale irytowało ją to, jak chętnie przyjmowano tu nowych Przybyszów do pracy. Miejscowi nie mieli specjalnej ochoty umawiać się bądź żenić z kobietami z innego świata, ale za seks z nimi byli gotowi zapłacić ekstra. Ich podejście budziło jej furję. Z tego powodu Jack nalegał, by Przybysze nie zgadzali się na seks z prostytutką za darmo, i za nic w świecie nie pozwoliliby, by ktoś od nich podjął dodatkową pracę w burdelu. Jeśli ktoś z ich grupy miał pragnienia, których nie mógł zaspokoić w obozie, miał płacić dokładnie tyle co miejscowi.

Oczywiście jego wysiłki, by Przybyszów traktowano w ten sam sposób co miejscowych, doprowadziły tylko do tego, że prostytutki uznały go za jeszcze bardziej atrakcyjnego klienta.

– Jack! – zawołały, a on ukłonił się im.

Kitty zmierzyła dziewczęta groźnym spojrzeniem, ale te uśmiechały się i machały do jej brata.

– Jeśli szukasz swojej panny, poszła gdzieś z Danielem! – krzyknęła jedna z nich.

– Bez oporów? – Jack napiął mięśnie.

– Chyba tak!

Bloedzuiger potwierdził jej słowa.

– Garuda mówi, że to prawda. – Kitty szepnęła do Jacka.

Jack nie odpowiedział, ale przez jego twarz przemknęła furia. Katherine nie miała pojęcia, co Chloe zrobiła bądź powiedziała Jackowi, ale żadna inna kobieta nie zawładnęła nim do tego stopnia. Kitty miała teraz ochotę zabić ją za to. Jack był tą osobą, która trzymała ich grupę razem w tym szalonym świecie. Był dla nich opoką w morzu chaosu, a teraz cierpiał z powodu Chloe. Kitty czuła się zdradzona i coraz bardziej zaniepokojona.

„Wielu Przybyszów rozmawia z Ajanim – przypomniał jej Garuda. – Daniel nie robi nic niecodziennego”.

„Proszę, oszczędź mi logicznych wyjaśnień – poprosiła go. – Znajdź lek dla Francisa. Ja zajmę się Jackiem”.

Garuda znikł. Inna prostytutka przechyliła się przez barierkę, pozwalając im zajrzeć w jej przepastny dekolt.

– Mogę ci poprawić nastrój, Jackson.

– Nie dziś.

Jack spoglądał w kierunku miejscowej rezydencji Ajaniego.

– Jack? – Kitty położyła dłoń na jego przedramieniu. Gdy na nią spojrział, powiedziała: – Może Daniel nie zabrał jej do...

– Katherine! – Brat przerwał jej pouczającym tonem, ale dziewczyna nie miała ochoty na jego oratorskie popisy. Uniosła dłoń.

– Jeśli Daniel zabrał ją do Ajaniego, co, trzeba przyznać, ma sens, będzie nadal miała wybór. Zresztą nie mamy pewności, że tam poszła. Daniel może natknął się na nią i... – Przygryzła język. Czy było sens mówić, że kobiecie, która jeszcze przed chwilą grzała łóżko jej brata, mogło przypaść do gustu towarzystwo Daniela? – Bez względu na to, co zadecyduje, nie będzie to twoja wina – dodała ostrożnie.

W oczach brata ujrzała ten sam ból co kilka dni temu, gdy Mary się nie przebudziła. Postanowiła, że jeśli Chloe w istocie zdecydowała się pracować dla Ajaniego, wpakuje w nią kulkę przy kolejnym spotkaniu. Ha, zrobi to nawet, gdy ta pójdzie z Danielem do łóżka! Żadna kobieta, która wpadła Jacksonowi w oko, nie miała prawa przejść na stronę Ajaniego bądź pieprzyć się z Danielem. Nie mogła uwierzyć w to, że wystarczyło kilka rozmów i nieco golizny, by Jack zwariował do tego stopnia, ale gdy patrzyła na jego twarz, nie miała wątpliwości, że Chloe stała się dla niego ważna.

– Francis nas potrzebuje – powiedziała. Czuła się winna, że zmusza go, by skupił się na Francisie, ale nie miała pojęcia, co robić. Jej brat milczał. – Proszę cię! Jeśli wedrzesz się do jego domu, on wejdzie do naszego – dodała. – Może zacząć mnie prześladować.

Jack spojrzął na siostrę.

– Nie zrobię niczego, co naraziłoby cię na niebezpieczeństwo.

– No to wróć ze mną – poprosiła go.

Jack pokiwał głową. Wiele lat temu zawarł z Ajanim dżentelmeńską umowę w kwestii postępowania z kolejnymi Przybyszami. Nie była ona tak złożonym kodeksem, jaki na przykład regulował życie bloedzuigerów, ale bardzo go przypominała. W przeciwieństwie do Przybyszów z najpóźniejszych epok Jack pochodził z czasów, kiedy obietnica złożona drugiemu człowiekowi miała wielkie znaczenie. Nikt nie wiedział, skąd pochodzi Ajani, ale on również przestrzegał ich układu. Jeśli Chloe znalazła się w którymś z domów Ajaniego z własnego wyboru, Jack nie mógł nic w tej sprawie zrobić. Gdyby przebywała w obozie Przybyszów, Ajani również miałby związane ręce.

Po chwili Jack z trudem odzyskał panowanie nad sobą i odwrócił się w kierunku Wąwozu.

– Przekaż Edgarowi, że ruszamy do obozu po verrot. Powiedz Garudzie, że spotkamy się na pustyni.

## Rozdział 29

Jack szedł zdecydowanym krokiem do Wąwozu, by zebrać sprzęt przed wyruszeniem na spotkanie z Garudą. Gdy stał na ulicy z siostrą, przez moment poważnie rozważał, czy nie rzucić wszystkiego w diabły dla kobiety, którą poznał kilka dni temu. Było to kompletnie irracjonalne. Przecież istniały zasady, których przestrzegano od ponad dwóch dekad. Ich pogwałcenie mogłoby narazić całą grupę na śmiertelne niebezpieczeństwo i konflikt, z którego nie można byłoby się wycofać. Ajani nie interesował się Przybyszami, którzy postanawiali związać się z Jackiem, a jeśli ci decydowali się przyłączyć do Ajaniego, Jack również nie interweniował. Ustalili, że nie będą używać siły ani przymusu. W rzeczy samej te zasady bardziej pomagały Jackowi niż Ajanieniu. Gdyby nie zawarta dżentelmeńska umowa, Ajani mógł przecież odebrać Katherine siłą. Pomimo istniejących zasad przestrzeganych jak dotąd przez obie strony Jack i Edgar robili wszystko, by Kitty ani na moment nie była sama.

Naraz Jack uświadomił sobie, że właśnie pozostawił ją samą na środku ulicy. Spojrzał przez ramię i z wielką ulgą zorientował się, że Katherine szła ku niemu.

– Nic mi nie jest – skłamał, gdy się zrównali.

Uśmiechnęła się, ale nadal wydawała się zmartwiona.

– Wiem. Ostatnio mamy mnóstwo spraw na głowie, ale damy sobie ze wszystkim radę. Francis dojdzie do siebie, a bez jednej osoby i tak sobie poradzimy. – Jack nie odpowiedział. – Może Chloe nie wybierze Ajaniego, Jack – dodała. – Nie martw się.

– Wiem, że ufasz Danielowi, ale to nie jest nasz przyjaciel.

Jack nie rozumiał powodów, dla których jego siostra nadal darzyła Daniela szczególnymi względami, ale w tej chwili nie potrafił rozgryźć nawet własnych emocji. Na pewno nie kochał Chloe, nie znał jej na tyle, by ją choć polubić. Wiedział tylko, że pojawiła się między nimi iskra, i dałby wiele, by się dowiedzieć, co z tego wyniknie, tym bardziej że od wielu lat sądził, iż nie jest do podobnych uniesień zdolny.

– Daniel nie jest złym człowiekiem – powiedziała cicho Katherine. – Nie twierdzę, że ma dobre serce. Nie wiem nawet, czy jego jedynym celem było przeciągnięcie dziewczyny pod skrzydła Ajaniego. Sugeruję jedynie, byś

zdobył się na odrobinę cierpliwości.

– Wiem, ale Chloe porzuciła nas dlatego, że ja wszystko spieprzyłem. Najpierw podałem jej verrot, a potem zabrałem na pustynię, gdzie... gdzie prawie do czegoś doszło.

Jack nie chciał spoglądać siostrze w oczy, więc podjął marsz.

– Potem już prawie... Prawie mieliśmy dokończyć to, co zaczęło się na pustyni, kiedy nazwałem ją imieniem innej kobiety. Czy miałyby jakiś sensowny powód, by z nami zostać?

– Na pustyni i tutaj? Wiem, że było ci przykro po stracie Mary, ale...

Katherine urwała i pokręciła głową. Przez moment szli w milczeniu, aż ciszę przerwał Jack:

– Nie kochałem Mary. Chciałem ją pokochać. Cholera, ona też tego chciała, ale nie potrafiłem rozbudzić w sobie uczucia. Nie wiem, kim jest Chloe, ale na pewno nie zastępczynią Mary.

– To powiedz jej o tym, gdy się spotkacie – zaproponowała Katherine. – To nie jest łamanie zasad. Zarówno Daniel, jak i Ajani bez przerwy namawiają mnie, bym do nich przystąpiła. Musisz tylko przełknąć dumę i powiedzieć jej prawdę, bez względu na to, kto będzie słuchał.

– Spodoba im się to, nie? – rzekł Jack z goryczą.

– Nie musisz tego robić. Pogódź się z tym, że jest w domu Ajaniego, a dopóki tak jest, dopóty może spać z kimkolwiek, ale nie z tobą.

Na myśl o Chloe w łóżku Ajaniego bądź Daniela Jack zatrzymał się w pół kroku. Nie zawrócił, ale chęć, by zastrzelić Daniela, była tak potężna, że mimowolnie sięgnął po broń. Jego dłoń natrafiła na pustkę i naraz Jack uświadomił sobie, że wyszedł z gospody nieuzbrojony.

Katherine, która na szczęście nie zapomniała o rewolwerze, stanęła przed nim.

– Jeśli Chloe tam zostanie, będzie dla nas równie martwa jak Mary.

– I jak Daniel? – spytał Jack i natychmiast pożałował swych słów.

– Dokładnie. Jak Daniel. – Katherine spojrzała znacząco na jego pustą dłoń. Jack nigdy nie wychodził bez broni, nawet gdy był pijany jak bela. Wszystko przez kobietę, o którą się zamartwiał. – Tak czy owak, dziś nic już w tej sprawie nie możemy zrobić, a już na pewno nie mamy czasu na twoje sprawy osobiste. Przynajmniej na razie. Muszę spotkać się z Garudą i sprowadzić verrot. Idź po sprzęt albo każ Edgarowi, by udał się ze mną, a sam niańcz Francisa.

Resztę drogi do gospody Jack pokonał w milczeniu. Jego siostra miała rację. Nie mógł pogwałcić zasad, które stworzyli wiele lat temu



i pielęgowali przez cały czas, ale logika nie była w stanie zdusić przemożnej ochoty, by rozwalić Ajaniemu głowę i wynieść stamtąd Chloe. Przez większość życia liczyły się dla niego jedynie misje, dobro całej grupy i działanie w słusznej sprawie. Nigdy dotąd nie zdarzyło się, by pożałował kogoś dla siebie.

Chwilę później, gdy byli niemalże w połowie drogi między Szubienicą i obozowiskiem, Jack i Katherine natknęli się na Garudę stojącego spokojnie na pustyni. Jak zwykle miał ze sobą obstawę, ale tym razem był to tylko jeden osobnik czekający na zwyczajowe powitanie. Była to dziwna tradycja, ale wiele lat temu Garuda wyjaśnił Jackowi, że jest to rytuał szacunku. Starcie między jednym z członków watahy i gościem miało decydować o przebiegu spotkania, ale Jack był świadom, że Garuda manipulował powitalnymi starciami, by osiągnąć w ten sposób własne cele. Stary bloodzuger od dawna wykorzystywał tradycję, by pozbywać się kłopotliwych nowo narodzonych lub okazać wyższość wobec gościa, i Jack oczekiwał, że młody osobnik zostanie szybko wyeliminowany, by mogli przejść do ważnych spraw.

Gdy uświadomił sobie, że towarzysz Garudy to starszy, obdarzony mową osobnik, rozejrzał się w poszukiwaniu innych, z którymi przyjdzie mu stoczyć pojedynek. Nie dostrzegł ani jednego.

– Mam z nim walczyć? – zapytał.

– Nie – padła odpowiedź.

– Nie jestem dziś w nastroju do zabawy. – Jack rozłożył ręce.

– Tradycja to nie zabawa, Jackson – skarcił go łagodnie Garuda, a potem spojrzał na jego siostrę. – Witaj, Katherine.

Ta minęła Jacka.

– Jestem gotowa.

Wtedy Jackson wszystko zrozumiał – oboje porozumieli się telepatycznie, a jego siostra miała teraz stoczyć walkę z jednym z najstarszych spotkanych przez niego bloodzugerów.

– W co wy, do cholery, pogrywacie?

Jack chciał złapać siostrę za ramię, ale ta wyślizgnęła się mu z nieludzką prędkością.

– Odsuń się! – syknął Garuda. – Katherine mnie wezwała, a więc to ona weźmie na siebie uprzejmości powitalne.

– Jeśli sądzisz, że pozwolę mojej siostrze, by...

– Zamknij się, Jack – przerwała mu Kitty. Uśmiechnęła się leniwie do Garudy, jakby cieszyła się na czekające ją wyzwanie. – I nie rozmawiajcie,

gdy będę walczyć.

Garuda wzruszył ramionami, a potem skinął na towarzysza, który błyskawicznie rzucił się na Katherine.

Kitty wykonała niezwykle sprawny unik. Jack otworzył szeroko usta, zaskoczony szybkością, z jaką się poruszała. Myślał, że Katherine nigdy go już niczym nie zadziwi, ale widząc, jak kopie i okłada pięściami bloedzuigera, szybko zmienił poglądy.

– Nie walczyła tak w Szubienicy – mruknął do Garudy.

Bloedzuiger ograniczył się do skinięcia głową, skupiony na walce. Nagle rzucił w walczących ostrzem, ale Katherine złapała je bez trudu, nawet na nie nie patrząc.

– Próbujesz mnie zabić? – parsknęła.

– Nie. To był test – odparł Garuda. – Możesz czytać jego myśli, Katherine. Wniknij w niego przeze mnie i spróbuj przewidzieć jego ruchy.

Podszedł bliżej i skinął na podwładnego.

– Szybciej.

– Nie przybyłam tu, byś mnie testował! – warknęła Kitty i ruchem zbyt szybkim, by Jack zdołał go dostrzec, przebiła obie dłonie bloedzuigera jednocześnie, unieruchamiając je.

Pomimo unieruchomionych kończyn bestia nadal usiłowała zaatakować. Katherine złapała ją za ramiona i szarpnęła mocno, wyginając przeciwnika i przewracając na plecy. Potem kopnęła go z całej siły w szczękę, odrzucając jego głowę w bok.

– Zakończ to! – nakazała.

– Wymogi tradycji zostały spełnione – rzekł cicho Garuda.

Kitty zrobiła krok w stronę starego bloedzuigera. Jack zadał sobie w myślach pytanie, czy nie będzie musiał zainterweniować, gdyż jego siostra wyglądała, jakby zaraz miała rzucić się na Garudę.

– Nigdy dotąd nie widziałem istoty, która byłaby zdolna do tego co ty – rzekł stary bloedzuiger i oblizał usta.

Jack miał nadzieję, że zrobił to nieświadomie. W przeciwnym razie byłaby to otwarta prowokacja.

– Jestem człowiekiem – sprzeciwiła się dziewczyna.

– Coraz bardziej przypominasz moich pobratymców – dodał Garuda.

Mówił spokojnym tonem, ale słowa najwyraźniej miały na celu ją rozdrażnić.

Katherine zmrużyła oczy.

– To, że reaguję w szczególnie sposób na twą krew, wcale nie oznacza, że

jestem potworem.

– Ja też nie jestem potworem, Katherine – westchnął Garuda.

– W moim świecie...

– To nie jest twój świat – zbeształ ją bloedzuiger. – Jesteś w tym świecie i coraz bardziej nas przypominasz swoimi zachowaniami. Teraz, gdy zaakceptowałaś unię między nami, jesteśmy jeszcze bliżej siebie. Tylko dwoje ludzi na tym świecie jest w stanie tego dokonać.

– Dwoje? – przerwał Jack. – Kto jest tym drugim?

Garuda spojrzał Jackowi w oczy.

– Ajani – rzekł.

Oczy Katherine rozbliły.

– Ajani? – spytała, celując dłonią w Garuda. – Nasz największy wróg reaguje w ten sposób na verrot, a ty nic mi o tym nie mówisz? Mogłeś przynajmniej powiedzieć Jackowi!

Chciała wbić palec w pierś Garuda, lecz ten złapał ją za rękę.

– Jesteś do nas podobna, a przez to wiele cię łączy z moją watahą, ale to nie oznacza, że będę tolerował zniewagi, Katherine – rzekł bloedzuiger. Trzymał ją bez zauważalnego wysiłku, choć dziewczyna miotła się i szarpała. – Trzeba przestrzegać protokołu. Mogłem ci o wszystkim powiedzieć dopiero we właściwym momencie.

Następnie spojrzał na Jacka.

– Jesteście wybuchowymi istotami. Nie wiem, jak byście zareagowali, gdybym wam zdradził ten fakt wcześniej.

– To z jego powodu zabroniłeś swojej watasze i sojusznikom dostarczać im verrot, prawda? – spytał rewolwerowiec. Garuda skinął głową, a wtedy Jack rzekł: – Ajani i Katherine to jedyni ludzie na Bezdrożach, którzy reagują w ten sposób na verrot.

– Czy wcześniej byli gdzieś im podobni?

– Nie.

Garuda wbił wzrok w Jacka, choć nie kwapił się, by przekazać kolejne informacje. Nawet w tej chwili przestrzegał zasad obowiązujących wśród jego pobratymców, ale Jack miał wrażenie, że gdyby Garuda potrafił, chętnie wbiłby owe myśli prosto do jego umysłu.

Nie było to jednakże konieczne. Odpowiedź nasuwała się sama.

– Twoim zdaniem Ajani nie pochodzi z tego świata – rzekł.

– Tak mi się wydaje – odparł Garuda spokojnym głosem. – Sądzę tak od pewnego czasu, ale dopiero po tym, jak Katherine zdradziła ci swój sekret, otrzymałem sposobność, by sprowokować tę myśl w twoim umyśle. Istnieją

pewne zasady. On ich nie rozumie, ale ty tak, Jackson.

Kitty patrzyła to na jednego, to na drugiego.

– Może i dysponuję niektórymi spośród twoich cech, ale tą jedną na pewno nie. Mów jasno i przejrzyście! Czy to naprawdę takie trudne?

Garuda zauważalnie zeszywniał.

– Mówię wystarczająco wyraźnie. Nie mogę naruszyć etykiety.

– Kather...

– Masz rację. – Dziewczyna przerwała bratu. – Przepraszam.

Bloedzuiger, z którym walczyła Kitty, podszedł do nich i wręczył dziewczynie butelkę verrotu.

– To dla was. Dla rannego członka watahy.

Garuda rozpromienił się, a jego nieprzyjemnie czerwone wargi uformowały najradośniejszy uśmiech, jaki Jack kiedykolwiek widział w wykonaniu bloedzuigera. Spojrzał na Katherine z niemalże ojcowską dumą i rzekł:

– Lekarstwa w połączeniu z verrotem postawią waszego Francisa na nogi. Pomimo moich wątpliwości udowodniłaś, że zasługujesz na moje uznanie. – Potem spojrzął na drugiego bloedzuigera. – Ty zaś zdobyłeś prawo do własnego terytorium na pustyni, Styrr.

Styrr uklonił się.

– Będę bronił jej i terytorium nawet za cenę własnego życia. – Wyprostował się i spojrzął na Katherine. – Mam nadzieję, że nie zginiesz w nadciągającym starciu.

Jack był pewien, że jego siostra odwzajemni się kilkoma ostrymi słowami, ale ta jedynie pochyliła głowę i szepnęła:

– Ja też.

## Rozdział 30

Kitty spojrzała na świeżo mianowanego wasala Garudy, a potem na niego samego. Właśnie okazało się, że jej niechęć do wyjawienia sekretu miała poważne konsekwencje, i nie wiedziała, co ma o tym myśleć. Ciekawe, co jeszcze przeoczyła bądź przeinaczyła tylko dlatego, że nie pojmowała zasad rządzących kulturami Bezdroży. Tradycje i zachowanie górników wydawały jej się logiczne, gdyż przypominali oni ludzi, których pamiętała z Kalifornii, ale nigdy nie próbowała zrozumieć bloedzuigerów. Tak naprawdę to nie wiedziała, czy rozumie nawet ludzi mieszkających na Bezdrożach.

– Wierysz w to, że Ajani wysłał na nas braci?

Garuda spojrzał jej w oczy i odezwał się zarówno na głos, jak i w jej umyśle:

– Czy jesteś krewną mojej watahy, Katherine?

Dziewczyna miała wrażenie, że te słowa niosą się echem, rozciągają w cieniutkie nici i docierają do wszystkich bloedzuigerów na Bezdrożach. Czują, jak owe nici oplatają jej umysł i łączą ją z nimi.

– Tak.

Nici zakorzeniły się we właściwych miejscach i Kitty uświadomiła sobie, że Garuda przekazuje jej dostęp do wielu setek pobratymców. Dopóki miała verrot w żyłach, dopóty mogła połączyć się z nimi wszystkimi. Uświadomiła sobie, że ten poziom dostępu jest osiągalny jedynie dla najstarszych członków jego plemienia.

– Pewności nie mam – odpowiedział na jej pytanie, ale dodał w jej umyśle:

„Porozmawiałbym z gubernatorem Soanesem. Słuchaj watahy i przyjrzyj się temu, co widzieli”.

Postąpiła zgodnie z jego radą. Żaden z bloedzuigerów nie był w stanie przedstawić jej dowodu na to, że Ajani skontaktował się z mnichami, ale jej umysł zalały krótkie obrazy i impresje. Napływały w takim tempie, iż sądziła, że nie jest w stanie ich przetworzyć. Naraz uświadomiła sobie, że osunęła się na kolana, a w międzyczasie obrazy zaczęły układać się w bardziej spójną całość.

„Ajani odwiedził gubernatora. Stali na ulicy i rozmawiali, a potem Ajani spojrzał na przyglądającego się im bloedzuigera”.

W jej wizji jednocześnie była tym bloedzuigerem, jak i nim nie była. Ajani patrzył na nią.

„Spojrzał na nas. Na watahę”.

– Katherine? – potrząsnął nią Jack.

„Bracia przybyli do gubernatora. Czterech wkroczyło do biura. Mieli szare szaty”.

– Co się dzieje?

Jack otoczył ją ramieniem, a Kitty jednocześnie czuła jego dotyk, jak i go nie czuła. Nie mówił do niej. A może mówił? Była połączona z całą watahą. Słyszała jego słowa nie bezpośrednio, ale przez Garuda.

„A więc to dlatego jego dotyk wydaje się taki dziwny” – powiedziała do bloedzuigera.

„Skup się na informacjach” – usłyszała w odpowiedzi.

Kitty odepchnęła bodźce z zewnątrz i powróciła do wspomnień watahy.

„Trzymajcie się z daleka od panny Reed” – warknął Ajani.

Nigdy dotąd tak bardzo nie przypominał potwora. Klęczał przed nim jakiś człowiek pilnowany przez dwóch ochroniarzy. Nie widziała jego twarzy, ale z narastającym przerażeniem uświadamiała sobie, że chyba go zna.

Ajani zwrócił się do trzeciego ochroniarza.

„Niech pocierpi, ale ma być w dobrej formie przed powrotem do Szubienicy”.

Próbowała skupić się na tym, że ogląda czyjeś wspomnienie. Wiedziała, że to nie dzieje się naprawdę, ale mimo to żałowała, że nie może zamknąć oczu, gdy ochroniarze zaczęli go torturować. Słyszała syk przypalanego ciała, wrzaski oraz ciosy. Widziała, jak mdleje z bólu. Gdy go wypuścili, zatoczył się i wtedy Kitty ujrzała jego oblicze. Rozpoznała je, choć było spuchnięte i zakrwawione.

– Daniel – szepnęła na głos.

„Zlekceważył słowa pana” – wyjaśnił Garuda.

Kitty zmusiła się, by przeszukać kolejne nici. Miała nadzieję na odnalezienie pozostałych związków Ajaniego z braćmi, ale nie odniosła sukcesu. Ujrzała mnichów i gubernatora przy innej okazji, ale nie było z nimi Ajaniego. Ujrzała też nieliczne przebłyski z samym Ajanim. W końcu połączenie z członkami watahy zaczęło gasnąć, a dziewczyna zrozumiała, że ich arcywróg wiedział o szpiegujących go bloedzuigerach i pokazywał tylko to, co Garuda miał zobaczyć.

„Nie rozumiem... Dlaczego on? Dlaczego ja?”.

„On wie, że jesteście tacy sami, Katherine”.

„Skąd?”

– Nie wiem – odparł na głos Garuda.

Łączność zarówno z nim, jak i z watahą została przerwana. Kitty poczuła falę bólu płynącego z zewnątrz i zrozumiała, że to, czego właśnie doświadczyła, było zdarzeniem bez precedensu i Garuda był wyczerpany. Trzymał się na nogach jedynie siłą woli.

Wciąż klęcząc, spojrzała na niego i spróbowała odzyskać głos. Wypowiedź nie przyszła jej łatwo.

– Widziałam wszystko – wykrztusiła. – Mam pytanie do gubernatora.

Jack spoglądał na ich oboje.

– Wtajemniczycie mnie?

– Katherine sama zadecyduje, czym chce się z tobą podzielić. Istnieją zasady, które pozwalają mi na komunikację z moimi krewnymi, ale nie z tobą. – Garuda zerknął na nadgarstek stojącego obok bloedzuigera, a ten bez wahania podsunął go panu do ust.

Pijąc, Garuda przyglądał się Kitty, a dziewczyna po raz pierwszy w życiu ujrzała coś pięknego w tym, jak podwładny uzupełniał jego energię. Wydawało jej się to teraz czymś naturalnym. Ujrzała w tym procesie troskę. Jak zwykle po kontakcie z magią czuła się roztrzęsiona, ale tym razem była też naładowana osobliwą energią. Odtwarzała w umyśle ostatnie chwile połączenia z watahą i uzmysłowiła sobie, że tuż przed jego zerwaniem Garuda pchnął w jej stronę porcję energii. Uśmiechnęła się do niego, wiedząc już, jak bardzo się co do niego myliła. Użyczył jej sił, by mogła powrócić do Szubienicy.

Jack nie miał o tym wszystkim pojęcia i wyciągnął rękę, by pomóc jej wstać. Dziewczyna oparła się o brata i powiedziała:

– Mnisi pracują dla gubernatora, a Ajani składa mu wizyty. – Urwała, wążąc niewypowiedziane dotąd słowa. – On... Ajani wie, że bloedzuigery go obserwują, a mimo to pozwolił im to zobaczyć. – Należało też opowiedzieć Jackowi o tym, co spotkało Daniela, ale postanowiła, że powie tylko to, co konieczne. – Ajani torturował Danny’ego z mojego powodu.

– Co takiego?

– Torturował go. Przypalał, łamał mu kości. – Kitty próbowała odepchnąć gniew. – Danny dobrze zrobił, że mnie ostrzegł. My nie umieramy, Jack, ale gdyby Ajani mnie dorwał, znalazłabym na to sposób. Musiałabym. Nie przeżyłabym tego, co zrobił Danielowi. A wszystko to przeze mnie.

Garuda oderwał usta od nadgarstka towarzysza.

– Nie – rzekł. – Nie przez ciebie.

Otarł wargi szmatką.

– Ajani zrobił to, bo chce, by inni się go bali. Twój Daniel poznał cenę rozmowy z tobą.

Kitty spojrzała na Garudę i szepnęła:

– Dziękuję ci. Dziękuję za wszystko.

Bloedzuiger uklonił się jej głęboko.

– Zabiję go! – warknął Jack.

– Ajaniego czy gubernatora?

– Obu! Wszystkich! Sam nie wiem! – Jack parsknął z frustracją. – Jeśli mnisi pracują dla gubernatora, a Soanes spotyka się z Ajanim... Nie przepadam za Danielem, ale nie będę stał bezczynnie, kiedy jest torturowany. Był przecież jednym z nas. Odłączył się, ale nikt nie zasługuje na to, by znosić katusze, zwłaszcza dlatego, że się troszczy o ciebie.

– Och, miałabym sama wielką ochotę zabić Ajaniego – odparła Kitty. – Gdybyśmy wiedzieli, jak to zrobić, byłby martwy wiele lat temu. Gubernator Soanes powinien jednak dostać szansę wyjaśnienia wszystkiego, nim pochopnie podejmiemy jakąś decyzję.

Zdumienie na twarzy Jacka było niemalże zabawne.

– Ty zalecasz ostrożne działanie? – spytał i spojrzał na Garudę. – Czy to twoja sprawka?

– Katherine być może odczuwa pozostałości spokoju, którym obdarzyłem ją podczas przerywania połączenia – przyznał Garuda osobliwym tonem.

Kitty wiedziała teraz, że w ten sposób bloedzuiger wyraża zażenowanie.

– Jestem w stanie odczytać emocje bloedzuigerów – powiedziała cicho, zdumiona tym, jak bardzo się do tej pory myliła. – Nie wiedziałam, że w ogóle macie emocje.

Garuda parsknął śmiechem. Odgłos ten nie wydawał się jej wcale dziwny.

– A dlaczego niby nowo narodzeni są tak prymitywni? Nauka kontrolowania intensywnych emocji zabiera mnóstwo czasu.

– Czeka nas długa rozmowa. – Kitty pokręciła głową. – Mam wiele, bardzo wiele pytań i muszę uzyskać odpowiedzi. Możesz być tego pewien.

– Gdyby nie to, że od lat do owej rozmowy dążę, miałbym teraz niezłego pietra – zażartował Garuda.

„On naprawdę zażartował?”

– Przepraszam cię. – Kitty spojrzała mu w oczy. – Nie zasłużyłeś na takie traktowanie z mojej strony.

– Strach sprawia, że wszyscy od czasu do czasu robimy głupie rzeczy. – Garuda uśmiechnął się z sympatią.



Katherine pokręciła głową i zwróciła się do Jacka.

– Nasz kościsty łajdak powiedział nam wszystko, co trzeba, i dał nam lek dla Francisa. Pora wracać i wziąć się do pracy. – Widząc zaskoczenie na twarzy brata, dodała: – Jeśli mój spokój nie wyparuje do czasu rozmowy z gubernatorem, tym razem to ty będziesz musiał być tym, który sprawia trudności.

Garuda ukłonił się Jackowi i odwrócił w stronę Kitty.

– Jeśli zdecydujesz się zamknąć sprawę z Ajanim i jego obsesją na twoim punkcie, wręcę ci pewien dar. Mam nadzieję, że udało nam się znaleźć truciznę, która może usunąć oba kłopoty. Rozmawiaj ze mną przez Styrra.

Wskazał bloeduigera, który właśnie go nakarmił. Katherine spojrzała na niego, a ten ukłonił jej się lekko.

– Jest teraz przydzielony do tego terytorium i będzie wypełniał twoje polecenia, Katherine. Daj mu znać, jeśli będziesz potrzebować pomocy mojej bądź całej watahy, a wówczas przybędziemy. Gdy trucizna będzie gotowa, Styrr przekaże mi, gdzie przebywasz, bym mógł ci to przynieść.

Przy tych słowach Garuda pokazał jej małą fiolkę.

– Oto reszta substancji, która uzdrowi waszego rannego członka watahy. Styrr zna odpowiednie proporcje.

– Dziękuję! – Kitty z wdzięcznością przyjęła dar. – Przykro mi, że tak długo nie mogliśmy dojść do porozumienia.

– Wiem – rzekł Garuda, a potem spojrzał na Styrra i na Jacka. – Uważajcie na nią.

Z tymi słowami odszedł, pozostawiając Reedów w towarzystwie nowo namaszczonego zwierchnika obszaru.

Po raz pierwszy od chwili, gdy Kitty wylądowała na Bezdrożach, poczuła, że być może w pełni odnajdzie się w tej dziwnej rzeczywistości. Nadal odczuwała echo kontaktu z setkami bloeduigerów i złość na Ajaniego. Nie miała wątpliwości, że ten człowiek nie zasługuje na możliwość łączenia się z watahą.

## Rozdział 31

Gdy Kitty i Jack weszli ze Styrrrem do pokoju Francisa, Edgar niemalże nie zwrócił na nich uwagi. Dziewczyna wiedziała, że bynajmniej nie chce okazać Styrowi braku szacunku, ale wciąż nie mogła się nacieszyć możliwością kontaktu z bloodzuigerami i chciała rozpocząć rozmowę. Odłożyła ten pomysł na później, a teraz musiała się skupić na pomocy Francisowi.

– Jesteśmy – powiedziała do niego. – Mamy lekarstwo. Jest też z nami Styrr, jeden z ludzi Garudy.

Francis pokiwał głową, ale nie usiadł ani nie odezwał się słowem. Jego oczy nadal zakrywała zakrwawiona szmatka i Kitty powstrzymała westchnięcie zgrozy, gdy na niego spojrzała. Proces leczenia powinien już dawno trwać w najlepsze, tym bardziej że Francis wypił verrot. Tymczasem jego rany krwawiły, jakby zostały przed chwilą zadane. Na skutek upływu krwi wydawał się słaby i pozbawiony energii.

– Przygotuję lek – powiedział Styrr. Podszedł do stołu, wlał nieco verrotu do kubka i wsypał do niego leczniczą mieszankę. – Powinien wypić jako pierwszy. Na pewno pomoże.

Kitty nalala verrotu do drugiego kubka, stojącego obok łóżka Francisa.

– Pomogę ci się podnieść, byś mógł się napić.

Jack przyciszonym głosem wprowadzał Edgara w ostatnie wydarzenia.

– Teraz przekażę wszystko Hectorowi i Melody. Ruszamy za jakąś godzinę.

W pomieszczeniu zapanowała pełna napięcia cisza. Styrr i Edgar przyglądali się Francisowi, który drżącymi rękami odstawił pusty kubek.

– Kto tu jest?

– Edgar, ja i Styrr...

Styrr wziął lek, ale nie podał go Katherine.

– Mogę?

Kitty stanęła przy łóżku.

– Połóż się teraz. Przytrzymam ci głowę, by łatwiej było wyleczyć tve oczy.

– Potrzeba wam pomocy? – spytał Edgar.

Dziewczyna pokręciła głową i ujęła twarz Francisa. Jego policzki wciąż

były mokre od spływających nieustannie łez i kropel krwi. Obawiała się, że sama również zaraz się rozpłacze.

– No dalej!

– To zaboli – rzekł Styrr.

– I tak boli – odparł Francis, ale gdy otworzył oczy, zacisnął mocniej usta.

Podobnie jak pozostali, w trakcie wielu lat na Bezdrożach dobrze poznał, czym jest ból. Śmierć zazwyczaj nie była bezbolesnym doświadczeniem. Przebudzenie po niej również nie.

Styrr pewną ręką wlał kilka kropel w oczy Francisza. Wzmocniony lekami verrot sprawił, że mężczyzna otworzył oczy bardzo szeroko, a z jego ust wyrwał się ochryply jęk bólu. Ciało wstrząsnął spazm i Kitty zaczęła wątpić, czy jest w stanie go utrzymać. Przytrzymała go ze wszystkich sił i widziała, że Francis również próbuje nad sobą panować. Przygryzł wargę tak mocno, że z kącika ust pociekła krew.

Z pomocą przyszedł Edgar, który przycisnął Francisza do łóżka. Ranny po chwili przestał się wić, a wtedy Edgar puścił go i chwycił pas leżący na komodzie.

– Otwórz usta – polecił mu.

Francis posłuchał polecenia, a wówczas Edgar wepchnął mu płaski rzemień do ust.

– Trzymajmy go mocno! – szepnęła Kitty.

Skinęła na Styrra, który wlał kilka kropel do drugiego oka. Mikstura wsiąknęła w tkaninę niczym w suchą szmatkę. Obie źrenice były teraz tak szerokie, że mało nie pochłonęły tęczówek. W obu oczach widać było jedynie czerń i czerwień. Kitty przełknęła ślinę, wstrząśnięta przemianą.

– Raz jeszcze – rzekł cicho Styrr.

Kilka kropel trafiło najpierw do jednego oka, a potem do drugiego. Francis znieruchomiał, zupełnie jakby umarł, ale okazało się, że jedynie stracił przytomność.

– Będzie musiał pić przez następne dwa dni, ale oczy należy potraktować jeszcze tylko raz. – Styrr podszedł do krzesła zajętego przed momentem przez Edgara i usiadł na nim. – Będę potrzebował waszej pomocy rano. Potem możecie odejść, a ja będę zajmował się nim, dopóki jego ciało nie odzyska pełni sił. Nie przebudzi się przez kilka dni.

– Ale żyje! – dodała szybko Kitty, widząc wściekłość na twarzy Edgara. – Dochodzi do siebie, ale żyje.

Styrr pokiwał głową.

– Będziemy więc musieli poczekać z wizytą u gubernatora do jutra –

oznajmiła Kitty. – Powiem Jackowi.

Edgar wpatrywał się w nią przez moment, a potem rzekł:

– Nie.

– Co takiego? – Katherine zmarszczyła brwi. Skoro zajęli się Francisem, a Styrr obiecał, że będzie się nim opiekował, mogła przecież zająć się innymi sprawami. Zawsze tak postępowali. – Jack jest mocno wzburzony. Nie mam zamiaru pozwolić mu, by poszedł gdzieś sam. Może poczekać i...

– Nie – powtórzył Edgar. – Mogą się wybrać do gubernatora we trójkę, a ty zaczekasz ze mną. Francis cię potrzebuje, a Jack da sobie radę. Nie wiem, co się wydarzyło na pustyni, ale ledwie stoisz na nogach. Nigdzie nie idziesz.

– Bzdur...

– Jeśli pójdziesz gdziekolwiek, Kit, nie licz na mnie. Ajani jest najprawdopodobniej bardziej obłąkany, niż sądziliśmy, i przypuszczalnie współpracuje z Soanesem, a Jack powiedział, że byłaś półprzytomna po tym, co ci zrobił Garuda na pustyni. Albo zostaniesz tu na noc, albo... Albo nie licz na to, że będę przy tobie, gdy znów zrobisz coś głupiego.

Edgar wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Przez kilka minut Kitty stała wstrząśnięta. W istocie była wyczerpana. Nie mogła skłamać i powiedzieć, że jest inaczej, ale nie oznaczało to, że lubiła takie ultimatum. Musiała jednak przyznać, że gdyby role się odwróciły, byłaby równie wściekła jak on teraz. Gdyby Edgar – bądź Jack – miał zamiar wpakować się w potencjalnie niebezpieczną sytuację w stanie skrajnego wyczerpania, nie posiadałaby się ze złości. Byłaby gotowa palnąć jednego i drugiego pałką w tył głowy, żeby nie wyszli z pokoju. Nie mogła się spodziewać, że którykolwiek z nich potraktuje ją inaczej. Jack stracił na moment panowanie nad sytuacją, ale Edgar czuwał.

„No i ma rację”.

Upewniwszy się, że Styrr zaopiekuje się Francisem, Kitty poszła w ślad za Edgarem. Zatrzymała się przed drzwiami, gdyż z wnętrza dobiegały głosy. Weszła do środka, nie pukając, i zatrzasnęła za sobą drzwi. Edgar zdejmował koszulę, ignorując jej obecność. Nie odzywając się ani słowem, wrzucił koszulę do wiadra z wodą z mydlinami. W milczeniu wyjął drugą i podszedł z nią do kamiennej płyty leżącej na stole. W wiadrze z gorącymi węgielkami rozgrzewały się dwa prymitywne żelazka, a obok nich stała szeroka miska z zimną wodą. Kitty nie miała pojęcia, w jaki sposób nakłaniał właścicieli gospód, by pozwalali mu na trzymanie rozżarzonych węgli w pokoju.

Miał na sobie jedynie spodnie, ale spojrzenie, jakim ją obrzucił, było równie poważne jak wtedy, gdy był ubrany od stóp do głów. Potem skupił się na koszuli. Rozłożył ją i ujął jedno z dwóch rozgrzanych żelazek.

– Szukasz czegoś? – spytał, nie patrząc na nią.

Znała go od wielu lat, ale nigdy nie odzywał się tak lekceważąco. Przeraziło ją to.

– Przebaczenia? – spytała.

Edgar uniósł wzrok znad prasowanych ubrań.

– Za co? Za to, że ukrywasz przede mną sekrety, czy może za to, że chcesz gdzieś pójść pomimo skrajnego wyczerpania?

Katherine skrzyżowała ramiona i wbiła w niego wzrok.

– Dobra. Może rzeczywiście zachowałam się nieco nierozsądnie.

Edgar poprawił rękaw koszuli i przesunął po nim rozgrzane żelazko.

– To wszystko? Odpychasz mnie od wielu miesięcy, a ja mam się szybko pogodzić z tym, że jesteś nieostrożna?

Przez moment Katherine miała ochotę wstać i wyjść, ale wciąż otaczał ją spokój, którym natchnął ją Garuda.

– Tak. Nie. Nie wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć.

– A właśnie, że wiesz.

– Nigdzie się dziś nie wybieram z Jackiem – powiedziała cicho.

– To już jakiś początek. – Edgar prasował przez moment, a potem rzekł: – Daj znać, kiedy będziesz gotowa, by omówić pozostałe rzeczy. Mam już tego dość, Kit. Jeśli nie przysłaś tu po to, by wszystko ponaprawiać, tam są drzwi.

Wskazał je żelazkiem.

Kitty odwróciła się, nie czując się wcale lepiej niż w chwili, gdy wchodziła do jego pokoju, ale zatrzymała się przed drzwiami. Cóż za bzdura. Podeszła do Edgara.

– Może przesadnie zareagowałam po twojej śmierci w ubiegłym roku, ale ja... – Czują, że zaraz się rozplacze. Zamrugnęła pośpiesznie. – Byłeś martwy, a ja nie mogłam przestać myśleć o tym, że spędzę resztę życia bez ciebie. Wiem, że w to nie wierzysz, ale ja jestem pewna, Edgar. Ja nigdy nie umrę. Nie zniosę myśli o tym, że miałabym się tu znaleźć bez ciebie, bez szans na śmierć, nieszczęśliwa na zawsze.

Edgar uniósł żelazko i wstawił je do miski z zimną wodą. Zasyczało, buchnęły kłęby pary.

– A więc uznałaś, że lepiej będzie, jeśli oboje będziemy nieszczęśliwi?

Nie powiedziała ani słowa, gdy wstawiał drugie żelazko do zimnej wody.

Patrzyła, jak polewa wodą węgle, a potem wstawia wilgotne wiadro do paleniska, gdzie nie mogłoby wyrządzić żadnej szkody, nawet gdyby się przewróciło, a któryś z węglików nadal się żarzył. Nic nie mówił. Niewzruszony i nieubłagany czekał na jej odpowiedź. Nieraz się kłócili i Kitty pamiętała, że jest o wiele cierpliwszy od niej.

– Nie masz zamiaru niczego ułatwić, prawda? – spytała cicho.

Edgar pokręcił głową.

– Gdyby zależało mi na łatwym życiu, nie kochałbym się w tobie, prawda? – Znów wskazał jej drzwi. – Odpowiesz na moje pytania czy wychodzisz?

Kitty odwróciła się, podeszła do drzwi i zamknęła je, a potem spojrzała na niego. Dostrzegła w jego oczach echo cierpienia – najwidoczniej uznał, iż naprawdę wychodzi.

– Myślałam, że jeśli będziemy trzymać się od siebie z daleka, przestanę cię kochać i twoja kolejna śmierć mnie nie zniszczy.

– Każda twoja śmierć również mnie niszczyła – rzekł cicho.

Kitty podeszła do niego i położyła dłoń na jego klatce piersiowej.

– Przykro mi. Wydawało mi się, że nauczę się żyć z dala od ciebie i przestanę cię kochać, a wtedy nie będę tak bardzo cierpieć, gdy odejdziesz.

– Zadziałało? – Edgar nakrył jej dłoń własną.

– Niezbyt.

– A więc chcesz mi powiedzieć, że nadal mnie kochasz?

– Przecież wiesz. Zawsze cię kochałam – rzekła, patrząc na niego. – Możemy powrócić to tego, co kiedyś mieliśmy?

– Nie.

Ze wszystkich rzeczy, które kiedykolwiek ją zaskoczyły, ta odpowiedź znalazła się na szczycie listy. Przez cały ostatni rok bez przerwy ją przekonywał, że powinni do siebie wrócić, a teraz, gdy przyznała mu rację, Edgar ją odrzucił. Cofnęła się, ale nadal nie puszczała jego ręki.

Edgar otoczył ją ramieniem i oparł dłoń o jej plecy. Na jego twarz powoli wypłynął uśmiech pełen pewności siebie, z którego słynął od wielu lat.

– Nie chcę do niczego wracać – rzekł.

– Ale...

– Obiecaj mi coś, Kit – przerwał jej. – Przysięgnij, że nigdy mnie nie opuścisz.

– Nie – szepnęła.

– A gdy cię poproszę, byś za mnie wyszła, zgodzisz się.

– Edgar...

Kitty powoli zaczęła wyzwalać się z jego objęć i wycofywać.

Najpierw pozwolił jej na to, ale po chwili otoczył ją ramionami i przygarnął do piersi.

– Obiecaj – zażądał. – Czekam od jedenastu lat, aż się zgodzisz.

– Edgar, ja się nie nadaję do takich rzeczy.

– Gówno prawda. – Mężczyzna postawił ją na ziemię. – Mówię serio, Kit. Nie pozwolę, by któreś z nas znów cierpiało męki w chwili, gdy możemy i powinniśmy być razem. Ślub albo nic.

Kitty otoczyła jego szyję ramionami.

– Odrzuciłbyś mnie?

– Proszę cię, byś za mnie wyszła. Zgódź się – powtórzył.

– Przecież tu nawet nie ma porządnych kościołów...

– Wyjdź za mnie!

Ich usta były bardzo blisko siebie, ale gdy spróbowała go pocałować i odwrócić jego uwagę, cofnął głowę.

– Powiedz „tak” – szepnął.

– Tak – obiecała.

Edgar zmiądzzył jej usta pocałunkiem, a potem poderwał ją i zaniósł do łóżka, ułożył na materacu i zabrał się za zdejmowanie jej sukni. Gdy wślizgnął się za nią i zabrał za wiązania, Kitty zaprotestowała:

– Przecież mogę po prostu zadrzeć...

– Nie. Nie kochaliśmy się od tak dawna. Chcę cię widzieć i dotykać.

Ściągnął jej suknię na wysokość talii, a potem nieubłagane powoli zaczął zdejmować jej gorset, pieszcząc ją i całując z tą samą skrupulatnością, która niegdyś doprowadzała ją do szału.

– Mogę ci pomóc – zaproponowała.

Edgar zaśmiał się i nakrył dłonią jej wciąż zasłonięte piersi.

– Wolę zrobić to po mojemu.

– Czyli chcesz mnie torturować? – Kitty złapała go za przyrodzenie. – To pociąga za sobą konsekwencje.

Edgar przytrzymał jej dłoń i ściągnął gorset.

– Na szczęście.

Gdy oboje byli nadzy, Kitty nie wiedziała, czy śmiać się, czy może płakać. Choć spędzili ze sobą wiele nocy, Edgar prezentował się o wiele lepiej, niż go zapamiętała. Wygięła się do tyłu; wzdychała, gdy ją całował i pieścił, aż jęknęła głośno, gdy wsunął się tam, gdzie było jego miejsce.

– Kocham cię – wyszeptał bezgłośnie.

– Ja ciebie też – odrzekła i napała na niego biodrami, chcąc go skłonić

do działania, ale Edgar nie ruszał się.

– Wyjdiesz za mnie, Kit? – spytał, wpatrując się w nią.

– Nie grasz uczciwie! – poskarżyła się dziewczyna.

Edgar cofnął się powoli, niemalże z niej wychodząc, a potem równie powoli wsunął się z powrotem.

– Powtórz, że za mnie wyjdiesz.

– Tak, wyjdę. Będę panią Cordová! – przysięgła.

– Powiedz to jeszcze raz.

Powstrzymywał się od pchnięcia, jeśli nie usłyszał obietnicy ponownie. Kitty wygłosiła ją jeszcze wielokrotnie.

Gdy było już po wszystkim, ułożyła się na nim. Nie czuła się tak dobrze od chwili, gdy... Cóż, gdy po raz ostatni znalazła się w jego ramionach.

Zdrzemnęła się, a gdy otworzyła oczy, ujrzała, jak przygląda się jej z bezgraniczną satysfakcją. Uniosła głowę i spytała:

– Naprawdę byś przestał, gdybym nie obiecała, że za ciebie wyjdę?

Edgar roześmiał się.

– Nie, ale bywasz uparta, więc postanowiłem, że wymuszę na tobie obietnicę, póki jeszcze mogę.

Przyciągnął ją do siebie i ucałował delikatnie, a potem dodał:

– Znam cię, skarbie. Wiem, że nigdy nie złamiesz danego słowa.

Kitty usiadła na brzuchu Edgara i wbiła w niego spojrzenie.

– Tylko sobie nie myśl, że ni z tego, ni z owego stanę się grzeczną kurą domową.

– Nie chcę grzecznej żony! – Edgar złapał ją za biodra i podniósł ją, by uklęknęła, a potem cofnął dłonie i rzekł: – Chcę ciebie. Tylko ciebie.

Kitty wydała z siebie zadowolone westchnienie i dosiadła go ostrożnie. Zacisnęła powieki i odetchnęła głęboko, a potem oznajmiła drżącym głosem:

– Zgoda.



## Rozdział 32

Jack z ulgą odkrył, że Katherine nie czekała na niego w głównej izbie tawerny. Miał nadzieję, że Edgar zdoła ją zatrzymać w środku, ale nie oczekiwał tego. Kiedy Kitty uparła się na coś, nie miała ochoty słuchać głosu rozsądku nawet w stanie skrajnego wyczerpania. Niespodziewanie poczuł się, jakby się przekradał ukradkiem. Bojąc się, że Katherine zrobi to samo, Jack zatrzymał się przy pokoju Francisa.

Nie było tam ani Edgara, ani Katherine, a Francis najwyraźniej spał mocno. Styrr stał przy ścianie i przyglądał się śpiącemu. Przywitał się z Jackiem ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

– Jak się miewa Francis? – spytał Jack.

– Dochodzi do siebie. – Styrr się uśmiechnął. – Zapadł w uzdrawiający sen. Zostanę z nim i będę strzegł Katherine.

– Gdzie ona jest?

– Poszła do swego samca. Był rozdrażniony tym, że chce gdzieś pójść. Pokłócili się, a teraz ona przemawia mu do rozumu.

– Tu się kłócili?

– Nie, w innym pokoju, ale my mamy lepszy słuch od was. Usłyszałbym, gdyby znalazła się w niebezpieczeństwie. Nie muszę być w tym samym pokoju co ona, by strzec ich obojga.

Jack pokiwał głową, jakby zupełnie nie przeszkadzało mu to, że bloedzuiger słyszy wszystko, co Katherine robi w innym pokoju. Zastanawiał się, czy nie poprosić Styrra, by nie wspominał jej o swym czułym słuchu, ale bloedzuigery nie potrafiły kłamać i Katherine prędzej czy później poznałaby prawdę.

– Dobrze – rzekł. – Ruszam dalej. Gdyby wróciła...

– Powiem jej, że wyszedłeś.

Gdy niewielka grupka Przybyszów dotarła na pustynię, gdzie z pewnością nikt ich już nie podsłuchiwał, Jack zwrócił się do Hectora i Melody:

– Wygląda na to, że Soanes współpracuje z Ajanim lub z braćmi. Niewykluczone, że zarówno z nim, jak i z nimi.

– Dlaczego? – spytał Hector.

Melody westchnęła i musnęła dłonią strzelbę z krótką lufą, którą niańczyła w ramionach niczym dziecko.

– Zapytamy go.

Przez krótką chwilę Jack niemalże współczuł gubernatorowi, ale przypomniał sobie zabiłą Mary i Francisa, który niemalże został oślepiony. Jeśli Soanes współpracował z mnichami bądź z Ajanim, będzie musiał za to wszystko odpowiedzieć i Jack czuł, że bez wyrzutów sumienia wyznaczy Melody, by ta wypytała go o szczegóły. Próbował żyć wedle zasad, ale szerzenie dobra czasami wiązało się z robieniem paskudnych rzeczy.

Drogę do Traktatu pokonali z wielką prędkością. Jack nie wiedział, czy powodem był entuzjazm Melody, która z góry cieszyła się na możliwość skopania komuś tyłka, resztki verrotu w ich żyłach czy może jego własna ochota, by wreszcie zrozumieć intrygę, w której centrum się znaleźli. W każdym razie gdy dotarli do biura gubernatora, Jack panował nad sobą równie kiepsko jak kilka godzin temu podczas spotkania z Garudą na pustyni.

Choć odwiedził Traktat zaledwie parę dni temu, nie rozpoznał człowieka czekającego w recepcji. Bywało, że zastanawiał się, czy towarzystwo bloedzugierów nie odpowiadało mu bardziej od towarzystwa ludzi, ale przecież nie wszyscy ludzie go niepokoiли i irytowali. Ajani i gubernator Soanes byli na czele listy tych, którzy budzili jego podejrzliwość. Garuda zaś figurował na króciutkiej liście tych, którym ufał.

Osobnik w recepcji, który na pierwszy rzut oka miał zarówno cechy górnika, jak i człowieka, podbiegł do Jacka i wyciągnął obie ręce.

– Panie Reed!

Przez moment Jack spoglądał na niego z zaskoczeniem. Nie przypominał sobie żadnego zwyczaju, który wymagałby uściśnięcia obu dłoni, a nie miał przy sobie płaszczu bądź kapelusza, które mógłby owemu mężczyźnie wręczyć. Nie wyciągnął więc rąk. Recepcjonista zamarł zaskoczony.

– To nie jest odpowiedni moment – rzekł po chwili niezręcznej ciszy.

Jack zastanowił się nad słowami.

– Trudno. Muszę się zobaczyć z Soanesem – odparł.

– Przykro mi, ale gubernator jest niedysponowany. – Asystent stanął między Przybyszami a drzwiami do gabinetu. W rękę trzymał brelok ze sporymi mosiężnymi kluczami. – Nie wolno tam wchodzić!

– Niemądry pomysł – mruknęła Melody głosem, który oznaczał, że perspektywa rychłej walki powoli odbiera jej poczytalność.

Hector, na ogół jedyny człowiek, którego potrafiła w tym stanie usłyszeć, nie ostrzegł jej ani słowem. Po prostu wyciągnął jeden ze swoich noży i uśmiechnął się. Każdy z członków ich grupy miał swoje mocne strony, ale

nikt nie mógł przebić Melody i Hectora, gdy chodziło o zmuszanie ludzi do posłuszeństwa. Niewysłowiona groźba ze strony Hectora i ewidentne szaleństwo Melody doskonale do siebie pasowały.

Z gabinetu dobiegł głośny trzask. Jack zrobił krok naprzód.

– Otwieraj.

Asystent pokręcił głową.

– Otwarcie tych drzwi byłoby jeszcze mniej mądrym pomysłem, panie Reed. Nie zrobię tego.

Melody i Hector stanęli po obu bokach Jacka tuż za nim.

– Lubię kiepskie pomysły. – Melody mruknęła z radością i uniosła obrzyna. – Mogę?

Hector nie odezwał się ani słowem.

– Nie przybyliśmy tu po to, by kogoś zabić – przypomniał jej Jack.

Melody westchnęła i opuściła broń, a potem wycelowała ją ponownie w asystenta.

– No to co z nim zrobimy?

Jack spojrzał mu w oczy.

– Wszystko zależy od tego, czy będzie chciał nas powstrzymać.

– Ostrzegalem was – rzekł asystent, ale zamiast próbować ich zatrzymać, przekazał Jackowi klucze i bez słowa przeszedł obok Przybyszów.

– Nie brzmiało to obiecująco.

Hector wziął od Jacka klucze i podszedł do drzwi. Wsunął największy z nich do zamka i przekręcił go. W drugiej dłoni trzymał nóż.

– Broń w pogotowiu, dzieciaki.

Jack skinął Hectorowi i w tej samej chwili nożownik szarpnął za drzwi i odskoczył, pozwalając Jackowi i Melody na czysty strzał.

Jack oniemiał, usiłując pojąć to, co znajdowało się w środku. Wyglądało na to, że gubernator przeprowadził remont. Ściany były częściowo pokryte czymś, co wyglądało na świeżą, czerwoną farbę. Dopiero po chwili Jack zrozumiał, że to, co w pierwszej chwili wziął za farbę, w istocie było krwią. Przy fotelu gubernatora, odwróconym oparciem do drzwi, stał mnich, a na fotelu znajdowały się szczątki Soanesa, przechylone w bok.

Minęła chwila, nim Jack właściwie nazwał wszystkie zapachy i dostrzeżone szczegóły. Wtedy uświadomił sobie, że gubernator był martwy od jakiegoś czasu. Wszędzie dookoła wisiały wnętrzości przypominające makabryczne dekoracje, a każdy fragment pokoju zdradzał, że Soanes zginął nieprzyjemną, gwałtowną śmiercią. To, czy gubernator współpracował z wrogiem, czy też nie – a jeśli tak, to dlaczego – miało na

zawsze pozostać tajemnicą.

– Opętany przez demona – rzekł Hector, przyglądając się mnichowi.

– Zjadł gubernatora! – W głosie Melody zabrzmiało rozdrażnienie. – Cholera jasna! A ja już miałam plan!

Wypaliła z obu luf. Kule przeszły oparcie i ciało martwego Soanesa, ale opętany mnich nadal stał nieruchomo i wpatrywał się w nich. Kule Melody nie zrobiły demonowi krzywdy, a mnisi, gdy już wpuszczali obce istoty do swych ciał, nigdy ich później nie wyrzucali.

Jack wyciągnął pistolet z prawej kabury. Pociski, którymi był nabit, napełnione zostały solą oraz drobnymi kawałkami mosiądzu. Nie działały tak dobrze jak magia, ale mogły przyszpilić demona do ciała, a ciało można było zatrzymać.

– Ognia! – oznajmił spokojnym głosem.

Hector pochwycił kilka noży do rzucania z kawałkami mosiądzu, wykonanymi specjalnie na takie okazje, a Melody załadowała obrzyna nabojami własnej produkcji. Wypełniła je „tym i owym”, jak to sama określiła, by móc strzelać z ulubionego obrzyna do większości potworów Bezdroży.

Wypaliła, a Hector błyskawicznie rzucił najpierw jednym nożem, a potem drugim.

Opętany mnich poruszał się bardziej jak demon niż człowiek. Przemieszczał się szybko niczym żmija i unikał ich ataków błyskawicznymi skokami. Najwyraźniej wolał uskakiwać przed ciosami Przybyszów niż atakować samemu, co wcale nie było zaskoczeniem. Demon dysponował ludzkim ciałem i najwidoczniej właśnie zakończył swą misję polegającą na uciszeniu gubernatora. Po uwolnieniu się od Przybyszów mógł więc udać się, gdzie mu się żywnie podobało, i robić to, na co miał ochotę, póki ciało nie zgnije. Chyba że ludzie je zniszczą.

Melody wyciągnęła pistolet z kabury na udzie i posłała w niego sześć kul.

Hector rzucił następnymi nożami.

Opętany demon wrzasnął dwukrotnie, trafiony nożem lub kulą, ale był zbryzgany krwią od stóp do głów i trudno było ocenić, gdzie oberwał. Gdyby udało im się przygwoździć demona mosiądzem do ciała, mogli zabić go raz na zawsze. Gdyby się to nie udało, mogli przynajmniej zniszczyć ciało.

Każdy z trójki Przybyszów usiłował przewidzieć, w którym kierunku uskoczy opętany, ale ten unikał większości pocisków. Widok krwawiącego mnicha, który śmigał we wszystkich kierunkach i wyginał ciało pod

nieprawdopodobnym kątem, by nie zostać trafionym przez nadlatujące ostrza i noże, był oszałamiający. Jak dotąd powstrzymali go przed ucieczką, ale nie byli w stanie związać go walką na dłużej. Wreszcie demon odtrącił Melody, odciskając krwawy ślad dłoni na jej piersi, i umknął.

Hector popędził w ślad za nim.

Jack wyciągnął rękę, by pomóc Melody. Ta zerwała się najszybciej jak mogła i również pognęła za mnichem. Gdy wypadli z budynku, ujrzeni, jak Hector znika za rogiem.

– Melody! – krzyknął Jack i wskazał jej kierunek.

Rzucili się do pościgu. Po chwili ujrzeni, jak demon pnie się po ścianie budynku, pozostawiając ciemne ślady. Hector złapał się za parapet i kontynuował pogoń. Melody, wciąż na ziemi, złamała strzelbę i wsunęła dwa kolejne naboje. Jack przyglądał się dachom.

Po chwili Hector zsunął się na ziemię, a Melody opuściła broń.

– Znikł – oznajmił Jack.

Uwolnione demony były niezmiernie szybkie i uciekinier mógł pokonać już całą milę.

– Tego się nie spodziewaliśmy – rzekł Hector.

– Jebane demony – burknęła Melody.

## Rozdział 33

Chloe spędziła cały wieczór na spokojnej rozmowie z Danielem. Kitty nie pojawiła się jak dotąd, ale było już tak późno, że Daniel wysłał kolejnego posłańca do Wąwozu. Chloe nie spodziewała się, że Jack uda się w ślad za nią, ale miała nadzieję, że tak się stanie. Cóż za głupota. Nie miała nawet pojęcia, co należałoby powiedzieć, gdyby naprawdę tak postąpił, ale w głębi duszy na to liczyła. Chciała usłyszeć wyjaśnienia, które pozwolą im powrócić do chwili tuż przed tą, gdy nazwał ją imieniem zabitej kochanki. Miała wrażenie, że radzi sobie nieco lepiej niż po ostatnim niezręcznym rozstaniu. Przynajmniej nie chwyciła za flaszkę, jak wtedy gdy ujrzała Andrew rznącego jej szefową.

– Pewnie są zajęci – rzekł Daniel pocieszającym tonem, prowadząc Chloe do salonu. – Kitty nie jest najrozsądniejszą kobietą na świecie. – Uśmiechnął się ze smutkiem. – Jest cudowna, ale bywa, że czegoś dobrze nie przemyśli. Jej maniery również pozostawiają wiele do życzenia.

– A więc dobrze ją poznałeś.

– Znamy się od wielu lat. – Daniel skinął na służącego, który wniósł tacę z herbatą i ustawił ją na stole. – Uważam ją za jedną z najwspanialszych osób na Bezdrożach – podjął po wyjściu lokaja. – Nie oznacza to jednak, że zapominam o jej wadach. Ma paskudny temperament i chętnie pociąga za spust.

– Sądząc po tym, co dziś widziałam, nie jest to zła cecha. – Chloe nalała sobie filiżankę. – Zarówno miasto, jak i pustynia wydają się aż tętnić problemami.

– To prawda. – Daniel spojrzał na swą pustą filiżankę, uśmiechnął się i również ją nappełnił. – Widać czasy zmieniły się w twoim świecie – dodał.

– Wybacz – bąknęła nieco zawstydzona. – Moje maniery chyba też pozostawiają sporo do życzenia.

– A temperament?

Chloe spojrzała na Daniela niewinnie i upiła łyk. Ten się zaśmiał, a dziewczyna przeszła na bardziej przyziemne tematy, z ochotą opowiadając mu o świecie, który pozostawiła za sobą. Następna godzina upłynęła w przemiłej atmosferze. Potem powrócił posłaniec.

Daniel wziął od niego wiadomość, przeczytał ją i przekazał kartkę

gościowi, mówiąc:

– Kitty i Jack muszą się zająć własnymi sprawami. Wrócą do Szubienicy za kilka dni.

Chloe odczytała króciutką wiadomość, w której nie doszukała się większej liczby szczegółów poza tym, że Melody i Hector pozostają w mieście, ale rano wrócą do obozu.

– Chcesz tu zostać na noc? Jestem pewien, że mój gospodarz nie będzie miał nic przeciwko – zaproponował Daniel. – Jest tu wygodniej niż w gospodzie.

– Sama nie wiem – zawahała się. – Wydaje mi się, że mój pokój był już opłacony.

– Jeśli nie zostawili ci pieniędzy, z chęcią pomogę. W końcu jesteś przyjaciółką Kitty i w razie potrzeby będę mógł cię odnaleźć.

Wypowiedział te słowa żartobliwym tonem, ale Chloe boleśnie odczuwała brak niezależności. Nie miała pieniędzy, nie miała dachu nad głową, nie miała pracy. Gdyby Przybysze zdecydowali się ją wyrzucić, pozostałby jej jedynie Daniel.

– Chloe? – spytał jej gospodarz.

– Dopiero co tu przybyłam i wszystko wydaje mi się bardzo przytłaczające – przyznała, czując się dziwnie porzucona przez Przybyszów. Z drugiej strony nie uśmiechał jej się powrót do obozu wraz z Jackiem i Kitty. – Jeśli twój przyjaciel rzeczywiście nie będzie miał nic przeciwko, przyjmę propozycję. Najprawdopodobniej rano zniknę.

– Możesz tu poczekać do ich powrotu – zaproponował Daniel. – Odprowadzę cię później do obozu. – Otworzyła usta, chcąc zaprotestować, ale wtedy Daniel uniósł dłoń i dodał: – Przemyślisz to sobie jutro. Chloe, wierz mi, jesteś tu mile widzianym gościem.

Dziewczyna przyjrzała się mu podejrzliwie, ale nie miała żadnych powodów, by mu nie ufać.

– Kiedy widziałeś Kitty po raz ostatni?

– Spotkaliśmy się w Traktacie, dokąd Kitty i Jack przybyli po śmierci Mary – odpowiedział Daniel. – Przed twoim przybyciem, jak sądzę.

Odstawił filiżankę na spodek i spojrzał na wejście, w którym wyrósł ten sam służący.

– Podano do stołu – rzekł.

– Chodź, Chloe. – Daniel wstał i dał jej znać, by udała się wraz z nim i służącym do jadalni. – Zjedzmy coś przyzwoitego. Po porządnym obiedzie i dobrze przespanej nocy łatwiej się myśli.

Chloe nie była pewna, czy w istocie tak łatwo uporządkuje bałagan w głowie, ale nie miała lepszego planu na ten wieczór.

Przy śniadaniu następnego dnia rano Daniel zaproponował jej wizytę w bibliotece gospodarza. Sam miał zamiar załatwić w tym czasie jakąś sprawę. Pokój nie należał do przytulnych i z jakichś względów zupełnie nie pasował do Bezdroży, ale był pełen ksiąg i zwojów poświęconych historii, faunie i geografii. Sama ilość informacji sprawiła, że szybko zapomniała o tym, iż krzesła są niewygodne, a wnętrza zimne.

Siedziała w bibliotece do południa, gdy wszedł Ajani.

– Mam nadzieję, że się pani wyspała, Chloe – przywitał się, zamykając drzwi.

Dziewczyna wbiła w niego wzrok, błyskawicznie układając w głowie mało przyjemne fakty. A więc gospodarzem Daniela był Ajani! Znalazła się w domu wroga Jacka i Kitty. Nic dziwnego, że nie wysłali żadnej wiadomości.

„Ale też nie przybyli tu po mnie”.

Nie przeszkadzało im, jak widać, to, że Ajani ucina sobie z nią pogawędkę. Uznali, że nie przyjdą po nią, choć Chloe trafiła do jego domu. Poczuli się jak pionek w grze, której zasad nikt jej nie wyjaśnił.

– Rozumiem, że Daniel nic pani o mnie nie powiedział – ciągnął Ajani, wchodząc do pomieszczenia. Pokręcił głową z żalem, ale widać było, że udaje. Dziewczyna nie odezwała się ani słowem, więc oznajmił swobodnym tonem: – Ma nadzieję, że uda mu się wypełnić lukę, którą w jego życiu pozostawiła panna Reed. Zerwała z nim wiele lat temu, a jego zabolowało to tak bardzo, że jak dotąd nie sprowadził do domu żadnej kobiety.

– Mieszka tu? – wykrztusiła Chloe.

– Czasami. – Ajani podszedł do niej. – Ceni sobie wolność i mieszka gdzieś indziej, ale wolę go mieć przy sobie, gdy pojawiają się Reedowie. – Przez oblicze Ajaniego przemknęła irytacja. – Jego uczucie do panny Reed czasami ma wpływ na jego decyzje. Poza tym zarówno Jackson, jak i Cordova lubią do niego strzelać.

– Strzelają do niego? – powtórzyła Chloe.

Ajani machnął dłonią, jakby odpędzał owada.

– Oczywiście dochodzi do siebie, ale jego śmierć to zawsze niedogodność.

Chloe uświadomiła sobie, że kiwa głową, jakby śmierć w istocie była niedogodnością, jakby ból od rany postrzałowej nie miał znaczenia, jakby nie przeszkadzało jej to, że człowiek, z którym wylądowała w łóżku, regularnie strzela do tego, z którym zjadła śniadanie.



Nie mówiąc ani słowa, usiadła na krześle. Ajani rozsiadł się naprzeciwko niej. Milczeli w nieprzyjemnie urządzonej pomieszczeniu, otoczeni książkami i rozmowami o śmierci.

– Moi ludzie przekazali mi, że doszło do starcia z którymś z demonicznych kultów – rzekł Ajani po chwili przerwy. – Niektórzy z miejscowych potrafią się okazać paskudnymi krwiożerczymi indywiduami, choć ta grupa obszarpańców, do której pani należała, wcale nie jest wiele lepsza. – Zadrżał lekko. – Nie mogę sobie wyobrazić życia w tak prymitywnych warunkach, jakie oni lubią – dodał. – Czasami wydają się niewiele lepsi od zwierząt bytujących w oborze.

– Wszyscy odwzajemniają niechęć do ciebie – wytknęła Chloe.

Zataiła to, że sama również nie widziała powodu, by go lubić. Był arogancki i nadęty, ale przecież Przybysze również nie byli święci. Chloe czuła, że mogłaby zaufać Jackowi czy Kitty, ale nie była na tyle naiwna, by mieć o nich ostateczną opinię po zaledwie kilku dniach znajomości. Skoro znalazła się tutaj, porozmawia z Ajanim i wyrobi sobie własne zdanie.

– Daniel powiedział mi, że szuka pani pracy – zaczął Ajani. – Mam kilka etatów do obsadzenia.

Chloe pokręciła głową.

– Nie mam zamiaru być ochroniarzem czy czym tam są twoi ludzie.

– Rozumiem. – Ajani skrzyżował ramiona i spojrzał na nią. – Mógłbym pani znaleźć miejsce w którymś z lepszych burdeli.

Chloe smagneła go spojrzeniem.

– Co takiego?

– Powiedziała pani, że szuka pani pracy. Skoro nie interesuje pani praca, która wymaga korzystania z broni, proponuję inne rozwiązania. Niektóre kobiety z powodzeniem eksponują łagodniejsze cechy swego charakteru.

Twarz Ajaniego była obojętna, jakby nawet nie przyszło mu do głowy, że właśnie ją obraził. Wręcz przeciwnie, można było pomyśleć, że rzeczywiście próbuje pomóc.

– Kariera kurwy to nie jest szczyt moich marzeń. Dzięki.

Ajani najwyraźniej zupełnie nie zarejestrował jej tonu głosu, gdyż wzruszył lekko ramionami i rzekł:

– Mieszkania w niektórych ekskluzywnych przybytkach są stosunkowo wygodne.

Chloe milczała skrajnie zaskoczona. Usiłowała sobie uświadomić, że znalazła się w innym świecie, ale jej gniew przybierał na sile.

– Wolę już walczyć za pieniądze niż pieprzyć się za nie, ale chodziło mi

o jakąś pracę w sklepie czy coś w tym stylu.

Ajani pokręcił głową.

– Miejscowi nie najmują do pracy, a już zwłaszcza Przybyszów. Przekazują interesy dzieciom. Nie ma pani wielu opcji. Posady w burdelach też przechodzą w rodzinie, ale Przybysze stanowią wielką ciekawostkę, a więc przyniosłoby to pani sporo zysków.

Przez moment myślała, że zaraz wybuchnie śmiechem i powie, że żartował, a potem przedstawi jej realne opcje. Nic takiego się nie stało.

– Mogę poprosić Daniela, by panią oprowadził po lepszych burdelach. W niektórych mogłaby pani...

– Nie – przerwała.

Ajani obdarzył ją protekcyjnym uśmiechem.

– Nie podoba się pani liczba klientów, którą należy obsłużyć w burdelu? A może jest pani dziewicą?

– Tak. Nie. Chodzi mi o to, że... że macie tu swój własny porządek rzeczy, ale tam, skąd pochodzę... – Chloe pokręciła głową. – Chyba nie jestem w stanie zarabiać w ten sposób na życie.

– Wolna jest również pozycja mojej metresy. – Teraz Ajani wpatrywał się w nią wzrokiem, jakim ludzie taksują produkty na rynku. – Jest pani atrakcyjna, a ja potrafię zrozumieć to, że nie ma pani ochoty zabijać miejscowych czy iść z nimi do łóżka.

– Oferujesz mi pozycję własnej kochanki?

Chloe wpatrywała się w niego z mieszaniną rozbawienia i zgrozy.

– Tak. Nie lubię odwiedzać burdeli, gdyż nie chcę się dzielić, zwłaszcza z tubylcami. – Ajani skrzywił się z niesmakiem, a potem uśmiechnął do Chloe. – To tylko praca, moja droga. Słodka panna Reed nadal mi odmawia i dopóki się nie zgodzi, pozycja jest do wzięcia.

– Dopóki Kitty...

Chloe nie potrafiła zamaskować swego szoku.

Gdy Ajani uśmiechnął się do niej, zrozumiała, że opacznie pojął powody jej zdumienia. Sądził, iż zaskoczyło ją to, że Kitty mu odmawia, a nie bezczelność, z jaką ubrdał sobie, że siostra Jacka może go zechcieć. Znała ją bardzo krótko, ale była całkowicie przekonana, że ta nigdy by się nie zgodziła żyć z Ajanim.

– Znajdę ci inne miejsce, gdy Katherine się zgodzi – rzekł mężczyzna.

Chloe nie wiedziała, czy Ajani jest złem wcielonym, ale zaczęła myśleć, iż być może jest obłąkany.

– Bardzo mi zaimponowałeś, ale nie sądzę, bym sprawdziła się w roli

kochanki.

Ajani pokiwał głową.

– Przemyśl sobie to, proszę. Porozmawiam z Danielem. Jeśli zechce cię zatrzymać, zastanowię się, czy nie przydzielić ci jakiejś posady w którymś z moich domów, o ile Daniel zgodzi się oddać na ten cel część swojej pensji. Mogłabyś pracować na przykład jako pokojówka. – Ajani wstał i kiwnął głową. – Jest jeszcze jedna opcja, ale musiałabyś przejść test. A więc, zanim zadecydujemy, co z tobą zrobić, najlepiej będzie, jeśli pozostaniesz w tym domu.

Chloe nie mogła uwierzyć własnym uszom.

– Czyli jeśli dobrze rozumiem, nie wolno mi wychodzić?

– Dopóki nie przeprowadzimy kilku testów, obawiam się, że tak. – Ajani wygładził kilka nieskazitelnie wyprasowanych rękawów. – Zawsze pozwalałem nowym Przybyszom, by sami podjęli decyzję, rozumiesz, ale kończy mi się cierpliwość. Będiesz moim gościem, póki nie ustalimy, czy dysponujesz tym, co jest mi potrzebne, czy może należy ci znaleźć inne zatrudnienie.

Serce Chloe przeszły strach, gdy niespodziewanie osaczyły ją wspomnienia o Jasonie i tego, co z nią robił.

– Jakie testy? – szepnęła niemalże bezgłośnie.

– Nic strasznego. Przeczytasz po prostu kilka fragmentów tekstu na głos.

Ajani poklepał ją po ramieniu.

Nie mogła się poruszyć. Nie mogła myśleć o niczym innym poza tym, że znalazła się w pułapce. Uśmiechy niczego nie zmieniały. Jason przecież również się do niej uśmiechał. Uśmiechał się, gdy ją krzywdził, uśmiechał się, gdy pozostawiał ją związaną, uśmiechał się, siedząc przed drzwiami z bronią. Strach sprzed lat zlał się z nowym niepokojem i jej ciało trzęsło się jak galareta, a nogi wydawały się jak z ołowiu.

– Gdy będziemy mieć rezultaty, zadecydujemy, co z tobą począć – ciągnął Ajani, najwidoczniej nie widząc tego, że dziewczyna się trzęsie. – I żeby nie było rozczarowań, Chloe. Kazałem moim ludziom usunąć twój pistolet i osobiście przekazałem im wytyczne co do ciebie. To przypuszczalnie nieprzyjemna sytuacja, ale wiedz, że Daniel wynegocjował dla ciebie możliwie najlepsze warunki. Ja z początku zaplanowałem sobie, że zabiję Jacksona, Francisa i Cordovę. Zapewne by się obudzili, ale rozumiem, że śmierć jest tak czy owak nieprzyjemna. – Spojrzał jej w oczy i dodał: – Jeśli nie zdasz testu, wciąż będziesz miała wiele sposobności, by podjąć jakąś pracę. A gdyby nie wstawiennictwo Daniela, cała ta sytuacja byłaby dla

ciebie bardzo nieprzyjemna. Powinnaś mu podziękować.

– Powinnam podziękować Danielowi – powtórzyła bezwiednie.

– Tak, moja droga. – Ajani uśmiechnął się do niej. – I nie zapomnij wypytać go o kary, które wymierzam nieposłusznym bądź opornym. Być może wiedza na ten temat skłoni cię do lepszej współpracy.

Chloe mocno chwyciła się oparcia krzesła, próbując opanować narastającą panikę. Człowiek siedzący naprzeciwko niej był zły na wskroś, a rozradowana mina na jego obliczu potwierdzała jedynie, że do tego już dawno oszalał.

„Dotąd udawało mi się przeżyć” – przypomniała sobie, ale tego dnia i w tej chwili słowa te miały słabą wymowę. Znalazła się w nowym świecie i trafiła w niewolę szaleńca, a jej sytuację znała jedynie garstka ludzi, co do jednego podwładni bądź służący Ajaniego. Aha, a jego samego nie można było zabić. Chloe nie miała pojęcia, jak zdoła się stąd wydostać.

## Rozdział 34

Gdy Jack, Hector i Melody powrócili, Edgar i Kitty siedzieli w pokoju Francisa, który najwyraźniej dochodził do siebie. Styrr stał przy oknie i patrzył na ulicę. Spojrzał na Katherine i powiedział:

– Są tu.

Z tymi słowami powrócił do obserwacji.

Kitty wcale nie była zaskoczona. Bloedzuiger był znakomitym wartownikiem, ale nie należał do szczególnie rozmownych istot. Odzywał się tylko z ważnych powodów i zawsze kierował swe słowa do dziewczyny.

Francis przespał niemal całą wyprawę Jacka. Lekarstwo sprawiło, że wpadł w trans będący przeciwieństwem hiperaktywności, która brała się z verrotu, ale działało i nic nie liczyło się bardziej. Ranny nie widział jeszcze równie dobrze jak przed starciem, ale zarówno jednym, jak i drugim okiem dostrzegał już kształty, a co najważniejsze – krwawienie ustało. Leczenie zawsze trwało o wiele dłużej od odnoszenia ran.

– Soanes nie żyje – rzekł Jack, gdy weszli do środka.

Melody westchnęła z żalem.

– Mało co z niego zostało. Wypatroszył go mnich opętany przez demona, ale gnojek nie miał tyle przyzwoitości i nie dał się złapać, byśmy mogli trochę go potortuować. – Sapnęła. – Za moich czasów mnisi byli mnichami, a potwory występowały w książkach lub w filmach. Demony w mnichach to chamstwo, i tyle.

Melody była pochłonięta tyradą, ale Jack i Hector zwrócili uwagę na to, że Kitty trzyma Edgara za rękę. Jack skinął Edgarowi, a Hector uśmiechnął się szeroko. Jeszcze wczoraj Katherine zapewne ofuknęłyby ich za takie zachowanie, ale dziś była zbyt szczęśliwa, by reagować. Przewróciła jedynie oczami i spojrzała na Melody, która gestykulowała żywo i ubolewała nad „uwłaczającym postępowaniem demonów, źle wychowanych mnichów i skorumpowanych gubernatorów”.

– Melly? – przerwał jej Hector.

Melody zamrugała oczami, jakby na powrót usiłowała skupić uwagę na otaczającym ją świecie, po czym przyglądała nienaganną fryzurę i spytała:

– Tak?

– Moglibyśmy zapolować – zaproponował. – Może w pobliżu są jeszcze

jacyś źle wychowani mnisi?

Melody była uradowana niczym dziewczyna, która właśnie dostała bukiet kwiatów.

– Mam taką ochotę coś zabić – szepnęła, a potem nagle spojrzała na Jacka.

– Hector i ja idziemy na zwiad.

Jack skinął głową, a Hector wyprowadził niezrównoważoną kobietę z pokoju. Gdy drzwi zostały zamknięte, Styrr oznajmił:

– Bardzo przypomina młodego bloedzuigera, ale... ale mówi. Cieszę się, że nasi nowo narodzeni milczą.

Francis parsknął śmiechem, a Jack i Edgar uśmiechnęli się.

– Katherine? – spytał Styrr. Dziewczyna spojrzała na niego. – Garuda kazał mi powiedzieć, że przygotowana dla was trucizna wydaje się gotowa do użycia. Wataha przekazała mu, że rozmowa z gubernatorem nie przyniosła skutku, i przypuszcza, że na czele swoich ruszysz na Ajaniego. Czy to prawda?

– Może. Co to za trucizna?

– Zabójcza dla Ajaniego – rzekł łagodnie Styrr. – Nie może jej jednak podać ktoś, kto urodził się na Bezdrożach.

– Ja przyszłam na świat gdzie indziej – rzekła Kitty.

– Prawda – odparł Styrr, jakby się zastanawiał. – Być może dla własnego bezpieczeństwa mogłabyś ją wziąć, skoro masz spotkać się z Ajanim. Jesteś naszą krewną i nikomu innemu byśmy jej nie przekazali, ale nie chcemy, by coś ci się stało.

Wszyscy obecni zamilkli na moment, a Kitty powiedziała bardzo uprzejmie:

– Tak, myślę, że ją wezmę, jeśli to nie kłopot.

Styrr ukłonił się.

Zaskoczeni Przybysze nie odzywali się, aż przemówił Jack:

– Skoro mamy sposób, by zabić Ajaniego, zrobię to jeszcze tej nocy. Powiedz Garudzie, by sprowadził truciznę.

– To dar, który możemy wręczyć jedynie krewnemu. – Styrr patrzył na Kitty, a nie na Jacka.

Jack zawsze był tym, który dowodził ich grupą. To on zawsze podejmował decyzje. Kitty nigdy mu tego nie zazdrościła, a była świadkiem tego, jak bardzo przeżył utratę Chloe. Może nie zaszkodziłoby, gdyby ktoś inny przejął dowództwo na moment? Zerknęła na brata, ale ten patrzył przez okno pogrążony w myślach.

Zwróciła się w stronę Styrra.

– Czy Garuda mógłby ją dostarczyć?

Po upływie chwili Styrr odparł:

– Niedługo tu będzie.

## Rozdział 35

Jack wiedział, że nie może się nigdzie wybrać do czasu przybycia Garudy, ale z każdą chwilą niecierpliwił się coraz bardziej. Świadomość, że Chloe przebywa u Ajaniego, sprawiała, że wszystko działo się o wiele za wolno. Dziewczyna znalazła się w niebezpieczeństwie i Jack nie miał zamiaru jej porzucać. To na skutek jego błędów udało się z Danielem i znalazła w szponach Ajaniego. Inna sprawa, że nie chodziło tu tylko o Chloe. Jack chciał zabić Ajaniego od lat.

Edgar udał się na poszukiwanie Melody i Hectora. Jack i Katherine rozpoczęli więc planowanie.

– Styrr zostanie z Francisem – rzekła dziewczyna.

– Powinniśmy działać w zespołach. – W ciągu ostatnich kilku lat Jack tak często myślał o zgładzeniu Ajaniego, że teraz nie miał ochoty na żadne dyskusje.

– Ja chcę być z tobą i z Edgarem – oznajmiła Katherine.

Jack spojrzał na nią bez wyrazu. Miał inny zamysł, ale wolał poczekać z wyjawieniem go do chwili powrotu Edgara. Tymczasem rzekł jedynie:

– Hector i Melody potrafią skutecznie współpracować. – Zerknął na Styrra i dodał: – Może niektóre bloodzuigery do nas dołączą?

Styrr nie odpowiedział. Katherine powtórzyła więc pytanie Jacka i poprosiła:

– Czy to możliwe?

– Ta decyzja nie zależy ode mnie – odparł Styrr.

Drzwi stanęły otworem i pozostali członkowie ich grupy weszli do niewielkiego pokoiku.

– A więc mamy odbić tę nową? – spytał Hector.

– I będę mogła kogoś zabić! – dodała Melody wesoło. – Żadnych zasad, tak? Mogę strzelać do wszystkich z wyjątkiem tej nowej? Zostałam już dziś wystrychnięta na dudka i powinnam dostać nagrodę.

– Nie wolno strzelać do Chloe i do służby, chyba że ci otworzą ogień jako pierwsi – poprawił ją Jack. – Ale to jedyne zasady.

Melody wyściskała Jacka.

– Dobry z ciebie szef. Chodź, Hector. – Odwróciła się i ruszyła ku drzwiom, ale zatrzymała się, by spojrzeć przez ramię i powiedzieć: – Muszę



tylko wziąć kilka rzeczy. Spotkamy się na miejscu.

– Ja wchodzę jako pierwszy. – Jack poinformował Hectora. – Trzymaj ją na smyczy, póki nie znajdę się w środku.

Nożownik skinął głową i wyszedł w ślad za Melody. Gdy drzwi się zamknęły, Katherine zmierzyła brata surowym spojrzeniem.

– Chciałeś powiedzieć: „my wchodzimy jako pierwsi”, tak?

– A dlaczego nie mogę wdrzeć się sam? – zaczął Jack. – Ty i Edgar możecie pozostać...

– Nawet nie próbuj dokończyć tej sugestii – przerwała mu Kitty. – Ja czekałam tu beczynn timer, aż ty dokończysz sprawę z Soanesem. Nie mam zamiaru opuścić kolejnej rozróby tylko dlatego, że Edgar i ja... No, wróciliśmy do siebie.

– Zareczyliśmy się – poprawił ją Edgar.

– No właśnie. – Katherine się zarumieniła.

Edgar ucałował ją i rzekł:

– Kit ma rację. Idziemy z tobą. Zabicie Ajaniego to znakomity sposób na rozpoczęcie nowego życia.

Jack spojrział na siostrę i na mężczyznę, którego uważał za najbardziej odpowiedzialnego z Przybyszów. Mógł im rozkazać, by zostali, ale byłoby to nierozsądne. Co więcej, oboje byli zdeterminowani do tego stopnia, że na pewno by go nie posłuchali. W każdej innej sytuacji usłuchaliby rozkazów, ale nie w tej.

– Dobra. Zbierajcie sprzęt.

Jack drobiazgowo sprawdził broń i po uzupełnieniu amunicji skierował się do głównej izby tawerny, by spotkać się z Katherine i Edgarem. Ci w międzyczasie zdążyli zająć stół i zamówić kilka różnych potraw. Jedzenie w Wąwozie było na ogół beznadziejne i zamówienie wielu dań zwiększało szansę na znalezienie czegoś, co nie było rozgotowane lub na pół surowe.

Garuda przybył, gdy byli w połowie obiadu. Pojawienie się znamienitego bloodzuigera w knajpie wywołało niezgorsze zamieszanie. Garuda cieszył się mianem najstarszego na długo, nim Katherine i Jack przybyli na Bezdroża, i dysponował niemałą władzą i ogromnymi wpływami. W pomieszczeniu zapadła cisza. Wszyscy patrzyli, jak bloodzuiger zmierza w stronę ich stołu.

Garuda zignorował uwagę zebranych i powitał sojuszników skinieniem. Jack i Edgar odpowiedzieli tym samym, ale Katherine wstała i objęła go czule. Garuda zrobił to samo, ale odchylił głowę bardziej od niej.

Oboje cofnęli się jednocześnie, jakby tańczyli.

– Jesteś krewną mojej watahy – rzekł cicho Garuda.

– A ty gościem w moim umyśle – odparła Katherine.

Wokół podniosły się ciche szepty. Wszyscy przyglądali się serdecznemu powitaniu bloedzuigera i Przybyszki.

– Nie wiedziałem, że znasz tę tradycję.

Garuda patrzył jedynie na Kitty. Choć uznał obecność mężczyzn, zachowywał się tak, jakby w ogóle ich nie było.

– Ja też nie – przyznała drżącym głosem Katherine. – To był instynkt.

Garuda poklepał ją po ręce.

– Wszystkie te... – zatoczył ramieniem łuk – istoty były świadkiem naszej więzi. Niedługo rozniesie się wieść, że należysz do naszej watahy. Wszyscy będą wiedzieć, że ten, kto cię skrzywdzi, urazi wszystkich jej członków.

Jack spojrzał Garudzie w oczy.

– Masz?

Bloedzuiger złożył cieniutkie palce i wygiął dłonie tak, że przypominały splecione owadzie skrzydła.

– Oto zasady dyplomacji – rzekł i spojrzał z oczekiwaniem na Katherine.

– Czy pomożesz krewnej waszej watahy? – spytała po chwili Kitty.

– Tak – odparł Garuda z uśmiechem. Wyciągnął sakiewkę z kieszeni i ułożył ją na stole. – Krewniaczka to jedyna osoba na świecie, która może liczyć na moją pomoc w każdej postaci. Wiele razy częstowałem Przybyszów verrotem, ale nie mogłem wam wręczyć owej trucizny przed tym, jak połączyła mnie więź z Katherine. Nie mogłem cię prosić, byś otruła Ajaniego i zatrzymała akcję jego serca, ale – uśmiechnął się przy tych słowach – dziś należysz do mojej watahy, Katherine. Ten człowiek zagraża mojej krewniaczce, jej samcowi i człowiekowi, którego nazywam przyjacielem. Przyjmij ten dar i zrób z niego użytek.

Kitty ujęła sakiewkę, a wtedy Garuda odezwał się ponownie:

– Już mi brakuje łączności między naszymi umysłami.

Przyglądał się dziewczynie tym samym wzrokiem, którym obrzucał najbardziej cenionych członków watahy.

– Nie giń. Będziemy cię opłakiwać.

– Nie umrę. – Katherine położyła dłoń na jego ręce. – Zakończę życie człowieka, który nas prześladowuje.

– Zabijemy go dziś! – Jack powtórzył jej obietnicę.

Garuda spojrzał na mężczyznę z tą samą sympatią.

– Jesteś mi bliski, Jackson. Jeśli dopniesz swego, moja hojność nie będzie mieć granic.

- Czy twa wataha może nas wesprzeć w walce? – spytał Jack.
  - Złamałibyśmy w ten sposób tradycję – rzekł Garuda z żalem. – Gdyby to było możliwe, usunęlibyśmy Ajaniego już dawno temu.
- Katherine pokiwała głową.
- Damy sobie z nim radę.

## Rozdział 36

Przez resztę dnia Chloe miała wrażenie, że walczy z niekończącym się atakiem paniki. Ajani zjadł z nią kolację, podczas której wypytywał ją o magię i o jej rodzimy świat. To przyglądał jej się uważnie, to znów całkiem ją ignorował.

Po posiłku Ajani przeprosił ją, a służba zaprowadziła Chloe do pokoju, by odpoczęła. Nieco później zjawił się Daniel, żeby zaprowadzić ją z powrotem do biblioteki Ajaniego.

– Jeśli ci się nie powiedzie, przypomnij mu, że dobrze strzelasz – szepnął do niej w drodze. – Niech wie też, że Jack ma do ciebie słabość. Może uzna, że uda mu się wymienić cię za kogoś innego.

Chloe zeszywniała, słysząc jego słowa.

– Nigdy nie powiedziałam, że...

– Może Ajani nie zwrócił uwagi na to, z jaką zazdrością Jack patrzył na ciebie podczas spotkania, ale na pewno dowiedział się o jego reakcji na wieść, że do niego trafiłaś. Kilka panienek i paru przechodniów doniosło mu, że był zdruzgotany. – Daniel ścisnął łagodnie jej ramię. – Wykorzystaj to. Nikt z nas nie miał takiego argumentu. Próbuję ci pomóc, ale nie mogę złamać kolejnych zasad. – Podniósł koszulę i pokazał jej ślad po paskudnym poparzeniu. – Martwy nie przydam się nikomu.

Chloe nie była w stanie wykrztusić ani słowa. Daniel otworzył przed nią drzwi do biblioteki i nakazał wejść do środka. Ukłonił się Ajaniemu i wyszedł, a dziewczyna usłyszała zgrzyt klucza w zamku. Została zamknięta sam na sam z Ajanim.

„Jakie testy wymagają uwięzienia?” – zapytała się w myślach, przypominając sobie ostrzeżenia Jacka i Kitty.

– Wygląda na to, że odpoczęłaś, Chloe. Mam nadzieję, że się tu zadowoliłaś?

– Odpoczęłam i wszyscy dobrze mnie tu traktują – odparła.

– Siadaj.

Ajani skinął ręką.

Po chwili oboje siedzieli naprzeciwko siebie na identycznych fotelach, które mogłyby pasować do wielu bibliotek w jej rodzinnym świecie. Były zbyt duże i nieco ostentacyjne, przez co współgrały z nadmiernie

wystrojonym Ajanim. Na stoliku obok niego leżała laseczka ze złotą gałką, której nie widziała wcześniej.

Podał jej kartkę papieru i rzekł:

– Przeczytaj to.

Chloe rozwinęła papier.

– „Jestem władcą wieczności, który kroczy wśród nieba.

Nie ma w mym ciele strachu.

Otworzę drogę do krainy światła. Wejdę tam i zamieszkać w niej.

Zróbcie dla mnie miejsce. Jestem tym, którego strażnicy nie zatrzymują.

Jestem tym, który otwiera jego portale!

Gdy wymawiam te słowa, jestem niczym Re na wschodnim niebie i jak Ozyrys w świecie umarłych. Przejdę przez kręgi ciemności, nie musząc oddychać po wsze czasy!”.

– Czujesz coś? – spytał, gdy skończyła.

– Co na przykład? – Chloe nie wiedziała, czego Ajani się spodziewa. Zerknęła na kartkę, jakby miała nadzieję odnaleźć tam jakąś wskazówkę.

– Ty to napisałeś?

Wyraz twarzy Ajaniego był nieodgadniony.

– Nie. Przeczytaj ten fragment raz jeszcze i zwróć uwagę na wszelkie odczucia i wrażenia.

Chloe spełniła polecenie.

– Co czułaś? – Ajani pochylił się na fotelu ku niej.

– Serio? Strach i zmieszanie.

Ajani kazał jej odłożyć kartkę.

– Nie jesteś aby historyczką lub znawczynią sztuki, co? Mniejsza o to – rzekł, gdy Chloe pokręciła głową. – Nie musisz znać się na sztuce pięknej, by zidentyfikować to odczucie. Natychmiast je zauważysz, gdy się pojawi, Chloe. Wszechświat odsłania wówczas przed tobą swe sekrety, a człowiek, który dysponuje taką potęgą, staje się bogiem.

Wyciągnął rękę i pogładził ją po nadgarstku, jakby chciał ją uspokoić, ale jego dotyk i słowa bynajmniej nie zmniejszyły jej strachu.

– Mogę spróbować jeszcze raz – zaproponowała.

Ajani uśmiechnął się.

– Dobrze, Chloe. Powinnaś przeczytać ten wiersz tak, jakbyś wierzyła w te słowa, a potem powiedz mi, co wówczas czujesz.

Podjęła kolejną próbę, ale znów nie miała mu nic do powiedzenia. Próbowali przez całą godzinę – Chloe czytała, modulowała różne słowa, zmieniała tempo, a Ajani to próbował ją wesprzeć na duchu, to znów ją

napominał. Chloe zaczynała już myśleć, że potrwa to cały dzień, gdy naraz przerwało im otwarcie drzwi. W progu stał uniżony sługa Ajaniego.

– Panie?

Mężczyzna obrzucił młodzieńca drapieżnym spojrzeniem.

– Masz szczęście, że jej nie wychodzi.

– W istocie, panie.

W tej samej chwili Ajani zerwał się, złapał za łaskę, przypadł do chłopaka i uderzył go w szyję. Ten padł na ziemię, a Ajani wbił gałkę w jego pierś, jakby chciał go unieruchomić.

– Cieszysz się z tego, że jej nie wychodzi?

– Oczywiście, że nie! – wrzasnął służący.

Ajani stał nieruchomo, nadal wbijając gałkę w jego pierś, i oddychał ciężko jak po wielkim wysiłku. Nagły wybuch furii jedynie pogłębił rozpacz Chloe, która zaczęła się zastanawiać, co będzie, jeśli nie da mu tego, czego ten najwyraźniej szukał. Nie ruszała się ze strachu – jak przed wielu laty, gdy związała się z człowiekiem, który zamieniał się w zwierzę.

„Nie przyciągaj jego uwagi”.

Jason bił ją, gdy mówiła zbyt głośno lub zbyt cicho. Rzucił w nią różnymi przedmiotami, gdy nie ubrała się wystarczająco ładnie lub gdy wyglądała zbyt elegancko. Gdy miała ochotę na seks, wyzywał ją od zdzir, a gdy jej nie miała, oskarżał ją o niewierność. Próbowwała robić to, czego od niej chciał, ale po latach zrozumiała, że Jasonowi zależało tylko na tym, by ją krzywdzić. Wszystkie te uczucia powróciły do niej teraz, gdy patrzyła na Ajaniego dręczącego lokaja.

„To mogłam być ja”.

Chloe pożałowała, że odebrano jej broń. Zabijanie nie było rzeczą łatwą, ale świadomość, że możesz w każdej chwili pociągnąć za spust, bardzo pomagała w ucieczce.

Naraz dotarło do niej, że Ajani coś do niej mówi. Przełknęła ślinę i spojrzała na niego.

– Tak?

Uśmiechnął się i znów przybrał uważną, troskliwą minę, którą widziała podczas kolacji.

– W jednej z moich kopalni doszło do tąpnięcia. Trzeba z kimś o tym porozmawiać.

Ajani uwolnił służącego, który nadal leżał nieruchomo, choć dręczyciel odsunął się.

– Sprowadź Daniela.

Lokaj oddalił się biegiem, a Ajani wygładził rękawy, pomarszczone tu i ówdzie podczas wybuchu. Młodzieniec powrócił po chwili z Danielem.

– Zabierz ją ze sobą. Być może mały pokaz ją zmotywuje. Staram się jej pomóc, ale jak dotąd nie rokuje żadnych nadziei – rzekł Ajani, a potem odwrócił się i wyszedł.

– Chodź ze mną – powiedział Daniel.

Na dziedzińcu przed domem stało dwóch mężczyzn w mundurach. Przytrzymywali człowieka równie przerażonego jak ona sama. Spojrzeli z wyczekiwaniem na Daniela, a on rzekł:

– Zrób to, a potraktuje cię poważniej.

– Co takiego? – wykrztusiła po chwili dziewczyna.

Daniel podał jej broń.

– Mam go zabić?

– Ajani uznał, że trzeba dać reszcie dobry przykład. Śmierć brygadzysty zmobilizuje innych do cięższej pracy.

Daniel nie osądzał ani nie próbował odwrócić spojrzenia, jak robiła to Chloe. Skinął na jednego z mężczyzn w mundurze, a ten zmusił więźnia, by uklęknął.

– Ajani nie zabija własnoręcznie. Jeśli może, nie przygląda się nawet egzekucjom.

Dziewczyna nie mogła wykrztusić słowa.

– Weź broń, Chloe – rzekł cicho i spojrzał na nią błagalnym wzrokiem, jakby chciał, by zrozumiała, że zabicie drugiej osoby nie było niczym okropnym. A zabicie człowieka za to, że dopuścił do zawalenia tunelu?

Chloe próbowała sobie wyobrazić sytuację, w której morderstwo nie byłoby czynem złym. Może zrozumiałaby, gdyby Ajani karał człowieka za niedbalstwo, które doprowadziło do śmierci wielu ludzi bądź zatrąło ujęcie wody. Może zgodziłaby się, gdyby ów człowiek celowo doprowadził do zawalenia tunelu. Tymczasem było inaczej. Ajani kazał go zabić, gdyż kosztował go wiele czasu i pieniędzy. Chciał jednocześnie pozbyć się kłopotu i „zmotywować” przetrzymywaną dziewczynę.

– Nie potrafię. – Chloe odwróciła się od więźnia. – Daniel, ty również nie musisz tego robić. Wypuśćmy go. Możemy stąd odejść i...

Daniel wyminął ją, wycelował i strzelił. Więzień osunął się na ziemię z dziurą w czole.

– Powiedźcie szefowi, że już po wszystkim – rzekł.

Towarzyszący im mężczyźni weszli do środka, a Daniel spojrzał na nią.

– Musisz stać się twardsza, Chloe – szepnął, a potem zawrócił i wszedł do

domu.

Dziewczyna nie miała zamiaru czekać w towarzystwie trupa i chciała ruszyć za Danielem, ale natknęła się na wychodzącego ze środka Ajaniego. Wręczył jej tę samą kartkę, a potem złapał za ramię i zaprowadził na miejsce kaźni.

– Przeczytaj raz jeszcze – nakazał, wpatrując się w nią z osobliwą ekscytacją.

Chloe zrobiła, co jej kazano:

– „Jestem władcą wieczności, który kroczy wśród nieba.

Nie ma w moim ciele strachu.

Otworzę drogę do krainy światła. Wejdę tam i zamieszkać w niej.

Zróbcie dla mnie miejsce. Jestem tym, którego strażnicy nie zatrzymują.

Jestem tym, który otwiera jego portale!

Gdy wymawiam te słowa, jestem niczym Re na wschodnim niebie i jak Ozyrys w świecie umarłych. Przejdę przez kręgi ciemności, nie musząc oddychać po wsze czasy!”.

Gdy skończyła, Ajani pokręcił głową. Jego ekscytacja wyparowała.

– Jesteś taka jak inni – rzekł. – Kolejna porażka.



## Rozdział 37

Gdy dotarli do domu wroga, Kitty poczuła mieszaninę podniecenia i lęku. Mieli właśnie zakończyć odwieczny konflikt z Ajanim. Wolałyby co prawda odnaleźć sposób na dotarcie do domu, ale po zjednaniu się z bloodzugerami na pustyni nie była już taka pewna, czy chce wrócić do Kalifornii. Bezdroża były teraz jej domem w tym samym stopniu co pozostawiony dawno temu świat. W rzeczywistości mieszkała tu dłużej niż w Kalifornii, a więc może to Bezdroża były teraz jej prawdziwym domem?

– Gotowa? – spytał Edgar.

Skinęła głową, a Jack pchnął wejściowe drzwi. Nie były zamknięte, ale spodziewali się, że po drugiej stronie będzie stał służący. Chciała go złapać i wyszarpnąć na zewnątrz, ale nie była gotowa na to, że tym człowiekiem okaże się Daniel. Ujrzała nadzieję na jego twarzy, a potem rezygnację, gdy uświadomił sobie, że nie przyszła sama.

– Idź stąd – szepnęła, zasłaniając Edgara i Jacka.

Daniel nie uniół broni, ale trzymał ją mocno w ręku.

– Przecież dobrze mnie znasz – rzekł.

– Proszę, nie zmuszaj mnie, bym cię zastrzeliła – powiedziała.

W ciemnościach korytarza zamajaczył biegnący służący. Kitty zrozumiała, że lada chwila zjawi się Ajani lub jego mordercy. Daniel spojrział za nią, ale nie powiedział ani słowa do Jacka czy Edgara. Zamiast tego odezwał się błagalnym tonem:

– Uciekaj, Kitty. Niech oni to załatwią.

– Zastrzel go albo ja to zrobię! – zawołała Melody.

– Proszę cię! – odezwała się Kitty.

Po tym, co zrobił mu Ajani, nie miała wielkiej ochoty, by do niego strzelać.

Daniel uniół broń.

– Wiesz, że nie mogę pozwolić wam wejść do środka – oznajmił i uśmiechnął się do niej. – Dalej, strzelaj do mnie. Wszystko będzie dobrze.

Edgar odciągnął Kitty na bok, a Melody nacisnęła spust. Nie była to śmiertelna rana, ale cięższa, niżby Katherine sobie tego życzyła. Daniel padł na plecy i znów się uśmiechnął.

– Wpakuj we mnie jeszcze jedną kulę, bym nie mógł cię ścigać –

wykrztusił z wysiłkiem i z trudem nabrał tchu. – W domu jest czterech ludzi. Dwóch na górze.

Nie tak dawno temu Kitty sama strzeliła do Daniela, ale wspomnienia zadanych mu tortur nadal były świeże.

– Danny...

Jack wkroczył do korytarza. Daniel spojrzał na niego.

– Chloe była z nim w bibliotece.

– Chodźmy.

Po tych słowach Jack ruszył naprzód, nie oglądając się. Towarzyszyli mu Hector i Melody.

We wnętrzu domu rozległy się strzały. Kitty wiedziała, że muszą się spieszyć, ale nie była w stanie wpakować kolejnej kuli w Daniela. Gdyby jednak tego nie zrobiła, Ajani mógłby się zemścić za to, że nie powstrzymał Przybyszów przed wdarciem się do rezydencji.

– Nie mogę wyrządzić ci krzywdy – szepnęła.

Daniel spojrzał Edgarowi w oczy.

– Zabierz ją – wymamrotał Edgar.

– Jestem pewien, że ty nie masz nic przeciwko, by do mnie kropnąć – westchnął Daniel. – Nie krępuj się, bo pójdę za wami.

Edgar przestrzelił mu nadgarstek i oba kolana, a potem odebrał mu broń. Skinął Danielowi i oddał jego pistolet Kitty.

– Trzymaj się za mną – przykazał.

Gdy przeszli przez drzwi, chaos w rezydencji natychmiast stał się głośniejszy. Łomoty i wrzaski mieszały się z brzękiem tłuczonej szyby i hukiem wystrzałów. Zastali Hectora, klęczącego przy wejściu do jadalni.

– Melly jest na górze! – powiedział. – Ja przygwoździłem tego tam. Dalej, ruszajcie!

Daniel, który był jednym z najlepszych zabójców Ajaniego, sam się wyeliminował z rozgrywki. Personel Ajaniego nie miał najmniejszej ochoty pakować się w sam środek strzelaniny między dwiema grupami ludzi, którzy nie umierali. Melody polowała na dwóch strzelców na piętrze, a Hector był zajęty wymianą ognia z trzecim. Oznaczało to, że gdzieś kryje się czwarty, no i sam Ajani. Kitty zaczynała nabierać nadziei, gdy nagle usłyszała głos Jacka, dobiegający z sąsiedniego pokoju.

– Nie na to się umawialiśmy! – zawołał jej brat.

Trzymając broń w pogotowiu, Kitty wślizgnęła się do środka. Edgar był tuż za nią.

Chloe, prowadzona przez Ajaniego, zbliżała się do Jacka. Miała

zakrwawione dłonie, ale najwyraźniej nic jej się nie stało. Choć spostrzeżenie nie uśmierzyło niepokoju Kitty, podzieliła się nim z Jackiem, który się nie odezwał.

– Chyba jestem w stanie go trafić – mruknął Edgar.

– Nie! – Jack smagnął go spojrzeniem i rzucił cicho. – Trucizna zabije ją, jeśli chybisz. Poczekaj na lepszą okazję.

Gdyby ktokolwiek inny poprosił o to Edgara, ten nie zwróciłby na niego uwagi, ale słowa wyszły od Jacka. Edgar obrzucił go szybkim spojrzeniem. Jego lojalność wobec przywódcy grupy przewyższała lojalność, którą darzył Kitty. Dziewczyna złapała nadgarstek Edgara i pokręciła głową. Musieli poczekać.

– Chowasz się za kobietą? – zaszydził Jack.

– Och, ale przecież to nie jest zwykła kobieta, co, Jack? – Ajani był już w połowie pokoju i stał przy dwóch bardzo brzydkich krzesłach. Trzymał Chloe przed sobą niczym tarczę. Zazdrosnym gestem otoczył jej talię. – Dla niej przecież postanowiłeś zerwać naszą umowę.

Jack nie powiedział ani słowa, ale jego oblicze pociemniało. Kitty również nie uznała za stosowne wytknąć, że umowa została już wcześniej zerwana przez niego. Była porywczą kobietą, ale nie na tyle nierozważną, by szturchać rozdrażnioną żmiję.

– Niestety, okazało się, że nie jest nikim szczególnym – rzekł Ajani. – Jestem rozczarowany.

Chloe nagle spróbowała się wyrwać, ale Ajani mocniej zacisnął dłoń.

– Zabiję go – rzekł swobodnym tonem. – On boi się otworzyć ogień, by cię nie zranić, ale ja nie mam takich problemów. Zastrzelę go, jeśli choć drgniesz.

Chloe znieruchomiała. Ajani mruknął z aprobatą i musnął wolną ręką jej policzek, a potem ramię. Jego dłoń zatrzymała się tuż nad piersią.

– Ma swoje plusy, ale nie jest tą, której szukałem. Jej ciało sprawi mi sporo przyjemności, ale mogę ją wymienić.

– Stań za mną, Kit – rzekł Edgar.

– Dobrze znasz pannę Reed, Cordova. – Ajani spoglądał na niego z ojcowską pobłażliwością. – Ona nigdy się nie chowa. Jesteś też świadom tego, że moi ludzie nie umierają. Wybijemy was jednego po drugim, chyba że... – Przy tych słowach obrzucił Kitty łakomym, lubieżnym spojrzeniem. – Chyba że wyjdziecie stąd, a Katherine zostanie. Będę traktował ją jak królową, którą przecież jest.

– Nie! – Kitty odruchowo wyciągnęła broń, nie panując dłużej nad sobą.

Kule w trzeciej i czwartej komorze były wypełnione trucizną, ale dwie pierwsze były zwykłymi pociskami. Nie mogłyby wyrządzić mu krzywdy, ale poprawiłyby jej nastrój.

Ajani spojrzał na jej pistolet.

– Moja droga, jestem gotów oszczędzić życie Cordovie, a jeśli będziesz posłuszna, możemy nawet omówić grafik jego wizyt. Dodam, że przydzieliłbym ci dodatkowo Daniela jako lokaja.

– Moja siostra tu nie zostanie. – Jack celował w Ajaniego. – Nasze pociski są wypełnione trucizną. Tym razem nie wrócisz do życia.

– To dlatego zerwałeś naszą umowę? By mnie zabić? – spytał Ajani. – Myślę, że możemy wypracować o wiele lepszy traktat. Właśnie otworzył się wakat na stanowisku gubernatora. Byłbym szczęśliwy, gdybyś to ty je objął.

– Pracowaliśmy dla niego, by przeciwstawić się tobie. Teraz mielibyśmy pracować dla ciebie, tak?

Kitty nadal wypatrywała odpowiedniej okazji. Widziała, że Chloe ma napięte mięśnie i czeka na moment, by się rzucić do ucieczki. Brakowało tylko dogodnej okazji.

– Od chwili waszego przybycia gubernator pracował dla mnie – poinformował ich Ajani. – Nie uznałem za stosowne, by się z wami tą wiedzą podzielić, ale wystraszyliście go i stał się irytujący, przez co zmusiłem go do rezygnacji.

– Został rozszarpany przez demona – rzekł Jack.

– Wiem. Zawsze załatwiacie demony po tym, jak wykonają swą robotę. Cieszę się, że po mnie sprzątaacie. To jeden z powodów, dla którego tak często z nich korzystam – rzekł Ajani i uśmiechnął się, potęgując napięcie dla własnej uciechy.

Kitty spojrzała na Jacka. Był równie wstrząśnięty jak ona. Czyżby wszystko, o co walczyli, miało okazać się kłamstwem?

– Jeśli nie chcesz dokonać wymiany za Chloe i nie chcesz być gubernatorem, mogę cię odesłać do domu. Do świata, z którego pochodzisz.

– Ajani spojrzał na Kitty. – Może z tobą powinienem się układać?

– Pogadajmy – powiedziała Kitty, ostrożnie odsuwając się od ukochanego.

– Kit... – zaczął Edgar.

– Katherine! – rzucił Jack w tym samym momencie, ale zignorowała obu.

– Puść ich wszystkich, a porozmawiamy. Przez wiele lat miałeś układ z Jackiem. – Nie spuszczała Ajaniego z oczu. Widziała wyraźnie to, przed czym ostrzegał ją Daniel: ich przeciwnik był bardziej nie zrównoważony niż

wcześniej, ale nie tracił czujności, z której słynął. – Nie musimy być wrogami – dodała.

Ajani uśmiechnął się i nagle odepchnął Chloe od siebie. Kitty usłyszała huk wystrzału i bzyknięcie kuli. W pierwszej chwili sądziła, że to Edgar padł na nią i osłonił przed kulami z naprzeciwka. Kątem oka ujrzała, jak Jack zasłania Chloe.

Gdy poczuła wilgoć na plecach, uświadomiła sobie, że Edgar nie zepchnął jej z linii strzału świadomie. Błyskawicznie wyczołgała się spod jego ciała i zaczęła desperacko szukać pulsu.

– Nie! Nie! Nie!

Odwróciła go na plecy i zbliżyła usta do jego ucha, szukając oddechu.

– Nie rób mi tego, Edgar!

Naraz usłyszała głos Hectora i uświadomiła sobie, że nożownik stoi na progu.

– Zająłem się Melody. Nie żyje.

Następnie bez emocji spojrzał na Kitty.

– I Edgar chyba też.

– Hector? – jęknął Jack z niedowierzaniem.

Kitty miała wrażenie, że jej świat właśnie się skończył. Nie mogła patrzeć na Hectora, ale jednocześnie nie mogła oderwać od niego spojrzenia. Jej dłonie nadal spoczywały na nieruchomym ciele Edgara. Kątem oka widziała, jak Jack uniósł broń, ale Hector już się odwrócił i odszedł.

– Wybacz mi, Katherine – rzekł Ajani. – Czy ty naprawdę sądziłaś, że nie przygotowałem żadnego planu na tę okazję?

Patrzyła na niego, klęcząc przy ciele Edgara.

– On nie żyje.

Ajani zrobił krok w jej kierunku. Chloe podbiegła i podniosła pistolet, który wpadł z ręki Edgara, gdy ten osunął się na ziemię. Nowo przybyła stanęła przed Kitty i Edgarem, celując w Ajaniego.

– Zostaw ją w spokoju. Po prostu przestań!

Jack bez słowa również wycelował broń w Ajaniego. Nim ktokolwiek zdołał nacisnąć spust, Ajani rzekł:

– Strzel do mnie, a Cordova się nie przebudzi.

– Jack, Chloe, proszę, nie róbcie tego – wykrztusiła Kitty z trudem. Wiedziała, że nie ma innego wyboru. Brat spojrzał na nią i dziewczyna dostrzegła zrozumienie w jego oczach. Był gotów oszczędzić Ajaniego i pozwolić, by cały ich świat się rozsypał, gdyż Katherine nie mogłaby żyć bez Edgara. Była gotowa zrobić wszystko, by utrzymać go w swoim życiu. –

Wysłuchaj go – szepnęła.

Słowa te, wbrew jej woli, zabrzmiały niczym błagalna prośba.

Jack podszedł do Chloe i łagodnie opuścił lufę jej broni ku podłodze.

– Zaczekaj.

Z irytującą pewnością siebie Ajani odwrócił się od nich i podszedł do jednego z dwóch brzydkich krzesel z wysokimi oparciami, stojących po obu stronach stołu. Na stole stała kryształowa karafka i dwa kieliszki. Zerknął na dziewczynę i sięgnął po karafkę. Szczęknięcie wyciąganego szklanego korka zabrzmiało dziwnie głośno.

– Zaproponowałbym wam coś do picia, ale mam tylko dwa szkła. – Nalał bursztynowego płynu do obu kieliszków, odwrócił się znów i dodał: – Choć z drugiej strony, wy wszyscy pewnie żłopiecie z jednej flaszki, co?

Chloe i Jack nadal stali z pistoletami w rękach. Nie reagowali na pogardę okazywaną przez Ajaniego. Kitty nie była nawet w połowie tak spokojna i skupiona jak oni.

– Jeśli nie będziesz współpracować, Edgar nigdy się nie przebudzi – oznajmił Ajani.

## Rozdział 38

Przez chwilę Jack nie wiedział, czy powstrzyma ochotę, by nacisnąć spust. Edgar leżał martwy, dłonie Katherine były mokre od krwi ukochanego, a Chloe wpatrywała się w Ajaniego z przerażeniem. Gdzieś w rezydencji leżała Melody zabita przez Hectora, a w ciemnej bibliotece Ajani miał czelność w spokoju popijać brandy.

Zatrute kule w pistolecie Jacka zgładziłyby Ajaniego na dobre i Jack o niczym innym nie marzył. Jediną rzeczą ważniejszą od żądzy zemsty była dla niego siostra. Był gotów powstrzymać się od zabójstwa, jeśli można było przywrócić Edgara do życia.

Mimo to Ajani musiał się dowiedzieć, że mają po swojej stronie atuty. Wycelował w niego pistolet i rzekł:

– Te pociski są zatrute. Nie wrócisz do życia.

Ajani podał Kitty kieliszek, ignorując Jacka.

– Skoro twój brat jest zajęty...

– Ale on nie żartuje. – Katherine pokręciła głową.

– Zdaję sobie sprawę. – Ajani przyglądał się jej z rozbawieniem. – A może miałabyś ochotę na nieco hazardu? Co by było, gdybym mógł was odesłać?

– Nie mówisz poważnie.

– Do otwarcia portalu wymagana jest ofiara – ciągnął Ajani fałszywie smutnym głosem. – Taki jest koszt otwarcia. Wypróbowałem krew wszystkich mieszkańców tego świata, zarówno ludzi, jak i zwierząt, ale wygląda na to, że zadziała tylko ofiara złożona z kogoś z naszego świata.

– Z naszego świata? – powtórzyła Chloe.

– Tak – odparł Ajani, choć był skupiony całkowicie na Katherine.

Ogrom jego obsesji stał się przerażająco jasny i Jack obiecał sobie, że nie wyjdzie z tego domu, jeśli go wcześniej nie zabije.

– Pociski w pistolecie Edgara są również wypełnione trucizną – szepnął do Chloe.

Odpowiedziała mu uśmiechem, który złowieszczo przypominał ten, jaki u Melody był objawem dobrego nastroju, ale nie powiedziała ani słowa i skupiła uwagę na Ajanim.

Ten nawet na nich nie spojrzał.

– Miałem nadzieję, że do tego nie dojdzie – rzekł i uśmiechnął się,

najwyraźniej dalej bawiąc się napięciem. – Otrzymasz wybór. Chcesz wrócić do domu, Katherine? Mogę odesłać ciebie i Jacksona.

Kitty milczała, ale Jack dostrzegł wahanie na jej twarzy. Patrzyła na Ajaniego z tym samym niedowierzaniem co on. Była to ostatnia rzecz, którą spodziewali się od niego usłyszeć. Po tylu latach na Bezdrożach otrzymywali szansę, by powrócić do życia, które kiedyś prowadzili.

– Do domu? – powtórzyła Katherine. – Na pewno tego nie potrafisz.

– Byłem tu pierwszy – przerwał jej Ajani. – Dysponuję czarem, który otwiera coś, co ludzie w naszym świecie zwą tunelem czasoprzestrzennym. Zabawna nazwa, nie? Czar nazywa to po prostu portalem. – Rozłożył ręce, udając bezradność. – Nie mogę zagwarantować, kiedy dokładnie wylądujecie, ale trochę eksperymentowałem i jestem niemal pewien, że będzie to blisko roku, z którego pochodzicie. – Katherine nie odpowiedziała. Ajani wzruszył ramionami. – Powtarzam, że jestem gotów odesłać dwoje spośród was do domu.

– Do tych samych czasów? – spytała.

– Nie można dotrzeć do epoki przed swoim urodzeniem – uśmiechnął się lekko Ajani. – Gdybym chciał odesłać Cordovę do czasów przed jego narodzinami, pojawiłby się tam martwy. Mogę odesłać jego i Jacka do epok, w których przyszli na świat. Mogę to samo zrobić z tobą oraz Cordovą albo z tobą i z Jackiem.

– A więc bez względu na to, co zadecyduję, będę musiała żyć bez Edgara? Dlaczego?

Katherine czuła narastającą złość. Znów podniosła broń.

Ajani uśmiechnął się wpatrzony w jej rewolwer.

– Niech to będzie dla ciebie życiowa lekcja. Trzeba kogoś zabić, by podróżować między światami. Zawsze płacę tę cenę.

Jack przyglądał się siostrze. Od razu wiedział, jaką decyzję podjęła.

– Dobra – rzekł. – Skoro naprawdę możesz otworzyć ów tunel czasoprzestrzenny – rozciągnął ostatni wyraz, by go wydrwić – to wszyscy ludzie znaleźli się tutaj przez ciebie.

– Z wyjątkiem tubylców – odparł wesoło Ajani.

– A my, Przybysze? Trafiliśmy tu za twoją przyczyną? – naciskał Jack, mając nadzieję, że jego głos brzmi rozsądnie, choć przecież już uzyskał odpowiedź na to pytanie.

Ajani przez moment delektował się brandy, a potem odparł:

– Tak, to ja was tu ściągnąłem. Wszystkich.

Po pomieszczeniu poniósł się szczęk kurka odciąganego przez Chloe. Jack



spojrzał na nią, ale poruszyła się jedynie Katherine. Stała przed nowo przybyłą, odwracając się plecami do Ajaniego.

– Odeślij Chloe do domu – powiedział cicho Jack.

Katherine spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Ja cię tu nie zostawię, a Edgar prędzej by umarł, niż rozstał się z tobą. – Jack pokręcił głową. – Nie pozwolę jednak, by pozostał martwy. Odeślij Chloe.

– Brawo, Jackson – rzekł Ajani. – Jeśli chcesz tu zostać, a zakładam, że Katherine chce, by Edgar przeżył, odeślijmy Chloe do domu. Nie mam z niej żadnego pożytku.

Podszedł do stołu i podniósł kartkę papieru.

– Jeśli dasz sobie z tym radę, Katherine, odeślę ich obu w odpowiednim czasie.

Kitty przełknęła głośno ślinę.

– Co mam zrobić?

Ajani podał jej kartkę.

– Przeczytaj to, Katherine. Pokaż mi, że w istocie jesteś tak niezwykła, za jaką cię mam. Miałem nadzieję, że kiedyś przybędzie ktoś taki jak ty, ale nikomu się nie udaje rzucić tego czaru. Nikt mnie nie przypomina. Nikt nie zna się na magii poza tobą.

Jack patrzył na siostrę, która usiłowała się nie wzdrygnąć, słysząc fanatyzm w głosie Ajaniego. W milczeniu wzięła kartkę papieru i zaczęła czytać drżącym, lecz wyraźnym głosem:

– „Jestem władcą wieczności, który kroczy wśród nieba. Nie ma w mym ciele strachu...”.

Coś się działo z powietrzem w pomieszczeniu, zupełnie jakby zaczęło się rozrzedzać. Kitty urwała, a Ajani wycelował broń w Jacka.

– Pamiętaj o tym, co ustaliliśmy, Katherine.

Jack uśmiechnął się do siostry, by dodać jej otuchy. Kitty podjęła:

– „Otworzę drogę do krainy światła. Wejdę tam i zamieszkać w niej... Zróbcie dla mnie miejsce... Jestem tym, którego strażnicy nie zatrzymują... Jestem tym, który otwiera jego portale!”.

Powietrze zaczęło zauważalnie wirować.

Drżąca Katherine odczytała resztę:

– „Gdy wymawiam te słowa, jestem niczym Re na wschodnim niebie i jak Ozyrys w świecie umarłych. Przejdę przez kręgi ciemności, nie musząc oddychać po wsze czasy!”.

Przed nimi wykwitł portal przypominający ogromny, ognisty opal. Ajani

rozpromienił się do Kitty:

– Wiedziałem, że ci się uda. – Podszedł do osobliwego wiru ciemności i kolorów. Gdy stanął bezpośrednio przed nim, spojrzał przez ramię na Chloe: – No dalej.

Chloe zrobiła kilka kroków i zatrzymała się.

– Podróżowanie między światami wymaga ludzkiej ofiary. Skąd wiesz, kto umrze? Może Melody bądź Edgar?

Ajani zawahał się i Jack ujrzał prawdę wypisaną na jego obliczu, zanim jeszcze ten otworzył usta. Sam powiedział, że śmierć jednego z nich jest konieczna, by otworzyć portal. Logika nakazywałaby myśleć, iż padnie na Edgara lub Melody. Ajani nie powiedział, jak ustalić, który z Przybyszów nie wróci do życia. Nie powiedział nawet, czy w ogóle można do tego dojść.

– Chloe... – zaczął, ale dziewczyna natychmiast mu przerwała.

– Ktoś z naszego świata musi pozostać martwy – oznajmiła nowo przybyła i otworzyła ogień.

Wpakowała w niego cały magazynek, a Ajani z każdą trafiającą go kulą podrygiwał jak kukielka na sznurkach.

Jack i Katherine nawet nie drgnęli.

Chloe spojrzała na Kitty.

– On również pochodził z naszego świata. Jeśli rytuał zabiera życie tego, kto zginął jako ostatni, będzie nim Ajani. Jeśli wybór jest losowy, Edgar ma teraz większe szanse.

– Dziękuję – wykrztusiła Katherine dławiona szlochem.

Ciemność wirowała. Kitty patrzyła to na portal, to na brata. Wyglądała na skrajnie zrozpaczoną, jakby śmierć Edgara okazała się dla niej ciężarem nie do zniesienia, jakby potrzebowała, by ktoś się nią zajął bądź przynajmniej pozwolił jej się wypłakać. Padła na kolana i zasłoniła usta dłońmi, ale nie była w stanie powstrzymać czy stłumić szlochu.

Chloe opuściła broń.

– Czy trucizna nie pozwoli Ajaniemu wrócić do życia?

– Tak sądzi Garuda – rzekł Jack. – Jeśli nie, będziesz bezpieczniejsza, jeśli wrócisz do swych czasów. Może się przebudzić, a wtedy będzie próbował cię odnaleźć. W twoich czasach mu się to nie uda.

Chloe spojrzała na Katherine, potem na Edgara, a na końcu na Jacka.

– Jeśli się przebudzi, zacznie szukać jej i was wszystkich.

Ostrożnie położyła pistolet na podłodze i złapała Ajaniego za kostki. Zerknęła na Jacka.

– Zostanę tutaj – szepnęła. – To Ajani powinien stąd zniknąć. Na wszelki

wypadek.

Jack był równie przytłoczony jak jego siostra. Pokonali Ajaniego, ale jakim kosztem? Edgar i Melody byli martwi, a Hector okazał się zdrajcą. Katherine płakała z każdą chwilą coraz głośniej.

Chloe wpatrywała się w Jacka.

– Pomóż mi pozbyć się go, by już nigdy nie skrzywdził nikogo z was.

Jack pokiwał głową i oboje wrzucili pozbawione życia ciało Ajaniego do tunelu.

Ciemność zamykała się. Chloe oparła się o Jacka i oboje patrzyli, jak portal znika.

## Rozdział 39

Przez następny tydzień Kitty miotła się jak szalona, desperacko usiłując posprzątać i usunąć wszystko, co przywodziło jej na myśl Ajaniego. Wraz z pozostałymi, którzy słuchali jej we wszystkim, przetrząsnęła cały dom, który wedle obowiązującego na Bezdrożach prawa wraz z całym pozostałym dobytkiem pokonanego złoczyńcy należał teraz do Chloe.

Garuda mianował Jacka gubernatorem tego samego dnia, gdy Przybysze wydali wojnę Ajaniemu. Dowiedzieli się o tym nazajutrz rano, a Katherine i Garuda szybko przekonali Jacka, że nie powinien się sprzeciwiać.

– Moglibyśmy go spalić – zaproponowała ponownie Kitty. – Nie znoszę tego domu.

– Katherine, a może pora odpocząć? – westchnął Jack. – Wraz z Chloe uporządkujemy to wszystko.

Od wielku godzin zbierali rzeczy należące do Ajaniego i wysyłali je osobom, które mogłyby ich potrzebować. Wykonanie tego samego w innych jego domach byłoby bardzo trudne, ale teraz potrzebowali oczyścić choć jedno miejsce ze wszelkich śladów jego bytności.

Ciała Edgara i Melody leżały w dwóch pokojach. Francis i Daniel dochodzili do siebie w innych, a pięciu z ludzi Ajaniego pracowało teraz dla Chloe. Kilku innych zastanawiało się, co ze sobą począć, a pozostali wybrali wolność. Nastął dziwny czas i panujące w domu napięcie doskwierało wszystkim.

Nikt nie wiedział, czy każdy z Przybyszów był teraz nieśmiertelny, ale z tego, co powiedział im Ajani, umierali ostatecznie tylko dlatego, że ich śmierć była potrzebna do otwarcia tunelu. Oczywiście Kitty oznajmiła, że jest w stanie zrobić dokładnie to samo, co Ajani, więc niech lepiej nikt z nią nie zadziera.

Częste wizyty Garudy pomogły jej częściowo odzyskać spokój, ale nawet jego kojący wpływ nie mógł uwolnić dziewczyny od paniki. Jack i Chloe rozmawiali więc co dzień o tym, co poczną, jeśli Edgar się nie przebudzi. Co dziwne, Daniel i Francis na zmianę czuwali przy Melody. Jedynymi osobami, które Kitty dopuszczała do siebie, byli Jack, Chloe i Garuda.

Gdy Edgar i Melody wreszcie się ocknęli, Chloe rozplakała się z radości.

Pierwsze słowa, jakie powiedziała Melody po otwarciu oczu, brzmiały:

– Jebany Hector! Gdzie on jest?

W drugim pokoju Edgar i Kitty zamknęli drzwi i nie wychodzili przez wiele godzin.

Sytuacja w domu była zdaniem Chloe daleka od normalności, ale sama nie była pewna, czy ma ochotę na taką normalność, której kiedyś szukała. Zerknęła na Jacka i oboje udali się do salonu, gdzie od wielu dni rozmawiali dosłownie o wszystkim, od tego, co począć z dobytkiem Ajaniego, po filmy, które widziała w rodzimym świecie.

Zamknęli drzwi za sobą i przez moment stali i wpatrywali się w siebie. Chloe nie miała pojęcia, czy istnieją słowa, którymi można wyjaśnić wszystko to, do czego doszła przez ostatnich parę dni, ale była winna wyjaśnienia zarówno sobie, jak i Jackowi.

– Nie jestem na to gotowa – zaczęła.

Jack skinął głową, ale zmarszczył brwi. Chloe poczytała to za zachętę i zaczęła mówić:

– Kilka dni temu żyłam w świecie pełnym telewizorów, smartfonów i miliona innych rzeczy, które nie istnieją na Bezdrożach. Nie było tam również potworów, które żyją tutaj. – Spojrzała mu w oczy. – Nie ma tam również takich mężczyzn jak ci tutaj.

Doskonale pamiętała, jak dobrze się czuła w jego ramionach. Równie dobrze wiedziała to, że Jack po prostu był dobrym człowiekiem. Nigdy nie opuścił siostry, a jej dobro było dla niego ważniejsze od własnego. Takich ludzi nie spotykało się często. Chronił swą grupę, usiłował zamienić Bezdroża w lepsze miejsce, a dbał o potrzeby towarzyszy bardziej niż o siebie. Nawet teraz spoglądał na nią z troską.

– Przykro mi, Chloe. Katherine nie potrafiłaby zabić innego człowieka, by cię odesłać. Chciała zastrzelić Hectora po tym, co zrobił, ale... ale ma dosyć zabijania.

– Wolę tu zostać – przypomniała mu.

Zmarszczka znikła, a w oczach Jacka błysnęła nadzieja.

– Przepraszam, że nazwałem cię Mary. Wiesz, o czym mówię – przełknął nerwowo ślinę. – Była dobrą przyjaciółką, ale nie skłamałem, gdy opowiadałem ci o niej. Nie byliśmy tym, czym ty i ja... Wiesz, chodzi mi... Cóż, mam nadzieję, że my...

Słowa mu umknęły. Przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Chloe nie opierała się. Wiele rzeczy na świecie zupełnie nie miało sensu, ale była pewna, że to akurat sens ma. Rozchyliła wargi i otoczyła go ramionami.

Ich usta wreszcie się rozdzieliły, ale nadal go nie puszczała.

– Ja też – szepnęła do niego. – Chcę cię lepiej poznać, Jack.

– Ogromnie się cieszę, że nic ci się nie stało – uśmiechnął się. – Ajani i ja zawarliśmy swoistą umowę, w myśl której mieliśmy nikogo nie zmuszać, by dołączył do którejś ze stron, ale tym razem chciałem ją złamać. – Oparł czoło o jej głowę. – Nie przypominam sobie, kiedy po raz ostatni pozwoliłem na to, by moje potrzeby były ważniejsze od dobra grupy. Ty jesteś inna. To... wiedz, że to nie jest tylko pożądanie.

– To dobrze. – Chloe roześmiała się cicho z ich obojga.

Tulił ją do siebie mocno, ale ciągle gadał i wprost musiała kazać mu się przymknąć, by wrócić do całowania. Naparła na niego biodrami w sposób, który nie miał w sobie nic z delikatności. Jack wsunął ręce za jej plecy i mocno przyciągnął ją do siebie.

Chloe znieruchomiała, gdy dobiegł do niej głos Kitty.

– Nie wolno ci się gwałtownie poruszać, Edgar. Powoli, powoli... Co będzie, jeśli...

Nagle pisnęła i rozległ się łomot.

Chloe i Jack spojrzeli po sobie.

– Przyda wam się dom na własność! – zawołała Chloe. – Jak chcecie, dam wam ten w ramach wczesnego prezentu ślubnego! – Jack parsknął śmiechem. Chloe wyprowadziła go na dziedziniec, a gdy znaleźli się już wystarczająco daleko od cieszącej się własnym towarzystwem pary, dziewczyna zakończyła wypowiedź: – Zostanę w tym świecie, a więc może zaczniemy się umawiać na randki czy coś w tym stylu. – Uśmiechnęła się do nowego gubernatora i zażartowała: – Jak chcesz, mógłbyś spróbować mnie uwieść!

Rozbawiona mina Jacka świadczyła, że pomysł mu się spodobał. Wypuścił ją, odkaszlnął i rzekł:

– Nie wiem, jakimi zasadami kierujecie się w twoich czasach, ale mogę spróbować.

Chloe przechyliła głowę, by jej usta znalazły się przy jego uchu.

– W moich czasach uwodzenie nie wyklucza pożądania. Oprócz tego robimy różne inne rzeczy.

Patrząc na krzywy, zawadiacki uśmiech Jacka, Chloe cieszyła się, że stoi objęta jego ramionami.

## Nota Autorki:

Wyjątek z *Tekstów Sarkofagów* wykorzystany przez Ajaniego do otwierania tuneli czasoprzestrzennych i uzyskiwania nieśmiertelności to zmodyfikowana wersja *Tekstu Sarkofagów 1031*. O ile się orientuję, egipskie zaklęcia nie miały zupełnie żadnego związku z tunelami czasoprzestrzennymi i nie potrafiły nikogo obdarzyć nieśmiertelnością.

Dziewczęta z saloonów nie korzystały ze współczesnych idiomów. Gdyby Kitty znalazła się w swoich czasach (koniec dziewiętnastego wieku), nie użyłaby słowa „serio”. Postacie mówią mniej więcej tym samym językiem, co jest efektem wielu lat spędzonych razem na Bezdrożach. Jeśli kiedyś przez przypadek wpadniesz w portal i znajdziesz się w miasteczku na Dzikim Zachodzie, nie używaj współczesnych wyrażen. Szybko się wówczas zdradzisz.

Imiona bohaterów zostały wybrane tak, by do nich pasowały, choć trudno mi wytłumaczyć owe związki w jakikolwiek racjonalny sposób. Oto kilka notatek co do ich pochodzenia, od których rozpoczęła się praca nad tą powieścią.

- **Jack (Jackson Reed)** – zdrobnienie od John (Bóg jest łaskawy) bądź Jackson (syn Jacka)
- **Katherine (Reed)** – czysta
- **Chloe (Mattison)** – zielona i kwitnąca
- **Edgar (Cordova)** – bogato zdobiona włócznia
- **Francis (Miller)** – wolny
- **Melody (Blankenbecker)** – melodia pieśni
- **Hector (Soto)** – kotwica, wierny
- **Ajani** – Ten-który-zwycięża-starcia
- **Garuda** – Król Ptaków
- **bloeduiger** – dosłownie „ssący krew”
- **verrot** – zgniły
- **lindwurm** – pozbawiony skrzydeł smok z nordyckich legend
- **cynanthropy** (cynantropia) – mania prześladowcza polegająca na tym, że pacjent uważa się za psa.

# Podziękowania

Istnieje grupa ludzi, bez których ta książka byłaby jedynie garścią chaotycznych zapisków nagryzmoonych w różnych zeszytach i na odwrotach rachunków, i chciałam im wszystkim serdecznie podziękować.

Jestem niezmiernie wdzięczna Liate Stehlik, Kate Nintzel, Seale Ballenger, Jean Marie Kelly, Brianne Halverson oraz Shawnowi Nichollowski za sympatię, jaką okazali mojej poprzedniej powieści *Graveminder*, gdy pisałam *Przybyszów*. Jesteście nie do zdarcia.

Dziękuję Ashley, która pożyczyła mi swe imię, wygrywając aukcję charytatywną. Miło wspominać nasze spotkanie na FaerieConie i mam nadzieję, że podoba ci się twa imienniczka.

Dr Scott Paulson odpowiedział na moje pytania związane z fizyką, dzięki czemu udało mi się zrozumieć możliwości podróżowania w czasie (choć przyznaję, że zmieniałam wiele faktów naukowych). Nadal jest pan bardzo cierpliwym nauczycielem.

Asystent badawczy Christopher Scheirer, choć był zajęty swoim doktoratem, dostarczył mi artykułów na temat najrozmaitszych osobliwości. Dziękuję ci za to, że jak dotąd nie masz jeszcze dosyć moich dziwnych pytań.

Merrilee Heifetz opanowała unikalną umiejętność radzenia sobie z moimi atakami szaleństwa. Zawsze będę twoją dłużniczką za niezachwianą wiarę w to, że można dać sobie ze mną radę (oraz w wiele innych rzeczy). Jesteś cudownym aniołem stróżem/wojownikiem.

Kelley Armstrong oraz Jeaniene Frost nie raz zapewniali mnie, że jestem w stanie skończyć tę książkę. Oboje mieliście rację, ale nie jestem pewna, czy udałoby mi się to bez waszego wsparcia.

Dylan podzielił się ze mną swą wiedzą na temat kryptydów oraz stosami książek i DVD, dzięki czemu łatwiej było mi tworzyć potwory. Asia czytała moje szkice i przypominała mi, że w rzeczy samej pisałam już książki, a więc i z tą powinno się udać. Nie ma wątpliwości, że jestem najszcześniejszą matką w całym Wszechświecie, gdyż jesteście moimi dziećmi.

Loch zajął się wsparciem emocjonalnym, jedzeniem i kofeiną. Czytał szkice, cierpliwie wysłuchiwał moich tyrad, przestawiał meble i zaplanował wakacje last-minute dla całej rodziny. Twój niezachwiany spokój wystarczy,



by zasłużyć na wszelkie nagrody.

---

<sup>1</sup> Lindwurm (niem.) – smok. W mitologii skandynawskiej to typ smoka pozbawionego skrzydeł (przyp. red.).

<sup>2</sup> W języku holenderskim dosłownie „krwiopijca”. Inaczej: wampir (przyp. red.).

<sup>3</sup> Jackass (ang.) – dureń, osioł (przyp. tłum.).

<sup>4</sup> Dewdrop (ang.) – kropla rosy; star (ang.) – gwiazda (przyp. tłum.).

<sup>5</sup> Po holendersku verrot oznacza „zgniły” (przyp. red.).